

Helena Mniszkówna

Czciciele Szatana

W przedziale I klasy

Pociąg rwał całą siłą pary.

Przez okna wagonu migwały wzgórki i rozległe doliny pokryte kępami jałowca i karłowatą wierzbą. Pogoda była śliczna, godzina przedwieczorna, zalana krwawą łuną zachodzącego słońca. Biały kłęb dymu wylatując z lokomotywy rozpadał się na pojedyncze kłaczkę i świecąc w słońcu różowo, obsypywał gęsto wysoki nasyp toru.

W przedziale pierwszej klasy pociągu kurierskiego, przy oknie, siedziała młoda kobieta. Miała włosy jasnoblonde, z połyskiem, mieniające się w złoto; zaczesane bujnie nad czołem, lekko faliste, zakańczając z tyłu duży węzeł skręcony luźno.

Siedziała wspierając głowę na dłoni, zapatrzona w jaskrawe łuny, z tęsknym wyrazem w ciemnych oczach. Druga ręka zwisała na sukni, trzymając rozłożoną książkę. Z postaci kobiety przebijała apatia i rezygnacja.

Monotonny stuk kół wagonowych, świst lokomotywy, wpadał biernie do jej uszu.

Trwała w głębokim zamyśleniu, może o tych roztoczach zalanych krwawym się blaskiem, które migwały przed jej oczyma z szybkością nieuchwytną jak najlepsze chwile w życiu człowieka.

O czym myślała?... Może o tym, co już przeszła na ziemi, i co ją czeka jeszcze w wielkiej liczbie dni jej pozostałych.

Lubiła świat i ludzi. Wielkie zbiorniki cywilizacji, środowiska ludzkie, pociągały ją równie silnie jak ciche łąki wiejskie z klekotem bocianów, jak rozległe pola ze śpiewem fujarki pastuszej. Kochała naturę, wielbiła sztukę. Muzyka, byle harmonijna, upajała ją zawsze. Ludzi lubiła dla własnych studiów mówiąc, że ma przeciwne zdanie od Seneki. Ten mędrzec twierdził, że ile razy poszedł między ludzi, mniejszym wracał człowiekiem. Ona zmieniała mniejszy na - rozumniejszy.

Ludzie i świat, gdy weszła wśród nich młodzieńką dziewczyną zaczynając życie, wzięli ją od razu w dość barokowe ramy. Ale inteligencja dopomogła jej do prędkiego rozejrzenia się. Zrozumiała ludzi i pomimo ich błędów nie mogła bez nich żyć. Sama uważając się za pełną ułomności była wyrozumiała na cudze winy. Z siebie nigdy nie czuła zadowolenia, wiecznie coś sobie zarzucając. I teraz w wagonie także karciała się widać, bo wyraz grymaśny i gniewny przemknął po jej ruchliwej twarzy.

Z głębokiej zadumy obudził ją głośniejszy huk hamulców. Dojeżdżano do stacji.

Wszczął się ruch w korytarzu, szmer głosów ludzkich i prędkich kroków. Lekkie szarpnięcie, przeciągły ryk lokomotywy, sygnały i pociąg stanął.

Młoda kobieta nie ruszała się z miejsca. W korytarzu usłyszała głos konduktora.

- Proszę pana, tu jest przedział zajęty tylko przez jedną panią, może pan pozwoli?

- Ja pozwolę, ale czy ta pani pozwoli? - odpowiedział zartobliwy głos męski.

- Poprosimy - zawyrokował konduktor.

Drzwi się raptownie odsunęły, młoda kobieta odwróciła głowę, iskry gniewu zaświeciły w jej oczach.

Konduktor skłonił się.

- Pani pozwoli zająć tu miejsce...

Spoza niego ukazała się wytworna głowa męska, ręka odsunęła konduktora i wysoki mężczyzna zdejmując kapelusz zawołał:

- Przepraszam panią, że robię jej różnicę, ale...

Nie dokończył, jak popchnięty posunął się naprzód z rozjaśnioną twarzą. Młoda kobieta w łunie rumieńca powstała żywo podając mu rękę.

- A to traf szczęśliwy!... Bajeczne! - zawołał i jej dłoń podniósł do ust.

- Nie spodziewałam się pana spotkać - odrzekła z uśmiechem.

- Więc instaluję się tu na dobre. Pani tak groźnie spojrzała na mnie, że chwilowo stchórzyłam, ale teraz nawet nie pytam.

- Taki pan pewny? A jeśli odmówię...

- Nie robi pani tego, zresztą ja nie usłucham, bo najpierw cieszę się na myśl wspólnej podróży, a po wtóre nie mam się gdzie podziać, wszędzie zajęte.

Wyjrzał na korytarz i zawołał na konduktora.

- Niech tu przyniosą moje rzeczy.

Przy rozkładaniu walizek nie zamienili ani słowa. Gdy pociąg ruszył, usiedli naprzeciw siebie w milczeniu. On pochylił się do niej.

- Pani Anno, czy jestem wielkim intruzem?...

- Choćbym nawet powiedziała tak, pan by na to nie zważał.

- Wolałbym jednak - nie.

- Więc powiem coś trzeciego: jest mi to obojętne.

- Brawo! Ja tak mówić nie mogę, wolę jechać z panią niż z jakąś tłustą bankierową albo w pustych ścianach.

- Słowem szansę możliwe.

- I dobrze nam z tym.

Patrzył na nią przenikliwie.

Anna cofnęła się w tył i oparta o poduszki spojrzała mu śmiało w oczy.

- Czy pan także do Warszawy?...

- Tak, jadę w swoich sprawach, a pani?...

- Ja do krewnych, na krótko.

\W każdym razie obejrzy pani miejscowe wystawy sztuk pięknych, mówiąc nawiasem sztuk średnich, gdyż na prawdziwe piękno mamy zawsze posuchę. Będzie pani na paru operach.

_ Zapewne, po raz setny odwiedzę wszystkie zakamarki godniejsze uwagi.

_ I po raz setny wyjdzie pani znudzona.

_ Znudzona?... To za silne, nie zachwycona, wyłączam opery, które zawsze lubię.

_ A więc muzykę, jest pani złożona z tonów i refleksów bardzo subtelnych.

_ Lecz nie zawsze harmonijnych, miewam dysonanse.

Skoro je pani odczuwa, to znak osobistego krytycyzmu, analizy, jaką pani nad sobą rozciąga.

- Jest to system dobry, ale męczący.

- I pouczający, a bez walki nic.

- Jednak szczęśliwe są natury nie patrzące w siebie ani poza siebie, żyją w miejscu, bez pragnień, dążeń, a zatem i krytycyzmu.

- Ale istnienie takich skorupiaków to moralna śmierć, na jaką bym się nie zgodził i pani również. Życie bez horyzontów szerszych idei mogą ślimaki, bo im dobrze w ciasnej muszli, są szczęśliwe. Nawet nie pojmują istot unoszących się w górne strefy. Dla nich to trącenie czasu na darmo, szukanie utopii, próżne błędzenie ambicji bez rezultatów. Ich postulaty odpowiadają intelektualnym zdolnościom, polegającym li tylko na umiejętnym budowaniu własnych ram i pełzaniu po ziemi.

- Zapewne, błędzenie w krainach abstrakcji jest wielką ponętą dla ludzi o umysłach bardziej skrzydlatych. Ale czy pan nie sądzi, że to istotnie utopia?... i że praktyczność jest po stronie skorupiaków?...

- Praktyczność?... Bez kwestii, ale ona z ideałem nie ma nic wspólnego, to siostrzyca ziemi. Ideały są to dzieci błękitów, podobno nawet posiadają ich barwę.

- Więc praktyczność powinna być szara?...

- Taką też i jest.

- Czasem ideały zmieniają się również w szare, nawet w czarne.

- Skąd taki pesymizm?... Pani jest jakby spadła z obłoków.

- Nigdy na nich nie byłam.

- Ale dążyła pani do nich.

- Bardzo śliska droga - rzekła z grymasem.

- Tym ponętniejsza! Par excellence nie lubię utartych szlaków.

O i ja nie! Lecz gdy się po kilka razy wspinać, zawsze na próżno, to w końcu zmęczy, zniechęci tak, że nawet istnienie skorupiaków wydaje się znośnym.

- Trzeba walczyć do końca.

- I zginąć wraz z nadzieją?...

- Nie - i zwyciężyć? Czy wie pani - rzekł zmieniając ton - widzę w niej wielką różnicę od ostatniego widzenia się.

- Od ostatniego i od pierwszego, niech pan doda.

- Prawda, żeśmy się tylko raz widzieli, czasem myślę, że znam panią od

bardzo dawna.

- Mówiliśmy ze sobą dużo.

- Tak, i o rzeczach, jakie można zapamiętać. Rozmyślałem wiele o pani, szczególnie podobało mi się jej zdanie o ludziach, że im więcej się ich poznaje, tym większa ochota do śmiechu a mniejsza do życia. To dowodzi pewnej krańcowości, bo już na płacz nie znalazła pani zastosowania, a płacz to przecież objaw pośredni.

- Bo ludzie nie są warci płaczu.

- Tylko śmiechu, dobrze. Ale czemuż tak raptowny przeskok od śmiechu do śmierci?

- To są rzeczy różne, śmiech dla nich, śmierć dla mnie, gdybym już nie mogła ich znosić.

- Z tym się nie zgadzam, za marna idea, aby dla niej pozbawiać świat takiej istoty jak pani.

- Gdyby mnie ludzie tak zrazili, że marzyłabym o śmierci, co by było wówczas świata po mnie?...

- Bardzo wiele! Wskazać pani inny cel, inne horyzonty, gdzie by pani ludzie nie dosięgli.

- Czy pan rysuje obraz klasztoru? To nie dla mnie.

- Nie, ja zmierzam do zamążpójścia pani.

Rzuciła się w tył niecierpliwie, ironiczny wyraz osiadł na jej twarzy.

- Ach! i pan?... Myślałam, że choć pan odstąpi od tego szablonu wydawania mnie za męża. Zresztą jeśliby mnie ludzie zrazili, czyż mogłabym iść pośród nich znowu?...

- Owszem! Iść ręką w rękę z człowiekiem, który by się świata nie bał a z ludźmi dał sobie radę.

- Więc musiałby w nich wierzyć.

- Niekoniecznie, mógłby ich równie dobrze puszczać kantem.

- To rzadki wytwór ludzkości, taki człowiek.

- Czyż pani wszystkich bez wyjątku podsumowuje pod swój kodeks?...

Zamyśliła się.

- No nie, ja zresztą nie doszłam jeszcze do takiej ostateczności. Niekiedy doznaję wrażeń przeciwnych, są ludzie, którzy mnie nawet pociągają, wzbudzają ufność, którym wierzę.

- Doskonale! Między nimi wybrać człowieka dostosowanego do pani i w drogę, w przestworza! A ludziom rzucić na pożegnanie spazm ironicznego śmiechu.

- Powtarzam panu, to nie dla mnie. Szablon, szablon!

- Za pozwoleniem, co pani nazywa szablonem w tym wypadku.

- Co?... Wychodzenie za męża, gdy się do tego nie ma przekonania, zwłaszcza powtórnie. Pojęcie ludzi, że młoda kobieta samotnie żyć nie może czy nie potrafi... bo ja wiem! W danym wypadku szablonem jest pańska troskliwość o moje secundo voto. Wszędzie naokoło to samo słyszę.

Przesunął ręką po czole i wpatrzył się w nią długo?.Boważnie.

_ Pozwoli pani, że wszystkiemu zaprzeczę. Naj(^erw zamażpójście bez przekonania ja nazywam wprost niemoralnością. OJ~^nie się kobiety męż- czyźnie bez wewnętrznego popędu, sugestii płynącej i Jednakowych temperamentów czy duchowych poglądów - jest usankcjoitfw*mą prostytutką. Jed- nakowo nazwa ta przysługuje pannie jak i wdowie, nai^ więcej wdowie, gdyż jest bardziej uświadomioną. To punkt pierwszy. Dalej lu*dzie myślą, że młoda kobieta samotnie żyć nie może, czy nie potrafi. MozU ~x- na pewno, ale czy potrafi, to pytanie...

_ ja nie widzę w tym różnicy - przerwała Anna

- A jest wielka. Życ samotnie, bez oddanego sok|e człowieka, który pa- nią osłoni i stanie się jej tarczą w życiu, mistrzem, dofrWi duchem, pani żyć może zapewne, ale czy pani za takim istnieniem nie z^skni?... Czy pani nie będzie jak bluszcz, co bez podpory nie rośnie w góręjeft;z wbrew przeznacze- niu wije się na ziemi tęskniąc za opoką?... Może zji' Sylko nie potrafi być szczęśliwym. Pani jest jak ów bluszcz, choć się pani poiW^s co najmniej za dąb. Więcej ma pani energii niż siły i naturę swą tęgą, tóez;wą i oryginalną, ale kobiecą przygniata pani ambicją wystarczanie sobie, f Pbełnia pani bład. Jest pani silna duchowo, ale nie tak dalece, aby przejśćF^zez życie bez opieki i jakiejś większej siły. Jest pani trzeźwą, lecz nie do f^^o stopnia, aby świat i ludzie jej nie razili. Jest pani bluszczem i mimozą, te<ltvi-*ie rośliny rzucone na pustyni zginą zawsze. Ma pani ideały, dążności, którt^ czyn wprowadzone być nie mogą, gdyż za słabą jest pani kobietą: wra(|WWą, głęboko czującą, z sercem i wschodnim temperamentem. Niech się panil'6 - krzywi na ten super- latyw, zanadto go ludzie okrzyczeli. W rzeczywistościrfr%^az ten użyty dobrze, jest niezastąpiony.

- Względem mnie jest źle użyty - przerwała leli' v wznosząc ramiona.

- Pani daruje, lecz sąd o tym ma zawsze drugiPjblowa rodu ludzkie- go. Wracam do rzeczy. Nie jest pani emancytantlt) c^h chociaż wysoce kul- turalną kobietą, czyli że wszystkie cechyfjakie wymii"ia*"tem, sformułowane, wytworzą stanowczy wniosek, że pani samotnie życiil!*taoże, ale szczęśliwą być nie potrafi i jak mimoza wśród piasków zwi;ilie3e pani prędko, tak moralnie jak i fizycznie. A to by była szkoda nie d('a%rowania. To punkt pierwszy.

- I ostatni chyba?

- Czy znudziłem panią?

- Co znowu?... - rzekła żywo. - Przeciwnie, to!° o pan mówi, zajmuje mnie bardzo, pan mnie znudzić nie może.

A jednak nazwała mnie pani szablonowym?...

- To w innej kwestii, to co innego.

- Właśnie teraz o tej innej kwestii będę mówił^tzej bronił się. Pani twierdzi, że szablonem jest moja troskliwość o pam^Sundo voto, otóż ja temu zaprzeczam.

Poruszyła się żywo.

- Już widzę, że się omyliłam. Pan głębiej tłumao"Vi%ą troskliwość i mó-

wi pan z zasady, podczas kiedy inni tylko dla braku tematu lub z obowiązku pochlebia mi, że o mnie i o małżeństwie razem można jeszcze mówić. Miłosierne dusze! To jedynie nazywam szablonem.

- I jest pani w prawie; ja mówiłem z przekonania, a po drugie mam w tym osobisty cel.

Otworzyła szeroko oczy.

- Cel? Jaki? - spytała.

Podsunał się bliżej i wziął obie jej ręce w swe gorące dłonie.

- Abyśmy razem szli w przestworza i abyś wsparta na moim ramieniu mogła rzucić ludziom spazm ironicznego śmiechu.

Głos jego o niskich tonach brzmiał uroczyście.

Anna zbladła, cofnęła się przestraszona, ale trzymał jej ręce jakby w kleszczach. Fala krwi uderzyła jej do głowy oblewając twarz i szyję.

- Panie, co to znaczy? - wyjąknęła.

- Chcę, abyś mi podała rękę, została moją żoną.

- Ależ panie Andrzeju! My się prawie nie znamy. Wie pan, że gdybym go mniej szanowała, mogłabym się obrazić.

- Nie pani, kobieta obrazić się może wówczas, gdy jej mężczyzna okaże brak czci. A ja składam jawny dowód, jak panią wysoko cenię, skoro ją chcę mieć dla siebie.

- Czy to ma być pochlebny dla pana czy dla mnie?...

- Dla nas obojga.

- Czyli, że zaszczyt?...

- Jest z obu stron - dokończył.

Patrzył jej w oczy z pewną dumą i wielką pewnością siebie. Ona po chwili spuściła powieki.

- Więc czy tak?...

Podniosła głowę, gwałtownym ruchem wysuwając rękę z jego dłoni.

- Proszę pana niech mi pan powie, co pana skłania do podobnej prośby?...

Wyprostował się dumnie.

- Głębokie przekonanie - rzekł z mocą.

- Przekonanie?...

- Że będziemy szczęśliwi, że pani jest kobietą, jakiej dawno szukałem, a ja najodpowiedniejszym towarzyszem dla niej. Musieliśmy się w życiu spotkać i powinniśmy iść razem w jego szranki.

Patrzyła na niego zdumiona, imponował jej, porywał czarem.

- Ależ gdzie jest pańska teoria, jaką pan przed chwilą głosił, że małżeństwo bez głębszych idei jest... jak pan to powiedział?...

- Niemoralne, i to samo teraz powtarzam, ale w naszym położeniu idea istnieje: obopólny pociąg ku sobie.

- Z pańskiej strony - rzekła z akcentem.

- I ze strony pani także - odrzekł śmiało.

- Pan jest zarozumiały! - wybuchnęła.

- Nie, pani, tylko pewny siebie.

— \wiec pan myśli, że go Kocham?... * • J'.

- Jeszcze nie, ale to nastąpi niebawem, za małośmy ze sobą przebywali.

Tymczasem jestem pani wybranym typem, tak jak pani jest moim. Mamy na siebie wpływy. Zrobiłem na pani wrażenie od pierwszej chwili, ja zaś ujrzawszy nią powiedziałem sobie, że będziesz moją. Jest to nieomylny znak jednako-
wej rasy, spotkanie się pokrewnych typów.

- Mówi pan jak Bourget.

_ Ach tak, no więc i pokrewnych dusz. Czy pani wierzy w platoniczną miłość?...

Zastanowiła się, po czym poruszyła głową.

_ Nie, może być platoniczne uczucie polegające więcej na przywiązaniu, ale miłość, w całym słowa znaczeniu, ma zawsze podkład inny.

_ Zmysłowy, mówmy otwarcie, pani rozumie to jednakowo dobrze jak ja. Nasza miłość wyrośnie nie tylko na tej glebie. Obecnie pojmują się nasze duchy i popycha nas ku sobie wspólność typów. Wszystko to z czasem stworzy potężne uczucie.

- Więc pan mnie również nie kocha?...

- Owszem, ale po swojemu. Dlaczego pani powiedziała również?

- Bo i ja pana nie Kocham.

- Owszem, ale także na swój sposób.

- Ha! ha! ha! - śmiała się Anna podnieconym śmiechem. Wsparta o ak-
samitną poduszkę śmiała się serdeczną, długą gamą.

On siedział milczący, wpatrzony w nią. Szare jego źrenice nabierały blasku, twarz bladła. Na sfałdowanym czole żyły miał nabrzmiące, nozdrza mu latały, usta zacinał.

Nagle zerwał się, stanął przed nią i porywając jej rękę zawołał stłumionym głosem:

- Pani Anno, co znaczy ten śmiech?... On mnie obraża, z czego się pani śmieje?...

- Z sytuacji!... cha, cha, cha!...

Ścisnął mocno jej dłonie, przeczuwał w tym śmiechu jeszcze coś innego i milczał.

Po chwili usiadł, ona się uspokoiła. "

- Dlaczego sytuacja nasza wydała się pani tak śmieszna? - spytał.

- Nie wiem, nie wiem! Nawet nie śmieszna, ale... dziwną. Sam pan przy-
zna, że nasza rozmowa...

O tak, jest dosyć oryginalna i mogła powstać tylko między ludźmi tego rodzaju co my. Z panią nie mogę rozmawiać jak z pierwszą lepszą panną, i nie umiem padać na kolana prosząc o rękę. My z sobą musimy mówić inaczej.

^,azdym razie na odpowiedź pani czekam za długo.

^puściła głowę. Milcząc zaczęła gładzić białą, delikatną ręką fałdy sukni.

^a palcu jej błyszczał brylant oprawny w złoto.

Milczenie trwało. Po twarzy jej przelatywały fale bladości i gorące płomie-
nie. Oczyma mrugała, usta jej drżały. Pierś opięta stanikiem podnosiła się

szybkim tempem.

10

11

On oka z niej nie spuszczał. Powoli wziął jej rękę i bez słowa, z pewnością siebie, ściągnął migocący brylant z jej palca i wsunął na swój mały palec. W zamian na jej białej ręce błysnął pyszny rubin oprawny w brylanty i krwa-
wił się jak krwi kropla. Ona nie bronila się, więc pochylony przycisnął do rozpalonych warg jej miękką, ciepłą dłoń. Wówczas powstała jakby siła unie-
sienia i w milczeniu, z ogniem w oczach, podała mu drugą rękę. Stali patrząc na siebie; z namiętych ust jego wionął szept.

- Moja?...

- Tak! Wzięłeś mnie...

Objął ramieniem jej postać i wyciągając rękę wskazał szerokie równiny za oknem, w czerwieni gasnących zórz.

- A teraz w przestworza! - zawołał gorąco.

Spojrzeli na siebie poważnie i połączył ich długi, serdeczny uścisk.

Panem et circenses!'

W salonie księżnej Idy raut rozpoczęty.

Wśród cieplarnianych kwiatów przechodzą strojne pary, grupy pałm kryją rozmarzonych.

Eros szepce tu cikliwe słowa, powiew jego skrzydeł roznosi echa. Zaba-
wa kipi. Mężczyźni i kobiety chciwymi dłońmi czerpią z urny bogactwa i wesela migotliwe cacka. Nurzają się w szerokim źródle zapomnienia. Dro-
gocenna klatka pałacu otacza ich miętko, lecz stanowczo, chroniąc od ze-
wnętrznych burz. Przewodników światła mają mnóstwo, elektryczność jest na zawołanie. Kwiaty, wykwintne potrawy na srebrze, wszechświatowe wi-
na. I muzyka upoista, gdy się słuchać chce, i amfory pełne uroczych nek-
tarów zabawy.

Złota, ciepła, wygodna klatka.

Księżna Idą w otoczeniu przyjaciół żaliła się wdzięcznie, z grymasikiem na ustach i po francusku.

- Jesteśmy pogrążeni w zupełnej ciasnocie warunków, taka bezmierna nuda, to źle działa na duszę, mnie już ogarnia spleen.

- Odwagi księżno, odwagi - pocieszał hrabia Artur. - Ten martwy sezon już się kończy.

- Ach, tak się nieznośnie wlecze! Co hrabia myśli robić z jesienią?...

- No, przede wszystkim wyścigi; zapowiadają się dobrze, ogromny będzie zjazd.

- I pyszne okazy koni - dodał jakiś hrabicz.

- A trenerzy?... można powiedzieć ^europejskie siły.

- Trochę za mały nasz hipodrom - ozwał się z lekceważeniem baron Lulu. - Mała satysfakcja, wolę totalizatora.

- O!

- O! Pyszna gra. Pan zapewne jedzie potem za granicę?...

- Do Wiednia, hrabino - odpowiada Lulu, pożerając oczyma spod szkieł okrągłą figurę hrabiny Wiki w mocno przewiewnej sukni.

- Rozkoszne miasto!

Lulu zaczyna się zapalać.

- To właściwie nasza stolica! W Warszawie nawet Jockey-Clubu nie ma.

13

- Co tu jest?... - zżymnęła się księżna Idą - prócz Hersego, który... ujdzie, więcej nic.

Lulu uśmiechnął się.

- Przedtem jednak muszę odbyć niemiłą podróż na Ukrainę do swoich dóbr.

Hrabia Artur spytał naiwnie:

- Pan się nimi zajmuje?...

- Wyciskam - odrzekł Lulu z dowcipną miną, wysuwając głowę naprzód; ręką robił ruch, jakby wytłaczał mokrą gąbkę.

- Ach tak! Cela va sans dire!

- Po cóż by inaczej jeździł? - wzruszyła obnażonymi ramionami piękna Wika.

- A panie jakie snują projekty na zimę?...

- O, bardzo urozmaicone, bardzo poważne. Namawiam księżnę, aby towarzyszyła nam w podróży - mówiła Wika. - Jedziemy liczną paczką na Wiedeń, Riwierę. Będziemy w Paryżu, nawet tam najpierw, bo nęcą nas wyścigi i miejscowy high life.

- O! to projekty rozległe.

- Jeszcze nie wszystkie, mamy być w Madrycie na walce byków.

- Aż tak?...

- A tak, na walce byków - potwierdziła Wika z triumfem. - To musi być bajeczna przyjemność, rozkosz podniecająca nerwy. Marzyłam o tym zawsze.

- I mnie to dziwnie ciągnie - zaśmiała się Idą - potrzebuję takich wrażeń, aby żyć. U nas ich brak szalenie. Teatr błady, me sprawia emoqi, jedynie operetka daje czasem żywszy impuls. Cyrk nędzny.

Lulu ujął się.

- No, walki siłaczy niezłe, to drażni.

- Tak, byłam parę razy, ale denerwuje mnie zawsze wyjąca tłuszczka na górze, nawet w łoży nie można swobodnie patrzeć.

Hrabina Wika zmysłowo odchyliła swe perłowe ząbki z karminowych ust.

- Ja lubię siłaczy, szczególnie był jeden taki piękny jak posąg, nazywał si? Freszt. Gladiator prawdziwy.

Idą skrzywiła się.

- Mnie tylko zajmowała ich energia i takie bajeczne muskuły.
- Zazdroszczę paniom Madrytu - mówił Lulu.
! - Więc jedźmy razem.
- Z żalem, lecz nie mogę, mam pewne sprawy w Wiedniu.
- Erotycznej natury - bąknął brzegiem ust hrabia Artur.
Obie panie ciekawie błysnęły oczyma. Lulu patrząc na hrabiego położył palec na ustach.
- Dyskrecja hrabio... - szepnął z uśmiechem i dodał głośno: - Mam si? tam zjechać z przyjaciółmi, Jockey-Club nas zjednoczy.
- Pękną tysiączki - rzekł młody hrabicz.
Lulu spojrział na mego z góry.

__ Mam ich dosyć, Ukraina mi dostarcza, zresztą nie daję zasypiać jej, darń stale dochodów i administracja musi dawać.

_ A strajków u pana nie było? - spytał hrabia.

_ Nie uważałem na to, to rzecz administracji. Ja muszę mieć pieniądze i dają mi je.

_ Podobno w tamtych stronach społeczny ruch rozwinięty?

_ Nie słyszałem, może wśród drobnych obywateli.

- Owszem było parę nazwisk naszych, myślę jednak, że i oni robili społeczność tylko dla rozrywki. To ma nowy smak, przy tym wzbudza zaciekawienie u plebsu. Jedni dążą w ten sposób do zabawy, inni do rozgłosu.

- Bo nam już wiele rzeczy spowszedniało - odrzekła Idą - pragniemy nowości, a tych nie ma. Wieczny głód wrażeń.

Lulu wysunął głowę naprzód mrużąc oczy.

- Ja prócz wrażeń pragnę jeszcze jednego motoru do życia, najgłośniejszego...

- Miłości?... - podchwyciła Wika.

- Mamony!

Wszyscy potwierdzili, Wika wzruszyła ramionami.

- Ja tam o to nie dbam, muszę mieć dużo złota i mąż mi daje.

- A pani mąż musi mieć jeszcze więcej i również nie dba o to, bo muszą mu dać: majątki, różne dzierżawy, lasy - oto nasi bankierzy, od nich żądamy, od kraju - mówił hrabia Artur.

Orkiestra na ukwieconej estradzie zaczęła grać walca z "Czaru": "Śpiewaj, ach, śpiewaj, walczyku ty". Hrabina Wika słuchała siedząc w niedbałej pozie, oczy melancholijnie przykryła powiekami. Wachlarz drżał w jej dłoni. Baron Lulu pochylił się do jej ramion.

- Pani marzy?...

Ocknęła się, powłóczyście wzniosła oczy.

- Ładny walc... do tęsknot pobudza. Więc pan nie jedzie za nami?...

- A pani mąż?...

- Aż do grudnia poluje na renifery gdzieś tam u barbarzyńców północy.

Lulu przysunął się bliżej.

- W takim razie... jadę... jako gladiator... czy zwyciężę?...

- Kusicielu! - szepnęła Wika zalotnie.
- Czy zwyciężę przeciwnika?... - powtórzył.
- Męża?... przez to samo, że nieobecny.
- Co państwo projektują? - spytał Artur.

Wika i Lulu zaśmieli się swobodnie, ona odrzekła:

- Nowe igrzyska! Baron jedzie z nami na walkę byków, potem do Monte Carlo na tir aux pigeons i naturalnie... ruletę.
- Ja wolę trente et quarante - rzekła Ida.
- A ja bakarata - dodał hrabia Artur.
- Więc razem w świat do życia i zabawy! Bo ono jest w niej - zawołał Lulu.
- A teraz słuchajmy walca.

14

15

W dobrach milionowego magnata, którego okolica znała pod nazwą Jxre zusa, oczekiwano wielkich zmian. Krezus otrzymał bardzo znaczny spadek p rodzicach. Jego kapitały, mocno nadszarpnięte na różne potrzeby majątkowi spęczniały poważnie. Krezus w każdym majątku miał fabrykę, gorzelnię browary, turbinowe młyny. Podziwiano jego czynność, ale jakoś nie miał przyjaciół. On o to nie dbał, czując się wyższym nad opinię pospolitych ludzi. Używał świata i jego bogactw; w swych dobrach dawał zarobki wszystkim, którzy mu byli dogodni; roiło się tam od Niemców i Żydów, bo ich Krezus uważał za najpraktyczniejszych. Bawił się w sport puszczając konie na tory, a gdy raz jeden koń złamał nogę, Krezus z zimną krwią zabił go sam. Nie lubił nieużytków. Do pasji jego należało polowanie z chartami pierwszy pędził za nimi, wpijając ostrogi w boki wierzchowca aż do krwi Z rozkoszą patrzył na psy, jak rwały zająca, upajał się wrzaskiem mordowanego zwierza.

Krezus lubił i umiał się bawić po swojemu.

Nagle przyszły dziwne czasy, jakieś fermenty wśród ludu, agitatorstwo, filantropie.

Krezus kręcił głową powątpiewająco.

- Czego się to im zachciewa?... - mówił do żony.

- Plebs zawsze nieugłaskany - odpowiadała ironicznie Krezusowa.

Ale ruchy wzrastały. Różne związki obywateli, uczącej się młodzieży, różne partie przewrotowe zdumiewały Krezusa.

Spółeczeństwo, kraj, lud, brzmiało dokoła, wywołując wielkie ofiary, rodzając zapał.

Do Krezusa zaczęły napływać prośby, odezwy o składki na cele społeczne. Z początku czytał i słuchał z zajęciem, potem listy szły do kosza, a ustnie proszącym odpowiadał:

- Nie mam pieniędzy, jak dostanę spadek... wtedy...

Rzucił w powietrze obietnicę podkreślając ją wymownym gestem.

Życzliwsi brali jego stronę.

Nie ma gotówki, wszystko włożył w majątki, poczekajmy.

I fakt się spełnił. Olbrzymie sumy wzbogaciły kasę Krezusa. Oczekiwano zmian.

- Teraz on sypnie na dobre cele, teraz społeczeństwo pozna w nim opiekuna i patriotę* - mówili optymiści.

Posypały się piękne projekty okolicznych działaczy. Zakładanie szkole! w dobrach Krezusa, gdyż nie było ani jednej, ochron, szpitali.

Kosztorysy przedstawiono Krezusowi, ciesząc się z jego filantropii] n> c" obietnic.

Grono obywateli pragnęło utworzyć parę instytucji społecznych, szerszej działalności z udziałem inicjatorów. Liczono na największy współudział K1^ zusa. On kręcił głową na sesjach, wydymał usta, marszczył brwi i ciągle p^o wtarzał:

Genialna myśl, tak, tak, wybornie.

~". na Sesjach się kończyło. Krezus pieniędzy nie dawał, ciągle mając na ' pilniejszego", a ruch brwi i gest ręki nasuwał pewność, że to coś ^ r kano cierpliwie, chociaż wśród pesymistów zaczęto sarkać. Optymiści US^ • - czekajcie! To się pokaże, on pewno coś robi; dotąd skrycie, ale

— orawda wyjdzie na jaw; to musi być gruba robota.

I prawda wyszła. Krezus zaczął odnawiać pałac. Sprowadzeni z całego 'wiata artyści kierowali robotami. Rzeźbiarze, malarze, pracowali za olbrzymie sumy czyniąc bogaty pałac skarbnicą przepychu i zbytku.

Marmurowe sale, kryształowe sufity, drogocenne materie rzucane na ściany W parku zrobiono istny pogrom z niepotrzebnych drzew. Lipy, stare dęby, odwieczne buki - to przesąd krajowy - poszły pod topór. Zastąpiły je angielskie ogrody, zagraniczne drzewa. Sadzono cyprysy, muzy, magnolie. Gustem naśladowano Schönbrunn.

Krezusostwo krzatali się ogromnie zajęci.

- Cywilizujemy kraj - mówiła Krezusowa. - Trzeba mu dodać choć jeden prawdziwie europejski pałac.

- A szkoły, szpitale?... a nasze projekty?... - pytali trochę zmatowieni optymiści.

- Cierpliwości panowie, ja myślę o kraju, ja działam, lecz... do czasu...

- odpowiedział Krezus.

Znowu ruch dyskrecji i obietnic.

Pani Krezusowa tymczasem układała coraz nowe pomysły; dopomagał jej w tym jakiś młody, błękitny ptak miejski, który wplątał się w grono arystokracji i zyskał uznanie, nawet zachwyty. Stał się on encyklopedią gustu dla Krezusostwa, doradzał, chwalił lub ganił i tysiące grzędły w posadzkach i murach pałacu.

Pani Krezusowa jednocześnie bardzo polubiła zielony kolor. Okolica zdi-

wi a się ujrzawszy nowy zaprzęg Krezusowej jadącej na spacer. Lando miało zielone (papuziaste) aksamitne wybicie, stangret i lokaj zielone liberie ze złom, angielskie szory i zielone paski, a Krezusowa w jasnozielonej sukni z chiłego jedwabiu, w takim samym kapeluszu, rękawiczkach i z koronkową Parasolka w zielone pasy.

zaczł Zł* ^° ws',acn °twierali gęby na tak niezwykły widok, a oświeceńsi ^ gadywać, do jakiej partii należy Krezus reklamowany przez żonę. mci wyraźnie machali rękoma, nie mając już poparcia optymistów, naJWięksł prawie odnawiali pałac, dwa lata najcięższych trosk społecznych, Prze n zaburzeń, uajgwałtowniejszych potrzeb kraju. o wier?vr w ODiecująCe gesty Krezusa i odzywać się do niego Rozzalenii optymiści spoglądali na niego z ukosa, pesy-Krezusostwo rozesłali mnóstwo zaproszeń na bal

16

- - C:

ZUC.dc ij

17

do nowej uklejnutowanej klatki. Przedtem jednak drgnął w Krezusie społec2. ny nerw, zapragnął działać.

Do okolicznych obywateli, pesymistów i optymistów, nadeszły własnoręczne listy jego zapraszające na sesję w pałacu, gdzie przedstawi swe programy. Powstał mały szumek, jedni się zapalali, drudzy chłodzili. Wiedziano bowiem, że odnowienie rezydencji pochłoneło takie sumy, że z dawnych został resztki. Ciekawość przemogła zwątpienie; pojechano.

Krezus przyjmował "braci patriotów" - tak ich nazywał - bardzo czuli i gościnnie. Dał im wybornych win, jeszcze lepszych ostryg i najlepszych cygar. Wielu pod wpływem tych śliczności wybaczyło mu wszystkie zawody, pit0 jego zdrowie z zapalem. Lecz większa część gości była wstrzemięźliwszą. Po obiedzie, czarnej kawie i cygarach przypomniano właściwy cel zjazdu, pytają< o programy.

Krezus ruszył poważnie brwiami i uroczyście powstał z fotela. W głębokiej ciszy zaczął mówić pewnym głosem.

- Właśnie wezwałem tu panów, pardon!... sprowadziłem... właściwie..., prosiłem na sesję... tak, na sesję w celu omówienia pewnych pomysłów społecznych. Dziś stoimy na drabinie, bardzo - rzecz można - górnej, mówię my, patrioci. Szerokie horyzonty mamy przed sobą do działania. A zatem... a zatem nie zasypiajmy panowie! Dzwon obowiązku nas woła, nie cofajmy się!... W salonie przemknął lekki szmer, kilka głosów mrukneło.

- Nie może się cofać, kto nie szedł.

- My nie spaliśmy wcale.

- Dzwon obowiązku dawno brzmi.

Krezus mówił dalej.

- Ja więc jako patriota pragnę panów wciągnąć w swe zamiary, mam nadzieję, że pójdziemy razem, nie odmówicie mi!

Znowu pomruk.

- Nas wciągnąć?... To myśmy wciągali bezskutecznie.

- Chcę przedstawić projekt - mówił Krezus - abyśmy wszyscy jednocześnie podnieśli płacę dla służby. Ja daję przykład. To, panowie, będzie czyn filantropijny, to trzeba przegłosować. Rzucam myśl! Teraz druga...

Spojrzał po obecnych sprawdzając wrażenie. Siedzieli zagadkowo milczący, tylko jego sekretarz kręcił się na krześle.

- Teraz druga: trzeba po wsiach (uradzimy, w jakich) pootwierać małe sklepy, rodzaj restauracji, gdzie mogliby zjeść i wypić na wzór zagranicznych bierhallów. Do sprzedawania nic, tylko opłata (uradzimy, jaka) za jedzenie i picie. To punkt drugi...

Znowu spojrzał na salę, czekał oklasków, ale nie było ich; sekretarz kręcił się ciągle.

- Punkt trzeci i... ostatni: dać ludowi, który nic nie ma prócz pracy... dać mu...teatr!...

Milczenie; sekretarz spadał z krzesła. Wszyscy siedzieli jak uśpieni, istotnie myśląc, że śnią. Krezus zniżonym głosem kończył.

_ - Te trzy punkty zaznaczam jako niezbędne. To podniesie ducha, wzmoże i ostatecznie będzie kulturą dla tych mas... ciemnych. Wiercie mi, panowie, S teatr da ogromny impuls, sztuka wyrobi w ludzie estetykę i zamiłowanie do l ekna. Ja, powtarzam, daję przykład i zaprowadzam to u siebie.

^ __ Ale za co?... - odezwał się rozgorączkowany sekretarz.

Krezus zdumiał się.

- Jak to za co?

_ Bo na to, panie szefie, trzeba pieniędzy dużo, a u nas...

_ Co?... co?... nie rozumiem!

_ A u nas już ich... niewiele...

Zgromadzenie poruszyło się. Panowie powstali z krzeseł; rozległy się głosy chłodne, zawiedzione ostatecznie.

- Choćby pan miał pieniądze - mówiono do Krezusa - to nie jest cel pakować w bierhalle zagraniczne i rozpijać lud do reszty. Restauracje również nie na czasie.

- Co do podwyższenia płac, to żaden z nas na to się nie zgodzi z tej racji, że na to nie ma. Podwyżki były po strajkach, są już wyżyłowane, więcej dać nie możemy.

- Filantropia z cudzej kieszeni - padł jeden głos.

- A teatr jest głupstwem, tam gdzie brak szkół, analfabetom potrzebniejszy belfer niż aktor.

- Myśmy pozakładali ochronki, ale te nic nie znaczą wobec ogromnej potrzeby oświaty.

- Liczyliśmy na pana i jego dawne obietnice. Społeczeństwo wymaga ofiar, nie okruszyn.

Gdy po chłodnych pożegnaniach z obrażonym Krezusem "bracia patrioci" rozjechali się, on mówił do żony z ironiczną miną.

- To profani! Nie potrafili ocenić moich pomysłów. Cóż wznioślejszego jak dać ludowi byt i sztukę?...

Krezusowa leżąc na kanapie ziewnęła rozkosznie. A

- Mówiłam ci, daj pokój, nie wdawaj się z nimi, sameś sobie winien.

On kręcił głową i uśmiechał się. V

- Dziwni, dziwni ludzie - powtarzał.

Pani nagle zerwała się z kanapy.

- Mój drogi, mówmy o balu! Już za parę dni. Co ty sobie myślisz?...

Krezus ożywił się.

- A prawda! No więc?...mów. Plan powzięty, opracowałeś go pewno?...

. t ~ Naturalnie, ze szczegółami. Otóż najpierw bal z udziałem muzyków i śpiewaków. Przy tym rakiety, ognie bengalskie, potem turnieje. Mam zamiar urządzić konnego kadryla. No"* i polowanie par force. To już twój wydział.

A na jesień uciekamy zagranicę, prawda?...

Położył się na kanapie i wyciągnięty wygodnie mówił powoli.

" Chyba tak. Pałac skończony, możemy jechać, a tam się jakoś inaczej

18

19

żyje, rttiętko i zarazem podniecająco. Wiesz?... tęsknię już do francuskich sałat i Lacrima Christi.

- A do rulety?...

- O, także! Muszę dużo wygrać, trochę jesteśmy splukani. Ten pałac bajeczny, aie drogi.

- To trudno, mon cher, noblesse oblige, my nie możemy mieć innego pałacu

- Muszę wygrać - powtórzył sennie Krezus.

Przymknął oczy i widział już czarny stół w kasynie, poznaczony figurami krupierów. Złoto błyszczało gromadnie.

- Muszę wygrać!

To okrzyk i dewiza zbestwionego tłumu, już się on nie powtórzy. Ma-
^NŚmSeni, z wyrazem wstrętu w twarzach, panowie magnaci wychodzi-
'ruiny Colosseum zdawały się śmiać ironicznie wyszczerzonymi i dziurawych łóż. Odwieczny gmach igrzysk zegnał nowoczesnych w barbarzyńskim okrzykiem:

"Panem et circenses!"

Południowe, złote słońce Rzymu rozjaśniało olbrzymie mury Colosseum. Wpełzając w szczyby i oczodoły okien świeciło na kamieniach, ogrzewało

gruzy. Październikowe słońce, już łagodniejsze lecz zawsze jaskrawe. Miliony raz rozblęskło na jasnych kostiumach pań i panów, którzy weszli na dawną arenę podziwiając jej starożytność.

Panie brały piasek w rękę i odłamki kamieni. Mężczyźni dotykali murów.

byli rozciekawieni, weseli.

Księżna Idą oglądała gmach z zajęciem.

- Czy ta arena większa czy madrycka?

K Hrabia Artur badawczo badał ruiny.

- Trudno osądzić, tu pustka a tam urządzenia, ławki i publika.

- Ach, te walki! Nie wychodzą mi z myśli - rzekła jedna z pań.

Przewodnik wskazywał lożę Cezara, powtarzając słowa nieskończonej śpiewki swego fachu.

Baron Lulu, Wika i Krezus chcieli koniecznie usiąść na ruinach dawnej loży, ale im odradzono, powalają się ubrania.

- Tu siedziała Poppea i Neron - mówiła jakaś księżniczka - a tu może Winicjusz i Petroniusz.

- A tu na arenie była Ligia i Ursus.

Przewodnik nie słuchając rozmowy turystów objaśniał bez przerwy, trzepiąc po włosku wskazywał górne piętra ruin.

- Tam gromadził się lud rzymski zebrany na igrzyskach.

Hrabia Artur' zamyślił się.

- Tak! - rzekł po chwili. - Mury te pamiętają dużo, czasem i tu rozbrzmiewało nieludzkie wycie plebsu:

"Panem et circenses!"

Towarzystwo skrzywiło się, niesmak osiadł na wszystkich ustach.

- Eee! Takie wstrętne rzeczy pan wspomina - zawołała Wika.

- Fe! Idźmy stąd - rzekł Lulu - hrabia poruszył poziome wspomnienia.

uśmiechnął się.

1

20

Zielona bryczka

W dużym salonie wiejskiego dworu znajdowało się kilku panów, wyświeżonych, we frakach, z białymi bukietkami przy klapach; rozmawiali ze sobą cicho. Jeden mówił:

- Czy uważacie, jak długo pan młody nie przyjeżdża? Panna już dawno ubrana, tylko udaje, że się jeszcze stroi, bo się pewno wstydzi a może i złości. D

- Daj spokój - może jej przykro.

- Więc sądzisz, że jej tak o niego chodzi? O niego osobiście? u

- Nie byłaby jego narzeczoną.

Młody, zgrabny brunecik roześmiał się wesoło, pobłyskując białymi zębami pod ciemnym, jedwabistym wąsikiem.

- Paradny jesteś, Stefanie! Że jest jego narzeczoną, to niczego nie dowodzi. Wątpię, by się ona mogła tak prędko zakochać, ona - powtarzam. Znają się zaledwie ze dwa miesiące, to dla niej za mało. Mój drogi, ona woli jego mihoniki niż jego pocałunki, woli brylanty niż oczy. Och! Znam ja tego rodzaju gwałtowaną miłość.

- Cynik jesteś - odrzekł wysoki, tęgi blondyn o marzących oczach, zwany Stefanem.

- A ty idealista.

- Wolę to.

- Ja zaś wolę być cynikiem, zwłaszcza w tym razie jestem przewidujący.

- Co ci zawiniła panna Emilia, że ją tak posądzasz?

. - Och, mnie nic, nie myślcie, że jestem zazdrosny. Cała sprawa w tym, że ja dawniej błyszczałem i przez moje garście płynęło złoto; dlatego wiem, co to jest być świetną partią, och, wiem aż nadto dobrze. Ale od czasu, jak ojciec mnie wziął w ryzy, a moi rywale ogłosili za bankruta, szczęście do dam przysło, nigdzie nie mam weny.

Róžański może się podobać nie tylko jako świetna partia, ma urodę, Postawę, bardzo wykształcony, inteligentny.

, ~~ To znaczy, że ja pod tym względem tyłem upośledzony - zażartował Drunecik muskając wąsik.

Nie, to znaczy, że panna Emilia naprawdę kocha Róžańskiego, ja za to głosów odezwało się.

23

- Niech pan nie ręczy za nikogo, panie Stefanie, to się nie opłaci.

- Kto wie, czy Staś nie zna lepiej panny Emilii od nas.

- I może lepiej wie, czym się zapala ta rakietka.

Staś podniósł patetycznie ramię w górę i potrząsając dłonią zawołał:

- Elektrycznym blaskiem brylantów, moi panowie, niczym więcej; on nie potrafi inaczej kochać.

- Aon?

- On się prawdziwie zakochał; ona go wzięła na oczy, on ją na milion

- Kto tam jeszcze wie, czy on naprawdę taki bogaty.

- Racja, kto to może wiedzieć.

- Ba! Skiby - słyszałem od Wołyniaków - śliczny majątek, oprócz tego ma jeszcze gdzieś jakieś dobra.

- Byłeś u niego? Widziałeś? Mieszka daleko, koleją przyjeżdża, co ta można wiedzieć. Fama łatwo się rozchodzi.

- Ależ, dajcie pokój! - oburzył się Staś. - Bieda często ukrywa się po korcem, bo ją niechętnie prezentują, ale miliony, fiu! fiu! o ile same błyszczą o tyle lubią przedstawiać się strojnie. Róžański to bogacz, tego mu nie można kwestionować; zresztą, dowodzi tego żeniąc się bez posagu; teraz nie słycho o ślubie biedaka z biedaczką! Spytajcie Józefa Okmińskiego, to kuzyn Róży

kiego, więc wie najlepiej.

Wysoki, elegancki mężczyzna z czarnym zarostem wzruszył ramionami.

- Cóż mam mówić, sami zobaczycie.

- Aby tylko nie umknął, bo coś się diabło spóźnia - rzucił ktoś z boku

' - Prawda! Dalibóg, gotów drapnąć! - zaśmiał się Staś.

- Nie bądźże pan złym prorokiem.

- Byłaby katastrofa, co! Pomyślcie, ile dramatów i rozdzierających scen panna Emilia musiałaby wyszarpnąć ze swej duszy brylanty. Stary wyga Lad zaczęłby szukać znowu bogatego zięcia i - o zgrozo! Oko jego mogłoby pas na naszą grupę. Gwałtu! Czekam jeszcze pół godziny! Kwadrans! Potem kwituję z wesela i zmykam!

- Cicho, idzie ktoś.

- Idzie i szeleści - może już panna Emilia.

- Cicho bądź, Stasiu - mitygował kuzyna pan Stefan.

Do salonu weszła prędko młoda, przystojna kobieta, ubrana w różow atłas i ciemnobordowe róże. Spojrzała na grupę panów i szybko posunęła się naprzód, mnąc w rękę koronkową chusteczkę.

Pan Józef Okmiński wyszedł na jej spotkanie. Ona chwyciła go za rękę-

- Józefie, bój się Boga, czemu on nie przyjeżdża?

- Przecież panna młoda jeszcze nie gotowa?

Skrzywiła się i wzruszyła ramionami.

ł - Dawno ubrana, czeka i nie chce tu wychodzić, bo się wstydzi. Ale co jest, że jego nie ma?

- Spóźnił się po prostu, zaraz pewno nadjedzie.

- Przecież on ma przyjechać własnymi końmi, prawda?

- Właśnie dlatego spóźnia się; ze Skib trzeba jechać dwie doby, mozl

jakim popasie coś go zatrzymało? Wreszcie niepotrzebnie się alarmujecie, dopiero po piątej.

- Dobry jesteś! O szóstej naznaczony ślub.

- Do tej pory dwadzieścia razy przyjedzie, uspokój się, Marychno.

A gdzie są młodzi Łąccy? Niezbyt gościnni, że tak schowani.

Młoda kobieta uśmiechnęła się.

- U Emilki są, chodzą od okna do okna. Słuchaj, Józiu, a jak on naprawdę nie przyjedzie?

- Ale co znowu! Mówię ci, bądź spokojna; dwa dni rwał końmi, może je zmęczył i teraz się wlecze.

- Pójdę, uspokoję Emilkę.

Zaszeleściła suknią i wybiegła z pokoju.

Pan Staś przyskoczył do kuzyna.

- A co! Nie mówiłem ci, ubrana już, czeka, złości się a tu się wstydzi wyjść, bo nie chce być pierwsza, cha, cha, cha! Czy nie mówiłem?

- To nie dowodzi, że idzie za niego dla milionów - odparł Stefan.

- Czuję, że dziś wszystko się sprawdzi, com rzekł.

W tej chwili zaturkotało przed domem.

- Wiwat! Przyjechał! - zawołał Staś.

Jednocześnie weszli, a raczej wbiegli dwaj młodzi Łąccy. Jeden we fraku, drugi w galowym studenckim mundurze, z pretensjonalnie podkreślonym wąsikiem. Obaj skoczyli do okna.

Ogromne zdziwienie odbiło się na ich twarzach, spojrzeli na siebie, potem na obecnych panów, a starszy rzekł:

- Ależ to chyba nie Janusz? Cóż to znaczy? Kto to taki?

Panowie zbliżyli się do okna.

Przed gankiem stała bryczka pomalowana na jaskrawozielony kolor. Siedzenie przykryto kraciastym kilimkiem, spod którego wyglądała słoma. Na koźle siedział parobek w szarej burce i zwykłej czapce, trzymając w czerwonych rękach lejce i gapiąc się z otwartymi ustami na dwór i panów w oknie. Para koni chudych, z powycieranymi bokami od szlei, dopełniała całości zaprzęgu. Konie, widocznie zmęczone, oddychały szybko, para buchała z ich Doków, łby pospuszczały smutnie. Z bryczki wyskoczył lekko młody człowiek w płaszczu podróżnym.

~ ^a wszystkich twarzach odbiło się zdziwienie; Łąccy powtórzyli: "Co to o to znaczy?" - i wolno, nie spiesząc się wyszli z salonu.

tas spojrzął na towarzyszy i wybuchnął tłumionym śmiechem.

~ ~ A to historia! Jak mamę kocham, pękne od śmiechu! Cha, cha, cha!

~ P1, pokazał się twój milioner - zażartował Stefan, s szeroko otworzył oczy.

Cóż ty serio myślisz, że to jegS własne konie?

A czyjeż by?

~ ^ . t

cha, cha! Pyszny jesteś, jeszcze lepszy niż ta bryczka i ten forna!

25

W przedpokoju rozebrał się pan Janusz Różański i spoglądał na drzwi zdziwiony, że nikt nie wychodzi, nawet lokaja nie widać. Stał przed lustrem i poprawiając klapy fraka obejrzał siebie od stóp do głowy. Był to młody, bardzo przystojny mężczyzna; wysoki, dobrze zbudowany i zgrabny. Ale na czole pojawiła się zmarszczka, gęste ciemne brwi zsunęły się gwałtownie. Najechał palcami przystrzyżony wąs i znowu spojrzął na drzwi.

Nikt nie wychodził, zawsze go serdecznie przyjmowano, a teraz, kiedy przyjeżdża na ślub...

- Może kto chory - pomyślał z obawą.

Doszedł go z salonu tłumiony śmiech, poznał głos Stasia, który mówił:

- Cóż ta kareta tak długo stoi przed gankiem?

Brwi Różańskiego zsunęły się mocniej, podniósł głowę i chwilę popatrzył na zamknięte drzwi salonu. Coś rozważał, kombinował. I twarz mu drgnęła, oczy błysnęły trochę złowrogo a zarazem jakby ciekawością; zacisnął usta i pociągnął ręką po czole.

- A może?... - wyszeptał.

Jakaś myśl uderzyła go raptownie; wyszedł prędko na ganek, kazał sobie parobkowi podać walizkę. Wziął ją i zawołał do gapiącego się chłopaka:

- Jedź pod stajnię, niech ci tam dadzą obroku - mówił donośnie.

Po czym wszedł znowu, postawił walizkę i chciał otworzyć pierwsze drzwi z brzegu, gdy do przedpokoju weszli bracia Łąccy.

Róžański wyciągnął dłoń serdecznie.

- Jak się macie? - przemówił swobodnie. - Późno przyjechałem, prawda? Ale spieszyłem bardzo, możecie mi wierzyć. Czy zaraz jedziemy do kościoła? Panna Emilia czy zdrowa, gotowa już?

Dość chłodno podali mu ręce i starszy rzekł:

- Tak... zdaje się ubrana, proszę do salonu.

- Cóż jesteście tacy lakoniczni? - zdziwił się z bladym uśmiechem, patrząc na nich spod przymrużonych powiek.

Starszy otwierał drzwi, młodszy odpowiedział:

- Siostry ślub, to nic dziwnego.

- Przecież wiedzieliście, że ten ślub będzie, a gdzież panna Emilia? - dodał, wchodząc do salonu.

- Zaraz wyjdzie, ubiera się jeszcze.

Panowie otoczyli pana młodego kołem, witali go wesoło i hucznie. Łąccy zakłopotani zaciekali ręce wolno chodząc to tu, to tam po salonie.

Róžański nieznacznie śledził ich oczyma. We drzwiach stanęła panna młoda, cała w bieli, zasłonięta welonem i zapłakana. Ale patrzyła śmiało przed siebie z pewną dumą i widocznym chłodem w niebieskich źrenicach. Za nią postępowało kilka pań w strojnych toaletach.

Róžański żywo wyszedł naprzód, skłonił się paniom i stanął obok narzeczonej. Chciał wziąć jej ręce, mając na ustach serdeczne słowa, ale powstrzymało go jej zimne spojrzenie.

Podąła mu obojętnie końce palców i wysunęła, zanim zdołał do ust podnieść, po czym zwróciła się do starszego brata. Róžański zdumiał się, krew

jerzyła mu do głowy; zdawało się, że wybuchnie, ale trwało to chwilę, zmógł się całą siłą woli i uprzejmie zaczął witać panie rozmawiając swobodnie. Weszli rodzice panny młodej. Róžański zmarszczył brwi i zbliżył się do nich.

-- A, witam! - rzekł obojętnie stary Łącki podając mu rękę i dłoń Róžańskiego prędko uściskawszy ustąpił miejsca żonie.

Pani Łącka nie pocałowała jak zwykle przyszłego zięcia w głowę, tylko pochyliła się trochę dla pozorów, gdy całował ją w rękę, i zaraz odeszła do córki.

Drużki zajęły się przypinaniem bukietu panu młodemu, panowie, ze Stasiem na czele, dopomagali paniom w utrzymaniu wesołego nastroju. Lecz pomimo starań, atmosfera była ciężka, chłód wisiał w powietrzu.

Rodzice panny młodej wałęsali się po pokoju bezmyślnie, powtarzając każdemu z osobna: "że chwała Bogu, ładna pogoda na ślub Emilki".

Synowie szeptały ze sobą lub od czasu do czasu bąknęli coś do siostry,

która w swej białej, długiej szacie stała jak posąg mozolnie poprawiając coś przy wachlarzu. Pan Józef z różowo ubraną żoną szeptali na boku, uśmiechając się dyskretnie.

A Staś wstrzymywał dławiący go śmiech na widok zdumionej miny Stefana. Jeden Różański był spokojny pozornie, bo w duszy mu się coś łamało; uczucia serdeczne zamieniały się stopniowo w gorycz, ale nie chciały jeszcze wybuchnąć, jeszcze tliła w nich nadzieja, jeszcze myślał.

- Może się mylę, może nie to!

Z bukiecikiem bielejącym u fraka stanął obok narzeczonej. Byli na boku od całego towarzystwa; z lekka pochylił się i głęboko spojrział w jej oczy.

- Czy pani niezdrowa, panno Emilio? Bo coś pani jest - spytał tak serdecznym tonem, na jaki mógł się w tej chwili zdobyć.

Ona drgnęła, odparła chłodno nie patrząc na niego, i wciąż majstrując koło wachlarza:

- Myli się pan, nic mi nie jest.

- Nie wierzę, bo nawet pani zbladła.

- Nie powinien się pan dziwić... ślub dla kobiety to krok tak ważny... bez wrażenia przejść nie może.

- Lecz u pani wrażenie jest cokolwiek... za silne, staje się? niepokojące, niekonsekwentne z dawną pogodą.

Spojrzała na niego dumnie.

-- Pan mi wymówki robi? Już?

Zbladł dotknięty, zacisnął zęby i rzekł spokojnie:

Nie poznaję pani i widzę, że wrażenie przedślubne jest dla pań bardzo niebezpieczne.

Milczała ze spuszczonej oczyma, gryząc wargi.

~- Pani widocznie czuje brak odwagi do połączenia się ze mną, czy tak?

Prawie - wycedziła z grymasem.

• Nie dziwię się, bo i ja coś podobnego odczuwam.

~~ Pozwoli pan, że odejdę, głowa mnie boli...

Och! Nie śmiem pani krępować.

26

27

Popatrzył na nią badawczo, ^f .Je.szcze miłość nie dozwalała się zwątpieniu w duszy; reszta na^d2:iei szeptała:

- Może nie to?

,-,

fSZ'

A Staś mówił do kuzyna:

- Stefan, uważasz? RozumiefSZ

- Uważam, ale nic nie r

- Zrozumiesz, poczekaj!

W gabinecie pana Łackiego, m y przypadkiem, zeszła się cała Godzina, wysunawszy się z salonu.

Panna Emilia chodziła wzburziolła Lo pokoju, przykładając do oc?"u chus. teczkę.

- Mój Boże, mój Boże! Taki zfw^d i to w ostatniej chwili!

Pan Łacki rozłożył ręce bezrac?nl

- No trudno, stało się! Ale ter?z nie czas na lamenty, trzeba jec^hać do kościoła. Kto by się to spodziewał- ^e *ak będzie.

- Papo, może ja jeszcze zerw^ 2 nim. Jeszcze czas.

Pani Łacka, siedząca apatycznie 6 Jla fotelu, podniosła głowę.

; - Może Emilka ma słuszość^ " ^e zerwać?

Ale ojciec zaprzeczył.

- Dajcie spokój! - zawołał g^16Willie - zerwać, zerwać, łatwo to ; mówić, a potem co? Znowu oglądać się na wSZ^stkie strony za zięciem i trafić ma byle kogo? Co wam w głowie?

Panna Emilia zapłakała.

- Mój Boże! Mam dwóch br^C1.' ^rosiłam, aby tam do niego podjechali, zobaczyli, jak tam jest, jakie te Skifry *. c^y one są, bo może ich nie ma. ^ak jak i te majątki na Wołyniu, także nie Wiac5omo; pytałam raz Okmińską, czy on naprawdę taki bogaty, odpowiedz*3*3? że bardzo, ale tak dziwnie nsa mnie spozrzała, że więcej nie pytałam. Że^ **óry z was pojechał a obejrzał Wszystko, nie byłoby tego.

- Moja Emilko! - odezwał ^? starszy brat - ja mam dużo zsajęcia, wiesz o tym, nie mogłem jechać, zr^sz ą nie było czasu, tak to szybko p^oszło, poznanie, zaręczyny; sama nagliłaś. " s^yscy mówią - milioner!

- To mógł jechać Wicio.

Student gwizdnął przeciągle. , , ,

- Nie jestem kontrolerem Róż#nSK*ego ani jego kieszeni, zresztą mię zapraszał mnie wcale. Julek miał do nie^o Jakiś osobisty interes, mógł jec^hać.

- Jaki interes? - zapytał ojcie^ sta*-szego syna.

- Chciałem u niego pożyczyć par<? tysięcy na wyścigi, wie przecież papa, że chcę puszczać konie.

Student roześmiał się.

- Pfiu, jeśli te tysiące jego czy tarta biliony taka sama bajka, jak i ekwi- paże, to ci wiesz powodzenia.

Zapanowało głuche milczenie, pier^s*ży odezwał się znowu Julek.

_ No, może kazać zaprzęgać, bo to już naprawdę czas. W którym powo-

• ooiadą państwo młodzi, w naszym klekocie, czy też może Okmiński swoje- a landa pożyczyc? Bardzo eleganckie, żeby ten bogacz chociaż takie miał; może pożyczą, to przecież kuzyni tego... milionera.

Zaśmiał się szydlerczo, złośliwie.

_ A może pan młody na swej dryndulce powiezie ukochaną, umyślnie ją newno pomalował na zielono; szkoda tylko, że liberia nie ładniejsza.

_ Zostaw Wiciu, nie drażnij Emilki - rzekł ojciec.

_ Mamo, ja nie chcę być żoną hołysza - szepnęła panna młoda.

Stali bezradni, nie wiedząc, co robić.

Student wyszedł, ale po chwili wpadł znowu, zaczerwieniony i machając rękoma wołał gwałtownie.

- Chodźcie, chodźcie prędzej, ktoś jedzie bardzo elegancki, śliczną kareta, już jest w alei, czwórka w lejce, powiadam wam, cudne czyjeś konie, prędzej, prędzej!

To ich poruszyło.

Panna Emilia wpadła do swego pokoju i przed toaletą zaczęła, się pudrować, pani Łacka poprawiała pióra na głowie, pan Łacki naglił i po chwili znaleźli się wszyscy w salonie.

Różański stał przy oknie, rozmawiał z Okmińskim, Staś z resztą panów zabawiali panie nie pojmując, gdzie się ukrywa panna młoda, jej rodzina i dlaczego nie jadą do kościoła. Nie wiedzieli, jak to sobie tłumaczyć, zaczęli się czegoś domyślać, czekając, co dalej będzie. Gdy weszła z rodziną, wszyscy byli pewni, że nastąpi błogosławieństwo, rozmowy ucichły. Wtem zatętniło, przepyszna czwórka siwych jabłkowanych arabów sprzężona w lejce, w eleganckiej świecącej od brązów uprzęży, przedfilowała przed oknami nie zatrzymując się wcale.

Wszyscy pobiegli do okien patrząc z zaciekawieniem na lśniącą lakierami, wspaniałą kareta, błyskającą przez szyby białym atłasowym odbiciem i girlandami białych kwiatów. Na koźle siedział poważny stangret z siwymi bokobrodami, w białych rękawiczkach, w liberii piaskowej i w tegoż koloru cylindrze. Obok niego wyprostowany lokaj ubrany tak samo jak stangret. Kareta okrążyła trawnik i zatrzymała się na boku.

" - Kto to przyjechał?... Kto to jest?... Dlaczego nie podjeżdża?... Co to znaczy?... - wołali rozgorączkowani bracia Łąccy.

Czyje to konie?... - pytali chórem rodzice panny młodej.

. Kto to taki? - wołała zaciekawiona panna Emilia, zapominając o swej niedoli.

Różariski spojrział w okno i rzekł obojętnie:

~~ A!... To moja kareta... *"

Starzy Łąccy, młodzi Łąccy i panna Łacka osłupieli.

Jak to? Co, jakim sposobem?! - pytali rodzice panny młodej.

,
em

i - zawsze spokojnie - zwrócił się do narzeczonej i rzekł:
miasteczku Stajankach złamał się dyszel przy karecie, nie mo-
jechać dalej, kareta zostawiłem u kowala a sam nająłem pierwszego

lepszego chłopaka z końmi, chcąc stanąć prędzej na miejscu. Myślałem, że
naprawa dłużej potrwa; widzę, że się prędko załatwili - dodał jakty

siebie.

Panna Emilia uśmiechnęła się rozkosznie, z oczu jej tryskało szczęście podeszła o krok bliżej do narzeczonego i szepnęła wzruszonym głosem:

- Jakie to szczęście, że panu nic się złego nie stało, nic mi pan o tyra nis mówił... a... jaki niedobry...

I spojrzała mu w oczy ze słodką kokieterią.

Zmiana była tak prędką, że Różański patrzył na nią zdumiony; pjojnientiy blask w oczach, które spoglądały tkliwie, radość bijąca z całej twarzy, głos pieszczący sprawiały mu ból nieznośny.

Domyślił się wszystkiego, zagryzł usta i murknął z cicha:

- Coś bajecznego!

- Co pan mówi? - szepnęła z uśmiechem.

Wzdrygnął się, ale się opamiętał i odparł prędko:

- Nic nie mówiłem o tym drobnym wypadku, ponieważ pani wydała mi się nieswoja.

Podawała mu rękę żywym ruchem i rzekła z prośbą w głosie:

- O! Niech mi pan daruje! Byłam dla niego taka niedobra, aJe bolała mnie głowa. Zresztą wzruszenie...

- Teraz już panią nie boli? - zapytał z odcieniem ironii w głosie, której nie zauważyła.

- O! Czyż długo mogłabym być cierpiąca... pan tak zbawiennie na mnie działa... skoro się kocha... nie ma mowy o żadnym cierpieniu.

Patrzył na nią, słuchał wzburzony do głębi; ufność prysła, gorycz i zawód zalały mu duszę ironią, szyderstwem, wzdrganą. Patrzył na tę kobietę, kochaną bardzo jeszcze przed paru godzinami i pomyślał, że liść tak prędko nie opada z drzewa, jak od niego ulatywała miłość. Puścił jej rękę i przeszył ją ostrym wzrokiem, ale ona tego nie widziała, stała uśmiechnięta słodko, promienna radością, a on pomyślał znowu, że ta słodycz i ta promiennosc skierowane są wyłącznie do karety, symbolu jego bogactwa. Dla niego zaś osobiście ma chłód i niechęć, którymi go witała.

Jeszcze chwila a może by wybuchnął strasznie, ale zbliżyli się do niego rodzice i bracia Łąccy. Twarze mieli uśmiechnięte, rozradowane, otoczyli go w koło i Julek rzekł:

- Pytałem się stangreta, mówi, że dyszel dobrze naprawiony, konie także podkarmił, czeka, kiedy podjechać, mówi, że bardzo się spieszył.

Stary Łącki wziął Różańskiego za rękę.

- To i nie zwlekajcie, drogi chłopcze, już tam i księża oczekują, już pora.

Julek objął go za szyję i rzekł wzruszony:

- Januszu, zabierasz nam siostrę, ale nie wiesz, jak cię kochamy, bądź nam bratem. Tobie go oddaję, Emilko, weź go i kochaj zawsze... - To rzekłszy z powagą starszego brata złączył ręce młodych ludzi.

Panna Emilia podniosła oczy na narzeczonego i mrugając powiekami, jakby chciała ukryć łzy, szepnęła z wyrazem tkliwości na twarzy i w głosie:

_ h t- nam... i ufam, że będę szczęśliwa!... Co za szczęście!
 r ' °:ł się do niej gwałtownie ze zmienioną twarzą i spytał prawie szorstko:
 -* 5 Pani już nie czuje obawy?
 Znużeszła się, lecz uśmiech wesoły - błysnął na jej ustach.
 _ ' , coż znowu! Niemądra byłam, proszę tego nie pamiętać...
 I ścisnęła go za rękę.
 Pania Łącka raptownie załkała!
 _ . ACh! Ojciec każe jechać! Porywają cię, moje dziecko, chodźcie, mech
 was pobłogosławię.
 _ j Klęknijcie przed rodzicami - v\wygłosił z całą powagą Julek Łącki.
 Pan-ana Emilia zgięła kolano, ale Ró:óżański nie drgnął; spokojnie, lecz stano-
 wczo wiał rękę z uścisku narzeczonej i rzekł z akcentem prawie groźby:
 _ j Przedtem proszę o chwilę rozmowy... na osobności.
 _ d Czy tylko ja mam iść? - spytaa} stary Łącki, trochę zdziwiony.
 _ O O nie! Proszę wszystkich państ".\va i pannę Emilię również.
 Possali do sąsiedniego pokoju, Ró:óżański na końcu z jakimś zagadkowym
 uśmiechem na ustach, muskając elegancki wąs. Wszedł ostatni i zamknął
 drzwi z. ?a sobą.
 W \$salonie panie i panowie zgrupowali się w ciasne koło, poszły w kurs
 szepty iiii uśmieški, odezwały się głosy...
 _ t Chyba po błogosławieństwo?
 _ l Nie godniśmy takiej uroczystości.
 - j Dziwna to jakaś para!
 - -To jest właściwie dziwna panna młoda, jak pogoda w marcu, tu chmu-
 ry, tu słońce; na takim weselu jak żyję nie byłem, sam początek oryginalny.
 - "Chyba o północy ten ślub będzie?
 - _ Jeśli będzie notabene.
 _ A Ale Ró:óżański wspaniały, co TZSH uroda, postawa, jaka dystynkcja, o!
 bardzo ' może się podobać. X
 _ ; Ha! Inni wolą jego czwórkę ars abów i liberię.
 - I wiedeńską karete.
 Ws-zyscy szepotali, każdy objawiał ss\ve zdanie.
 Staś8 wziitł na stronę kuzyna.
 - Zrozumiałeś? - spytał.
 __ , Okropność! - odparł pan Steffan.
 ~~ \^J powiadam ci, że potrafiła*zadziwić nawet mnie, chociaż nazwałeś
 mnie cv" 1Kiem. Potwór nie kobieta. A^le czy uważasz, jak się wszystko spraw-
 dza' C° zobaczWszdZiałem? Czytam jakxx książki Proroctwa i b?de zgadywał do
 __ ' Szkoda mi Ró:óżańskiego.
 - • ^Z !y sie ° nieg° nie troszcz!
 ~~~ Och'nJą! a jeśli sP°strzegł takfci zawód! Żal mi go.  
 - s h: ° mego bądź spokojny!  
 '^Powtórzył z naj^iększą pewnością:  
 bądź spokojny!

Róžański w buduaraku spojrział na zaciekawione twarze rodziny i opierając dłoń o poręcz fotela, przemówił bezdźwięcznym głosem:

- Przykro mi bardzo, że w chwili ostatecznej zmuszony jestem państwu i pani, panno Emilio, zwrócić słowo; ślub nasz nie może się odbyć.

Gdyby Róžański w tej chwili padł rażony śmiertelnie, wrażenie nie byłoby silniejsze. Panna Emilia zbladła, jej twarz nie różniła się od sukni i welonu, przerażone oczy utkwiała w narzeczonym i oniemiała. Rodzice i bracia stali jak dotknięci gromem.

Pierwsze zdumienie przeminęło, odzyskali mowę, posypały się pytania pełne trwogi i niepewności.

- Co to znaczy? Co to jest? Jak to? Dlaczego?...

Róžański podniósł głowę.

- Zauważyłem, że panna Emilia nie ma dla mnie takiego uczucia, o jakim mnie zapewniała, nie chcę więc jej krępować niemiłym dla niej związkiem.

- Ale cóż znowu, pan się myli!... Emilko?... - wołał desperacko stary Łącki.

Panna Emilia z bladej stała się purpurowa; podeszła do Róžańskiego i chwyciła jego rękę.

- Panie Januszu... co pan mówi... ja pana bardzo kocham... bardzo...) i prawdziwie, z całej duszy.

Uśmiechnął się sarkastycznie, wzruszając ramionami.

- Ach, już wiem! Pan się gniewa na mnie za to powiedzenie, że mi brał odwagi, ależ ja mówiąc to żartowałam... zresztą głowa mnie bolała-.1., wtedy mówiłam nie bardzo wiedząc, co mówię, nie byłam szczerą, proszę mi darc wać...

I schyliła głowę, ocierając nerwowo oczy.

Ale Róžańskiego komedia ta nie rozczuliła i odparł dobitnie:

- Właśnie wtedy była pani zupełnie szczerą, teraz nie.

- Panie Januszu, na miłość boską, co pan mówi? Och, Boże!

Żachnął się niecierpliwie.

- Niech pani nie wzywa Boga na świadka, bo on najlepiej wie, gdzie była szczerą.

- Czyż przed chwilą w salonie nie okazywałam panu, jak go kocham?

- wybuchnęła gwałtownie.

- O tak, pani, to była dla mnie chwila rozstrzygająca.

Uśmiechnął się złośliwie.

- Zresztą powtarzam, nie chcę pani krępować; nie kochając mnie, nie mogłabyś być szczęśliwą. Żegnam państwa.

Chłodno skłonił się i cofnął się z powrotem do salonu.

Towarzystwo weselne, mocno już zniecierpliwione, rzuciło ciekawe spojrzenie na bohatera dnia, który wydawał się bardzo dziwnym. Widocznie wzburzony i blade, ale zawsze z tym samym sarkastycznym uśmiechem, zbliżył się do nich i podając po kolei rękę wszystkim, mówił serdecznym tonem:

- Bardzo przepraszam za zawód, jaki robię, ślubu nie będzie, odjeżdżam do domu; mam nadzieję, że panie mi raczą wybaczyć... Moje uszanowanie. Wyszedł do przedpokoju. W salonie zapanowało głucho milczenie spowodowane zdumieniem tak wielkim, że aż przerażającym. Nikt słowem się nie odezwał, spoglądali na siebie pytając oczyma, co to znaczy.

Po chwili ktoś mruknął: "Skandal", drugi głos zawołał z cicha: "Zuch Różański". Okmiński szepnął do żony: "Nie mówitemci, że tak będzie?" Ale inni nie mogli pojąć, co się stało, jeszcze nie rozumieli. Tylko Staś nie zdziwił się; on jeden wiedział od razu, że nie po błogosławieństwo wyszli do buduaru. Dostrzegł bolesną grę uczuć na twarzy Różańskiego i nagłą zmianę w panie Emilii i rodzinie Łąckich na widok zielonej bryczki, a potem karety.

Zaturkotało przed gankiem

- Patrzcie państwo, już odjechał - zawołano.

Staś rzekł z komicznym przestraszaniem:

- Moi państwo, wy sobie zostawajcie, jak chcecie, ale ja, dalibóg, uciekam, boję się oczka pana Łąckiego. Kto wie, może on me uwierzył w pogłoskę o moim bankructwie! Zmykajmy, żeby potem nie było za późno. Pamiętajcie, że ja dziś jestem jasnowidzący.

- To panu musimy przyznać - potwierdził Okmiński.

- Brawo Staś! - zawołało kilka głosów.

- Nie mówcie tylko bis, bo by się sprawdziło to, co mówił na końcu.

Odpowiedziano mu tłumionym śmiechem. Sytuacja mimo swej niezwykłości zabawiła mniej zainteresowanych.

Oczekiwano zakończenia trzeciego aktu tej tragikomedii.

- Jaśnie pan dokąd rozkaże? - spytał zdziwiony statngret Różańskiego, gdy ten wsiadł do karety.

- Do domu - rzucił krótko. \

Statngret otworzył usta, lokaj osłupiał, ale nie ożkaził tego; włożył walizkę pod przednie siedzenie, zatrzasnął oszklone drzwi i wskoczył na kozioł.

-- Czy chłopak ze Stajanek odjechał? - spytał Różański.

-- Odjechał, jaśnie panie.

- To dobrze, ruszaj! Nocować będziemy w Stajaniach.

Kareta potoczyła się w stronę bramy, poprzedzona jakby tupotem kopyt ślicznej czwórki.

Statngret i lokaj patrzyli na siebie w milczeniu i nieznacząco wzruszyli ramionami nie mogąc pojąć, dlaczego zamiast do kościoła jada z powrotem do domu, i zamiast państwa młodych wiozą tylko pana młodogao. Dla nich było to zagadką.

Kiedy wyjechali za bramę, Różański zaśmiał się roniście. Coś, jakby coś, spadł mu z piersi.

j . T~ Ocalony! - szepnął sam do siebie. A wszyskoprzez złamany dyszel Zle'oną dryndulkę; warto ją ozłocić.

- I to kobieta? - myślał - co za oschłość serca, wyrachowanie i obłuda  
I ja, osioł, nie poznałem się na niej wcześniej, a to bym wpadł dopiero!...

Niebawem rozległ się tętent i wołanie. Stangret zatrzymał konie.

- Co tam? - spytał niecierpliwie Rózariski spuszcżając okno karety.

- Proszę jaśnie pana, jakiś konny - odrzekł lokaj - pędzi i woła, ażeby  
stanać, ot i on!

Galopem przycwałował służbowy chłopak na koniu, zatrzymał się raptow-  
nie i zeskoczywszy z siodła podał Różańskiemu kartkę, zdzierając czapkę  
z głowy.

On wziął ją, spokojnie rozwinął i przeczytał.

"Emilia zachorowała, chce koniecznie pana widzieć, proszę spieszyć. Ju-  
liusz".

Przez twarz Różańskiego przebiegło sto hamowanych uśmiechów szyder-  
czych, pełnych jadu.

Zawsze spokojny, napisał ołówkiem na odwrotnej stronie tej samej kartki:

"Życzę panie Emilii prędkiego wyzdrowienia i narzeczonego, który by  
miał mocniejsze powozy, ja spieszę do domu. Różański".

Złożył kartkę i oddał ją chłopakowi.

- Ruszaj! - zawołał do stangreta.

Popatrzył za oddalającym się jeźdźcem w gasnących zorzach zachodzącego  
słońca. Na twarzy latały mu żartobliwe płomyki i nie wytrzymał, parsknął  
serdecznym, głośnym śmiechem.

- Cha, cha, cha!

- Co jaśnie pan... każe? - zapytał odwracając się lokaj, zdziwiony śmie-  
chem pana.

- Nic, nic, dostaniecie obaj po dziesięć rubli za dyszel... naprawiony.

- Dziękujemy, jaśnie panie! - zawołali obaj.

Konie ruszyły pełnym kłusem.

Fedotka

(Obrazek wołyński)

I

Oj za horami, oj za horami , ••

Tam moje szczastie probywaje

A ja tu sama tużu za toboj <•}

/ muku siju na korowaje...

Śpiewała młoda dziewczyna, prostując i wykręcając w rękach bieliznę.

Stała na mostku drewnianym, wsuniętym w głąb rzeki. Dziewczyna miała  
na sobie grubą, płócienną koszulę, wyszywaną na ramionach i piersiach. Bio-  
dra jej otaczała spódniczka z czerwonego kumaczku, smukły stan owiażywała  
zielona zapaska. Na wiotkiej szyi wił się sznur bursztynów spiętych jaskrawym

medalikiem.

Dziewczyna była średniego wzrostu, szczupła i bardzo zgrabna. Nogi odsłonięte do kolan i ręce zakasane do łokci miała spierzchłe, ale kształtne. Z całej postaci dziewczęcej tchnęło wiosną, przypominała polne kwiaty stepowe, świeże podmuchy wsi i świergot skowronka. Czarne kosy długie, lśniące, związała czerwoną tasiemką i przysłoniła je z lekka chustką w jaskrawe kwiaty. Kraśne, ładnie wykrojone usta śpiewały rzewną dumkę, ale w dużych czarnych oczach, świecących jak diamenty, przebijała się tęsknota i gorąca natura wychowanki wołyńskich pól i lasów.

Pochylona, widziała w bystrej wodzie odbicie własnej postaci w krasie urody i młodości; nie uważała na to. Mąciła wodę brudnymi szmatami, rzucając fali dźwięczną melodię ludowej piosenki.

A rzeka płynęła wartkim prądem złocąc się w blaskach zachodu, rozlewała szeroko spienione bałwany i szła w dal w sine bory hucząc i roznosząc echo na Pola i gęste knieje.

Okolica była malownicza. Z drugiej strony rzeki wyrastały góry porośnięte bujnym lasem. Na wyniosłej górze bielił się dwór nad rze\*ką, drugim pasem szarzała wieś zacięta drzewami, z obłokiem dymów świecących purpurowo. Spoza pagórków pokratowanych jak mozaika z różnokolorowych zbóż, wychylała się druga wieś. Nad rzeką sterczały ogromne zwały kamieni obrosłych mchem; przy wodzie leżała piaszczysta łacha usiana kamyczkami i pełna muszli.

Przez środek rzeki biegła kamienna grobla z drewnianym mostem, spod torego woda spadała z szumem burząc się i białą wściekłą grzywą rzucając na

35

ciemny szafir wody. Groblę zakańczał drewniany młyn i tartak. Dochodzi stamtąd miarowe stukanie pytła i monotony odgłos piłowanych desek. Obój młyna wielka zaporą z kamieni, zwana batareją, ochraniała budynki od wiosennych lodów.

Na grobli i na kamieniach stali rybacy z wędkami na długich kijach, wszyscy pochyleni, z napięciem patrzyli w wodę, wyciągając czasem pełne sieć ryb.

Dziewczyna prała o kilka kroków od młyna; w czarnych jej źrenicach! paliły się blaski. Wiśniowe usta zaśpiewały znowu.

Oj za horami, oj za horami

Tam moje szczęście próbywaje...

Wtem na drodze zawołał młody, rubaszny głos.

- Hej, Fedotka! Śpiewasz taj śpiewasz o korowaju, a tu nykto wże i z wódką do ciebie nie szle, ty wże starają diwka.

Fedotka spojrziała na parobka z gniewem i nic nie odpowiadając wzruszyła ramionami.

- Dywyś! Jaka honorna i gadać nie chce - zaśmiał się chłop, patrząc

na dziewczynę pożądlwie.

Fedotka nie odpowiedziała.

Na drodze zaczął się ruch. Z pól wracali kosiarze rozprawiając głośno o jutrzejszym zbiorze siana. Dzieci pędziły stada owiec pokrzykując wesoło na widok dymów nad strzechami, co im zapowiadało dobrze zapracowaną wieczność. Po drodze wałęsały się kozy, z leśnych wypasów powracały stada krów z rykiem i kołataniem drewnianych grzechotek. Pełno wrzawy i wiejskiego ruchu. A młyn turkotał bez przerwy, spieniona woda ze śluz grzmiała kotłując się, aż most dygotał.

W ulicy pełno śmiechów i nawoływań. Czasem któryś z chłopaków przechodząc rzucał Fedotce żartobliwe zaczepki. Ona nie zwracała na to uwagi.

Nie słuchała również cichej mowy stojącego za nią parobka.

Oparty na kamieniu, brząkając kosą przemawiał do dziewczyny łagodnie.

Fedotka milczała.

- Słysz no, holubko! - mówił chłop tęsknym głosem - czemuż ja tobi niemiły, jaz bohaty, mnie bafko da gruntu ile zachoczę, i chatę da, i krów da, ty będziesz gospodynią, bohaterką... ja budu dla ciebie dobry, byty ne budu, krasne chustki będę kupował, sokoliku ty mój, czarnobrewo moja!

Dziewczyna milczała uparcie.

- Ja znowu z wódką przyszłe, chcesz? Hołubko moja.

Fedotka wzruszyła ramionami.

- Nie chcę ja twojej wódki ni ciebie, odczypysia od mene! - zawołała rozgniewana.

- Tak czemu ty nie chcesz, czemu ja tobi niemiły?... Ot przyszłe z wódką swaty, wypijesz, taj będziesz moja.

- Ni twojej wódki wypiję, ni będę twoja, słyszał raz i nie dury hołowy

36

Chłop się wyprostował, gniew błysnął mu w oczach.

\_\_ A czyjaż ty wódkę wypijesz, na kogo ty czekasz? Musić na pana jakiego na komisarza. Nie bój się! Choć ty masz kraśne liczko i karę oczki, ciebie d ° nie schocze na żynku, pohulał by może, taj pokinuł. Oj durna ty, Fedotka! pa \_ - Jak durna to nie gadaj, idy, skąd przyszoł.

\_ A ty mi nie dasz dobrego słowa? Ha!

Dziewczyna milczała.

Chłop zaśmiał się dziko.

-- Ja znaju na koho ty czekasz, dla koho chcesz korowaj piec, dla swego sokolika sołdata. Kołyb on tu pryjszoł, jab jemu nazad drogę pokazał, ale on nie przyjdzie.

- Jak Boh daść to i przyjdzie, a tobie nic do tego - odburknęła Fedotka.

- A kiedy ja znaju, że nie przyjdzie, na świecie wojna wetyka, tak on na nią pijszoł. Ot durna dziewczyna! Czeka taj na sokoHika, a sokolik na wojnie.

Fedotce opadły ramiona.

- Co ty gadasz, Maksym? - jęknęła.

Oczy chłopca zaświeciły jak u wilka, błysnęła w nich złośliwość.

- Prawdu gadam, w miasteczku gadali tyż co wojna wielka i bohaćko narodu na nią poszło, i twój Daniłko poszedł, może tam wże propał. Ty za mnie idy za muz, ja mam taki bilet, że ni na jakuju wojnu nie pijdu. Chłop podszedł do dziewczyny robiąc ruch, jakby ją chciał objąć. Fedotka odskoczyła i odpychając go silnie zawołała:

- Breszesz o wojnie, breszesz, że Daniłko poszedł, idy z moich oczów...  
szczob ty propał!

Chłopa ogarnęła wściekłość.

- Ja pijdu! - krzyknął - bo takoj więdźmy nie chocz. Do ciebie czort przyjdzie w swaty, z nim będziesz korowaj jeśp, ty lepszego nie warta, żydowska córka! \\

- Z kim będę korowaj jeść, tobie nic do tego, idy taj hodi.

- Z czortem będziesz jeść.

- No, to będę, a ciebie nie zaproszę.

- Jab i nie poszedł.

Umilkli, chłop stał w miejscu i patrzył na dziewczynę, jak żwawo zbierała bieliznę, smukła i giętka jak młoda brzoza.

Fedotka, daj, pomohu nesty - rzekł wyciągając do niej rękę.

Idy do czorta, którego wołasz - rzekła nie patrząc na niego.

wtem z ulicy ktoś krzyknął.

Maksym, ty znowu do sołdatki w swaty?... Ot durny! Wódki twojej nie P"a, to czego leziesz?... Czysta smoła'.

Fedotka zaśmiała się i odwrócona do chłopaków na drodze krzyknęła:

Prawdu każyte chłopcy - czysta smoła, ani odczepić.

Maksym splunął, porwał kosę i odchodząc burknął do dziewczyny:

Jeszcze ty mnie kołyś będziesz wołać, będziesz prosyty, szczob ja ciebie ział, ale ja nie durny. Tfu! Z takuju diwkoi ni ładli, ni składu!

Szerokimi krokami poszedł w stronę wsi.

37

Chłopcy pobiegli za nim. Fedotka została sama.

Zebrała szmaty na ramię i miała już odchodzić, lecz jeszcze stanęła. Wpatrzyła się tęsknymi oczyma w ciemną rzekę i szepnęła do siebie:

- Sokoliku mój, koły werneszsia to nijak ino czajkoj, na tej reczońce ciebie wypatrzę. Hej i oczy już zabolaly.

Odwróciła się odchodząc i znowu stanęła nasłuchując grzmotu śluzy.

- Rzeka gada, szczob ty meni skazała reczońko, gde Daniłko, bo Maksym brechał o wojnie, nijakiej wojny nie ma, Boh dobry.

Nagle zmarszczyła śliczne czarne brwi mówiąc głośno:

- Abo ty mnie reczońko życie przyniesiesz, abo śmierć.

Podeszła parę kroków i szepnęła znowu:

- Abo życie, abo śmierć.

II

Wieczór zapadł, gdy Fedotka w sadzie wiśniowym koło chaty rozwieszała mokrą bieliznę. Dziewczyna była smutna i zamyślona, nie cieszyła ją wieczerza

w domu ani dojrzałe wiśnie, spadające z gałęzi na jej ramiona. Nie cieszył klekot bociana ani dźwięki skrzypiec dolatujące z młyna, gdzie młodzież wiejska bawiła się ochoczo. Słowa Maksyma przeraziły Fedotkę, choć w nie z początku nie uwierzyła. Ale czyż ona biedna, prosta dziewczyna, mogła wiedzieć co się na świecie dzieje? Ona знаła tylko wieś Rudnię, drugą za rzeką - Ruczyce i parę innych. Znała bory i pola. Najdalej w swym życiu była w miasteczku o kilka mil od Rudni, gdzie ją ojciec wziął parę razy na jarmark. Maksym co innego, on bohater, on i rzeką z flisami pływał, i z pańskim drzewem jeździł, i z kompanią był w Kijowie, a niedawno gdzieś z bafkiem wyjechał daleko, i długo nie wracał. Ludzie gadali, że był w guberni i sądził się z samym panem. Ale ona się o to nie pytała, co ją obchodził Maksym? Bogaty i ładny chłopiec, to prawda, dziewczyny z obu wsi zazdroszczą go jej. On ma dużo gruntu i chatę najładniejszą, i chudobę wszelaką, i sad. A jak parę gniadych koni założy do wozu jadąc na jarmark, to całą wieś prześciga. Bohater on szczęśny i jeden u ojca, to cały majątek na niego idzie, a do wojska nie brali, bo taki szczęśny jak on, to nawet od tego wolny. A Daniłko? Ot, całkiem inaczej, i on ładny, może nawet ładniejszy, ale biedny, syn rybaka, co tylko z tego żyje, jak ryb nałapie i sprzeda w miasteczku, a matka len przedzie cła wiejskich gospodyń. I tak żyją sobie w małej chatynce nad rzeką. Najstarszy syn Stepan we dworze za parobka służy, a mały Żinko do roboty chodzi. Fedotka ich czasem odwiedza nie uważając na śmiechy dziewczyn ani na gniew ojca. Nosi dla małego Żinka wiśnie za pazuchą, żeby matka nie zobaczyła; czasem w niedzielę dla starej Semenichy grzybów albo jagód przyniesie, zawsze ukradkiem, w obawie, aby jej gdzie Maksym nie złapał i nie wyśmiał. Chłopcy, do których nie chciała wódki przepić, i dziewczęta zazdroszcząc jej urody, nazwali ją sołdatką, bo Daniłko już trzy zimy w wojsku i słuch

zagał- Miał wrócić w tym roku na zielone święta i nie wrócił, już ° H" hodzą żniwa a jego, sokolika, nie ma. Może zapomniał o Fedotce, a może "Yna wojnie - jak Maksym mówił. Oj biednyż on, biedny! Ona jego tak f ha że ot, zdaje się ptakiem, poleciałaby do niego, żeby tylko zobaczyć, aeadać, a dobre słowo usłyszeć. Trzy zimy za nim "tuzy", trzy wiosny i trzy 3/enie czeka na niego i doczekać się nie może. Rodzice chcą ją gwałtem Irtdać za Maksyma, ale ona nie chce. Już ją bafko bił za to kilka razy, matka Ł na wsi ją nazywają starą dziewczką, a Daniłka nie ma i nie ma. Pewnie, że ona już stara, już jej się na dwudziesty rok "obróciło", inne w jej latach dawno za mąż poszły i dzieci mają, i chatę własną, ona tylko jedna sierota. Ale będzie czekała na Daniłka choćby drugie tyle czasu, za innego nie pójdzie, on wróci i weźmie ją na żynku. On ją kocha i do ślubu zaprowadzi, a potem będą w swojej chatynce ojcu, staremu Semenowi, w łapaniu ryb pomagać. Daniłko nowe sieci kupi i wiek cały żyć z nią będzie, żadnej bohaterki nie zechce. Ale czemu nie wraca? Musi jemu czas nie wyszedł. Dziewczyna usiadła pod wiśnią, oparła głowę na rękę i zamyśliła się głęboko



Po chwili czarne jej oczy zalśniły radośnie, kraśne usta śmiały się odsłaniając białe, równe zęby. Marzyła o ukochanym i obiecywała sobie być mu wierny On jej dał bursztyny na szyję, które nosi cały czas, ani razu nie zdjęła ich z siebie. Maksym jej dawał piękne korale, kraśne jak czereśnie, ale ich nie chciała, bo były od niemilego.

Obok Fedotki, na murawie, rozciągnął się czarny kudłaty pies i łeb położył najej kolanach. Dziewczyna gładziła go śniadą ręką mówiąc do niego serdecznie jak do przyjaciela.

- Hej, Mucyk! Toż będzie radość jak Daniłko czajką przyplynie z żołdatów, będzie wtedy światło i muzyka, i wesile i korowaj. Hej, Boże miły! Daniłko, szczob ty już tu był! Mucyk, Daniłko przyjde, prawda? I woźme Frdotku za żytku, pijdu z Rudni tam to niego, do Ruczyców. Jak będzie dobrze, to będziesz rybu z nami isty, <^ak Boh daść zły rok, to choć kosteczki tobi damy, a taki damy, z głodu nie zdechniesz, bo Daniłko dobry, oj jaki dobry! Zobaczysz, Mucyk, zobaczysz.

Przemawiała do psa uśmiechnięta radośnie. Wtem drzwi od chaty otworzyły się gwałtownie^ smuga światła od komina padła na murawę oświecając nogi Fedotki i wsparty na nich łeb Mucyka. W drzwiach stała sucha postać kobieca.

- Hej, Fedotka! Gde ty dawajeszsia - zapiszczała baba cienkim głosem -wże dawno od rzeki przyjszła i bałamuci daj bałamuci, chody do chaty. Dziewczyna powstała i poszła wolno, za nią włókl się czarny pies. W izbie \* r°dzma zasiadła do wieczerzy. Na stole przy oknie stała miska dymiących kartofli i leżał kawał czarnego chleba, który krajano kozikiem. Na ławie siedział stary, tęgi chłop, w postołach plecionych z łyka i w starej świtce rozpiętej "a P'ersiach. Koszulę pod szyją związał czerwoną tasiemką. Włosy miał siwe, c w^sy czarne i czarne duże oczy. Fedotka była do niego zupełnie podobna. Przy ojcu siedziało kilkoro młodszych dzieci, chłopców i dziewczyn,

38

39

- ----- .. - ^^Cfl JW.1-

Taki tobie dziewczyno trzeba za Maksyma - zapiszczała matka - dobry chłopiec i bogaty, i na wojnu nie pijde, bo sam odin u bat'ka.

Fedotka nic nie odpowiedziała, tylko w sercu jej szarpało boleśnie, jakby je kto nożem rozraniał. Usiadła przy kołowrotku i jęła pilnie prząść. Na usta co chwila wybiegała jej piosenka o korowaju, ale nie chciała śpiewać bojąc się żartów brata i gniewu matki, może i ojca? Jak się dowiedział, że Daniłko nie wróci, będzie ją gwałtem zmuszał do wyjścia za Maksyma.

- Biednaż moja dola, biedna - szeptała dziewczyna - a taki nie pijdu za niego, choćby bat'ko bił i zabił, utopię się a nie pójdę.

"

III

Późno już było bardzo. W chacie wszyscy już spali, chłopcy pojechali z końmi na nocną paszę, tylko Fedotka zasnąć nie mogła. Przewracała się na tapczanie obok siostry, małej Nastki, ale oczu nie zmrużyła. Do uszu dolatywał monotony huk rzeki i poszum wiatru. I dwóch starszych: jeden już dorosły parobek, drugi - niedorostek. Oba poumierani w świtki, w postoi, mieli jasne włosy i małe niebieskie oczka. Odziedziczyli to po matce, mizernej kobiecie w brudnej koszuli i pasiastej spódnicy. Baba związała się prędko od komina do stołu, gadając przy tym ciągle.

- Oj Fedotka, ty Fedotka, ni z toboju rady, ni nijakiego sposobu, m, w chacie nie pomoże, tyłki wołoczyfsia taj wołoczyfsia.

- Nie bresz stara - zawołał ojciec - Fedotka ciłyj dieri chusty połokał; na rzece, ja baczył.

- A teper w sadu o Daniłce zadumałasia, ha! - zaśmiał się starszy brat,

- A jak dumala, to tobi szczo - odcięła Fedotka.

- Na, isz kartofle - rzekł znowu ojciec - a ty Matwiej ne durysia.

- Ne chocz u isty, ne budu - odburknęła Fedotka.

- Czomuż to?...

- Wiszni naiłasia - odparła machinalnie.

Matwiej parsknął śmiechem.

- A bo to prawda! Jej uże ne smakujut naszi kartofli, ona tużył za sałom u Maksyma. Znajete, baf ku, win kazał meni szczo jeszcze raz z wódką przysze.

- Niechaj do psa przysyła, nie do mene - burknęła dziewczyna.

- A taki twój Daniłko nie wróci, on wże na wojnu pijszoł - śmiał się Matwiej.

- Kto tobi howorył - zapytał stary chłop.

- Maksym i chłopcy we młynie gadali, i Josiel gadał, oni znajut, na świcie wełyka wojna i Daniłko pijszoł.

- Ha! Boża wola! Ale ja o wojnie od nikoho nie słyszał! - odrzekł stary flegmatycznie i znowu zaczął jeść.

on

\_\_ "" ^iiuz-^ia. LJU uszu jej

poszum wiatru na gałęziach wiśniowego

jej

T^"i\_ : ' i • ' •

wy ciemnej chacie glosy te potężniały, przybierając tytaniczne kształty, matka nie spała, ogarniała ją majaczenia, że jest na wojnie razem z Daniłką i że to smoki ryczą, chcąc go rozszarpać. Smuga światła padająca na kludek izby z okna sąsiedniej chaty wydała się Fedotce łuną ognistą. Kiedyś sr° ^wnego obraźnika widziała bohoma przedstawiający koniec świata, Ubił on na niej wielkie wrażenie. Były tam stugłowe smoki rozrywające ludzi, \vdne żmije z ludzkimi głowami, trąby powietrzne i deszcz ognia palący wsie ° miasta. Nad tym wszystkim unosił się z jednej strony Bóg, siwy starzec

długą brodą i światłem dokoła głowy, z drugiej okropny diabeł z rogami i ogonem. Czarny duch ze skrzydłami trąbił z pokrzywionej, błyszczącej rury, a [u(izje -jedni uśmiechnięci szli do Boga, drudzy, pogruchotani przez smoki, wlekli się do szatana, który ich strącał w przepaść ognistą. Fedotka zapamiętała każdy szczegół, teraz jej się zdawało, że tak samo jest na wojnie i że biedny Daniłko narażony być musi na takie strachy i niebezpieczeństwa. A rzeka huczała nie dając zasnąć rozegzaltowanej chłopskiej dziewczynie, z głową pełną marzeń o ukochanym.

Nareszcie Fedotka nie wytrzymała, nagła myśl błysnęła w jej podnieconym mózgu. Zrywając się na tapczanie szepnęła do siebie:

- Pijdu do Josiela, popytajuś, on bywający na świecie, on pewno zna, on meni skaze prawdu.

Prędko nałożyła spódnice, siwą świtkę, na głowie zawiązała chustkę i cicho odryglowała niskie drzwi chaty. Wchodząc do wiśniowego sadu spostrzegła, że towarzyszył jej Mucyk, pogładziła psa po kudłatym łbie, każąc mu pozostać w ogrodzie, a sama przez furtkę w parkanie wybiegła na drogę.

Silny wiatr powiał od rzeki chłodząc rozpalone czoło dziewczyny. Łapała powietrze przesycone wilgocią w spieczone usta. Otulona świtką biegła szybko wprost do młyna, gdzie migotało światło ciskając na fale długą, wąską wstęgę.

Na czarnej wodzie dygocąc łamało się na tysiące drobniutkich światełek.

Z wnętrza budynku dochodził turkot młyna^war chłopskich rozmów i głośnie wybuchy śmiechu. Fedotka przy stosie belek zatrzymała się z namysłem.

Iść czy nie iść?...

Tam dużo ludzi, może ją wyśmieją, może Josiel nie zechce powiedzieć prawdy, może lepiej wrócić do chaty?...

Lecz nagle przed oczyma dziewczyny stanął znowu obraz końca świata ona nie umiała inaczej wyobrazić sobie wojny. Wstrząsnęła się i naciągając chustkę na oczy prędko postąpiła naprzód.

Stała na progu młyna zalekniona widokiem tłumu chłopów palących fajki.

Duża izba, słabo oświetlona, przesiąknięta była dymem i swędem machor-  
Ju- Chłopi skupieni w gromadki albo pojedynczo, rozprawiali gwarnie kurząc wki i spluwając przez zęby daleko od siebie. Młodszy borykali się ze sobą Wywołując głośnie śmiechy. Największy tłum stał przy wadze na środku izby, leżały stosy worków. Josiel, dzierżawca młyna, wysoki chudy Żyd z po-  
ną brodą, klócił się z chłopami, którzy mu zarzucali niedokładność wagi. Gdy Fedotka weszła, kilka głów odwróciło się do niej, a Josiel zawołał:

40

41

- Nu! Ty po mąkę?... A czemu twój bat'ko nie przyszedł, wszyscy jut mąkę zabierają.

Dziewczyna podeszła bliżej i pochylając głowę rzekła nieśmiało:

- Ja nie po mąkę panie Josiel, ja do was z jenteresem, ja chocz u was prosy ty.

- Nu! Jak iż to interes, gadaj - zapytał Żyd.

Dziewczyna zawahała się.

- Może nie tutki, panie Josiel, może w waszej stancji - rzekła z prośbą w głosie.

- Co to za taki interes, co aż potrzebuje sekret, kto ciebie tu przysłał, ha?

- Ja sama przyszła od siebie.

Żyd kiwnął głową.

- No to chody, nie mam czasu, ale chody - rzekł do niej idąc do bocznych drzwi.

Weszli do obszernej stancji, brudnej i cuchnącej. Okopcona lampka z blaszanym daszkiem zwieszała się od sufitu. W głębi Żydówka robiła pończochę a kilkoro Żydziąt spało po kątach.

- Nu, czego ty ode mnie chcesz? - zapytał Żyd zamykając drzwi za sobą.

Fedotka przysunęła się bliżej szepcząc:

- Panie Josiel, wy znający, wy bywali po miastach, skażyte meni, czy to prawda, szczo wojna welyka na świcie i bohaćko narodu na nią poszło? Skażyte, panie Josiel.

Żyd patrzył na nią zdumiony.

- Wojna? Ny, kto tobie mówił o wojnie? Jaka wojna, co ty gadasz?...

- Ludy każut szczo duża wojna, to chocz u was popytafsia, czy to prawda.

- Kto tobie gadał takie głupie rzecz, ciebie ktoś zdurzył, kto tobie mówił?...

- Maksym mówił - odrzekła.

Żyd zaśmiał się cicho.

- Oj durna, ty dziewczyna, toż on ciebie oszukał, co tu gadać, nijakiej wojny nie ma, na co ona komu potrzebna?... Ale szczo Maksym tobie gadał o wojnie?...

Fedotka wzruszyła ramionami.

- Abo ja wiem. "

- Nu, ty nie wiesz, ale ja wiem, on chciał ciebie nastraszyć, co twój sołdat pójdzie na wojnę; mówił tak, ha?

- A szczoż mówił.

- On ciebie chciał nastraszyć, żeby ty na tamtego nie czekała a za niego szła, on ciebie lubi, Fedotka.

- Do czorta z jego lubieniem.

- No, a cóż ty będziesz na tamtego czekać?

- Jak Boh daść, to i doczekam.

Spojrzała na Żyda błagając i rzekła drżącym głosem:

- To znaczy nie ma wojny, panie Josiel, znaczy Maksym brechał?...

- Brechał, ja by o wojnie wiedział.

Fedotka rozpromieniła się i pochylając głowę z ukłonem zawołała:

-- Dziękuję wam, ja tyłki to chciała wiedzieć, pomahaj Boh!

- Dobrze zdrowie, nu! Idy do chaty i nie kłopotajsia, ty harna dziewczyna - mówił Żyd otwierając drzwi.

Fedotka zasłoniła się chustką biegnąc prędko przez główną izbę.

- A skazy bał'ku, szczoby zawtra czut'świt po mąkę szedł - krzyknął Żyd.

- Dobrze, skażu.

W tej chwili jeden z chłopców zastąpił jej drogę i porywając ją wpół zawołał:

- Hej, Fedotka! Chody w swaty, luby mene, swojewe sołdata kin do czorta i Maksyma kin... ja...

Nie dokończył, pchnięty ręką rozgniewanej dziewczyny zatoczył się aż w kąt izby.

Fedotka wypadła na drogę jednym susem, w młynie wybuchnął śmiech.

- A szczo, Anton, harna diwka, prawda? - żartowali chłopci.

- ' Proklataja wid'ma nie diwka - burknął chłopak, zły i spluwając odszedł do wagi.

Dziewczyna śpieszyła do chaty biegnąc prędko, uszczęśliwiona, że nie ma wojny i że Daniłko do niej wróci. W duszy jej śpiewało, radość rozsadzała jej ciemną pierś wieśniaczą, biegła podziękować Bogu za doznane szczęście.

Wpadła w ogrodową furtkę i nagle stanęła trafiając na jakąś wielką przeszkodę, coś ją objęło i zaczęło dusić w uścisku.

- Szczo ce? - krzyknęła przerażona.

Włosy jej powstały na głowie. Była pewna, że to smok z końca świata napadł na nią i chce zadusić. Szarpnęła się raz i drugi, lecz na próżno, żelazne kleszcze trzymające ją w uścisku zacisnęły się mocniej.

- Hospody pomyłuj - jęknęła dziewczyna.

- Hołubko ty moja, doniu, ^sokoliku mój, czornobrewo, ja ciebie lublu jak durnyj, ty budesz moju żynkoj, bo ja tak choczu, serdeńko moje.

I grad namiętnych całusów z gorących ust chłopca spadł na oczy i twarz Przerażonej dziewczyny.

Fedotka usłyszawszy głos Maksyma oprzytomniała. Zaczęła się gwałtownie wyrywać, wołając zdyszczonym głosem:

, " Pusty, Maksym, czy tobi nie sorom po nocy napadać, puskaj, bo budu "yczaty, fe! stad, puskaj!

Ale Maksym nie puszczał, zaciskał ramiona i całował zapamiętałe. Fedotka czuła, że słabnie, gorąco biło jej w twarz od tych nienawistnych uścisków, w Piersi wrzała burza.

~~ Hej ludy ratujcie! Bafku! - krzyknęła zduszonym głosem.

^hłop zakrył jej usta ręką i szeptał groźnie:

bUFT~ Mołczy, ty moja, ty wże meni zaswatana, ciebie bafko mnie oddał, ja u twój czełowik, pocałuj harnie, pryhołubsia do mene, ty moja.

-- jDjTGS7GS7^ \_\_ lci\*7vW (

„... y „. "iiewczyna odpychając go silnie i drapiąc nn  
 twarzy-breszesz, ja tw"ułainyniebudpuy P°

RaS 1,, °H^S^wiszczał nad nia straszliwy Słos Maksyma.

- Katujcie, ludy Bat M k, \_k ała Fedotka.

W tej samej chwili ostóŁ J J ch} , j }

na grzbiecie, mokry pysk r i, t , • „ • y

"" i ni SJsnął 20 w ucho z za adłym warczeniem.

- Mucyk pyfl - krzj^J^

Maksym puścił ją, odskRi „ j j • "i i t' -i

„ • , • . iIna bok odpędzając Mucyka, który jak wscie-  
 kły ciskał się na mego szcA

Nagle drzwi chaty ot"(rV . , , t • , ,1 j j •

, , - 1.1 ni) się z łoskotem i przed bladą dziewczyna  
 stanął chłop z atarką w rf "• -A , • ^j . , • J a

r • „ , • ^ , „ . ,

- Szczo tobi? - spytW1 Wld°k °JCa Fed°tka z(tm)eszala s?;

rozrzucone włosy i zdartą A gr°zmf patrzac na Wy1?kniona cork?' naJeJ

- S,(tm) t" t,!;;; (tm).I"i.V chustkę.

Ruszył do drzwi, ale w  
 smutnie:

- Spij zdrowo i nie

Hej, Boże miły!

- Szczo tu iakij szum W ^y'^? Kaz zaraz,

~ ^ fm,naPf naW(bat'ku - zawołała płacząc.

- Gde ty chodyła? ^

- Do mlyna bafku.

- \_ Czeho ty tam? - IjL \_ do ch} 1W? Ja tobl dam! Poždy

nocy będziesz wołoczytoaA ć choroFbo , H do cha

Chłop złapał struchlał,^ \* za j wepchnął do izby i sam

wszedł za nią. J r r- t- t

Mrucząc gniewnie posta.1 |^kę { odpina} rzemień) jakim był przepasa.

~ Ja \*?be r110211^0^ - powtarzał.

Wtem do chaty wbiegł l\ L st Porwał cW za k

i wydzierając mu rzemień zf'(|

- Panie gospodaru ^ FedoM wara do nj . ", Choć

bat ko ale me snuejae bytyJi ^ na { nijak ne dozwołu

Chłop zwrócił się do niAmi

- A tobi szczo?... Ijej J , j dam za że dajesZł baczyw jakij!

- Chatu spalu a me da. , \_ huk { Makg^

Rozbudzili się wszyscy W^ ^ iszczac z}azi}a z ifica mg rozumia.

ła, co się stało. Młodsze daA ^^ z tapczanow z łączem j wyrzeka-

niem. W chacie powstał sąd>\,  
 .. -ru - wołał Maksym - czego Fedotka  
 chodyła do nJyna^Nie do d>\ k k ^ fe fe Josida ja j  
 baczył. Ona chodyte PYtafsia,^ a bo ^ J } ona ^  
 o Damlka, taj tuzy za nim j\* J J światym. ja ją w furtce napadł jak  
 złodziej, wze bilsz ne budu M Podra a^ jak z}eJ { sobak • szczuła. Ale  
 me bijcie, bo jak tromecie cha J chatu do ijdu a j -ak  
 w Boha wiru. Ja do mej zawlr V ^ ostajajtes zdrowym.  
 Ruszył do drzwi, ale w p" / ^ } f Fedotk rzek }  
 t r t f  
 ż fe mnie czomobrewo lubiła.  
 J J  
 — Ta ,irarv. "tn^,- ---J.un^n.

\Vszedł wzdychając ciężko.

\V chacie, po chwilowym milczeniu baba i dzieci ponowiły wrzask. Baba  
 iyZyczała na Fedotkę wymyślając jej, dzieci piszczały będąc pewne, że wilk  
 zadusił krowę albo może kto się utopił. Fedotka sztywna stała pod ścianą  
 szeroko otwartą źrenicą patrzyła w słabe światółko latarki. Grube łzy spływa-  
 ły i jej oczu. Milczał i stary chłop, rękę opuścił na świtkę i spoglądał na córkę  
 uważnie.

W oczach jego nie było już gniewu, przeciwnie, spod przymkniętych po-  
 wiek widniały dobre, łagodne błyski, rozświecając ponure oblicze. Twarda,  
 zahartowana pierś chłopca poruszyła się rzewnym uczuciem, nigdy może w niej  
 nie bywałam. Podeszedł do dziewczyny i spracowaną czarną ręką pogładził ją  
 po twarzy.

- Idy spaty, Fedotka... wze byty ne budu, idy ditia - rzekł wzruszony.

Dziewczyna pochyliła mu się do ręki.

- Prostyte, bafku - jęknęła.

- No, no, hodi, nie płacz, idy spaty... Boh daść budę dobre.

- Aha! Howory tak do niej, howory - zatrajkotała baba - wze i tak  
 z nieju bieda, budę jeszcze hirsza.

- Mołczy - rzekł chłop do żony idąc na swój barłóg i gasząc latarkę.

Baba jeszcze mamrocząc wgramoliła się na piec i uspokoiła dzieci.

W chacie umilkło, tylko dolatywał monotony huk rzeki, poszum wiatru  
 z wiśniowego sadu, a z kąta gdzie spała dziewczyna - ciche szlochanie.

IV

Słońce wzbiło się wysoko, rzucało na rzekę i łąkę tysiące złotych światel.

Rzeka roziskrzona płynęła rzeško, niosąc na szafirowych falach błyszczące  
 pasma słoneczne i tęskne melodie wołyńskich piosenek.

To dziewczęta śpiewały na łące.

Na zielonej ławicy skoszonej trawy pełno kręciło się czerwonych spódnic  
 i białych koszul. Dziewczęta postrojone w paciorki, w kraśne chustki, zgrabia-  
 ły siano w kopice ciesząc się z pięknego dnia i ze swej pracy. Od świtu śpiewały  
 o Kozakach, o czarnobrewach i o "nes'ozastnoj Marusi", wreszcie o swej

rzeczorice "szczo idę w świt, jakby skrzydła miała".

Fedotka, grabiąc na swym kawałku łąki, śpiewała również, ale tęskniej, rzewliwiej. Czerwoną spódniczkę podpięła wysoko, tonąc zgrabnymi stopami w pokosach siana. Na białej koszuli złociły się bursztyny, spod Iśniącoczarnych warkoczy przykrytych żółtą chusteczką patrzyły oczy jak z lawy, migotły. "We, pełne iskier i bezdennej, głębokiej zadumy. Wiotka jej postać gięła się zrećnie. Ładne, rzeźbione rysy na szczupłej twarzy wyrażały niezłomne postanowienie. Kształtne usta paliły zarem tajonej namiętności, czerwieniejąc jak dojrzałe maliny leśne. Wstyd ogarniał dziewczynę na wspomnienie wczorajszych pocałunków Maksyma, lęk przed dzisiejszym dniem tamował oddech, k niewytłumaczony i ponury.

44

45

A tam dziewczęta śpiewają i "did" wędrowny usiadł na kopicy sian  
brząka w lirę i Jcho przez nos podśpiewuje.

Świergocą ptaki, koniki polne cykają w trawie, a rzeka szumi, płynie het  
daleko, zawsze bystra, gadatliwa.

Fedotka podnosi czarne obfite rzęsy, patrzy na rzekę a usta jej błyskają  
białymi zębami.

- Hej, nasza rzeczonka! Takoj na świecie nie ma, nasze lisy, nasze ho-  
ry, gdzie takich bilsz najdziesz?... W naszoj Rudni tak harno, szczo i w Kj.  
jowie pewno harniej nie jest. I Ruczyce harne, a koły Daniłko wróci, budut  
jeszcze harniejsze. Dobre żyty na świcie, na Bożym, szczo tylko Daniłko  
wrócił.

Fedotka zaczyna śpiewać.

Oj zazulu, zazuleńko ty meni kazala,  
Szczo pryide mój myleńki, ja jcho żdala.

W że i bory pośmieli i listy opali,

l Jak pryide mój sokolik budemo spiwali.

zawołała jedna z grabiących dziew-

- Hej, Fedotka, koły twoje wesile?

czat.

- Koły Boh daść - brzmiała odpowiedź.

Dziewczyny rozgadały się.

- Ja słyszała, szczo Maksym dziś na nowo swaty przysze.

- Wże teper bat'ko ciebie odda, wola nie wola, tobi wże czas za muz.

ty

- On harny chłopiec, ja by sama jego chciała, ty durna Fedotka, jak  
jego nie chcesz.

- Aj, takiego lubienia, jak Maksym ciebie lubit, ja z rodu nie widziała,  
idy za niego, my potańcujem na wesilu.

- Do czorta tobi z twoim sołdatom.



Fedotka milcząc grabiła pilnie, westchnienia podnosiły jej piersi.

Wtem jedna z dziewczyn zawołała cicho:

- Hej diwczata, baczyte, pan jedzie tutki.

- Gde?... gde?... - krzyknęły wszystkie.

- A ot tam, baczysz?

- Jej Bohu, prawda!

Dziewczęta grabiły zamasyście spoglądając na zbliżającego się wolno pana.

- Czego win od nas chce?... A jaki harny!

I chichotały trącąc się łokciami.

Po chwili między szeregi dziewcząt wjechał młody pan i zawołał wesoło miejscowym narzeczem:

- Boże pomahaj, diwczata.

- Diakujem, wielmożny panie - odpowiedziały chórem.

- Czemu nie śpiewacie? Takije harnie diwczata jak kraski - mówił pan przesuwając oczyma po twarzach dziewcząt jakby kogoś szukał.

46

My już panoczku bohaćko śpiwały - odrzekła najśmielsza pokazując wsZ^ A gdzie Damianówna? - zapytał pan.

Dziewczyny obróciły się.

\_\_ Fedotka, idy do pana, żywo!

Ona podniosła głowę.

\_\_ A czego?...

\_\_ - Pan tebe wołaje, idy - trąciła ją w bok.

Fedotka podeszła parę kroków, pan posunął naprzód koniem, patrzył na dziewczynę z uśmiechem.

-- Fedotka, zaprosisz mnie na wesele?

Dziewczyna spochmurniała.

\_ Nijakoho wesila ne budę - odrzekła i chciała odejść.

\_ Jak to? Twój Daniłko wrócił z wojska a ty jego nie chcesz?...

Dziewczynie krew uderzyła do mózgu, zatrzęsła się od stóp do głowy.

- Wrócił?... - Jęknęła jakby nieprzytomna.

- Wrócił dziś nad ranem, to ty nawet nie wiesz? Był we dworze u brata.

Harny chłopiec, ale ty harniej sza Fedotka, ciebie szkoda dla niego - dodał ciszej pochyłony do niej.

Ona podniosła na pana oczy błyskające niepokojem.

- A ne breszete, panoczku, szczo on wrócił?... - spytała z drzeniem.

Pan zaśmiał się.

- Nie, prawdę mówię, przyjechał twój Daniłko, zaprosz mnie na wesele.

Ale ciebie, Fedotka, szkoda dla niego.

Dziewczyna już nie słuchając porwała grabie i pędem biegła w stronę wsi. Za nią wybuchnął śmiech jej towarzyszek, były przekonane, że pan z niej zażartował. Fedotka nie uważała na to, biegła witać Daniłka, aż jej tchu brakło.

Cudna dziewczyna - myślał pan odjeżdżając z łąki - takiej dać wykształ-

cenie i ogładę, stałaby się gwiazdą salonów.

I jechał zamyślony, może zły, że dziewczyna pozostała wierna swemu chłopakowi.

Fedotka biegnąc łapała w otwarte usta powietrze i głosem przerywanym wołała ciągle.

- Daniłko pryichał, Daniłko.

Blisko wsi wybiegł naprzeciw niej mały jej brat Ołeksia z rozwianymi jak len włosami, wołał z daleka:

. - Fedotka! Daniłko pryichał, chody żywo, taki harny, ubrany jak żołdat, l lentu maje, jej Bohu! Krasnuju lentu, chody żywo!

Porwał ją za rękę i biegli razem, Ołeksia prawił o Daniłku, opowiadał, jak Ogląda, co gada, gdzie bywał i ciągle jednym kończył:

- I krasnu lentu maje, pobaczysz.

Fedotka niedaleko chaty wyrwała się bratu, chcąc jak najprędzej powitać "kochanego. Już dopadła do furtki, gdy Ołeksia krzyknął na nią.

- Gde idesz, Fedotka? Daniłko we młynie z chłopcami, tam chody, jego w chacie ne najdziesz.

47

Dziewczyna stanęła w miejscu jak przykuta, szeroko rozwarte oczy obróciła na brata i oddychając spiesznie patrzyła na niego bez słowa, tylko brzościągnęły się dumnie a usta drżały.

- Chody do młyna, chody - wołał chłopak ciągnąc ją za rękę.

- Ni, ne pijdu - wyjąknęła.

- Szczo ty zduryła?...

- Ne pijdu, nie chocz - odparła z wysiłkiem.

Chłopiec stanął zdumiony.

- Ty zduryła, Fedotka?... Daniłko pryichał a ona nie chce do niego

Na czysto zduryła.

- Jak on we młynie, to ja jemu ne potrybna - rzekła z energią i z przejmującym smutkiem.

Wzięła grabie i wolno odeszła w stronę łąki. Tylko zamiast wesela miała ból nieznośny w piersi, dławilo ją w krtani tak silnie, że łzy napłynęły do oczu. Lecz się przemogła nie chcąc żartów i kpin towarzyszek. Podniosła hardi głowę i zaczęła śpiewać, ale śpiew podobniejszy był do szlochania.

- "Oj zazulu, zazuleriku, ty rneni kazała".

Nie mogła dokończyć, usiadła pod wielkim dębem przy drodze i rozplakała się na głos. Długo płakała zakryta żółtą chusteczką, a gdy jej łzy obeschły podparła głowę na rękach i patrząc na błyszczącą z daleka rzekę, na chaty ginące w sadach i błękitny szmat nieba, uspokajała się z wolna. Otucha wstąpiła do jej duszy. Siedziała parę godzin. Słońce doszło do południa i grzało coraz bardziej. Ptaki umilkły z upału. Powietrze było parne. Zza boru szedł głuchy, złowrogi pomruk burzy. Drzewa stały ciche, nie drząc gałązkami, ćwierkały koniki polne, czasem w zbożu zakwiliła przepiórka lub w wiśniowych sadach gwizdnęła wilga. Słońce sypało powodzie żaru, piekło, smażyło

wszystkimi promieniami. Nie takie złote jak rankiem, zbladło, cały ogień i blask zsyłając na ziemię, jakby chcąc ją spalić na węgiel.

- Burza idzie a siano nie zebrane - szepnęła Fedotka zrywając się z miejsca. Skoczyła na łąki. Wtem dobrze znany głos zawołał na nią.

- Fedotka! Czego uciekasz?... Jaz do ciebie idę, czarnobrewo.

Dziewczyna zdrętwiała, opuściła ręce na spódnicę patrząc na Daniłka w osłupieniu.

- Szczo ty, zabyła o mnie?... Hej! Jaka ty harna zawsze! - mówił pod chodząc przystojny, czarniawy chłopak w żołnierskim mundurze. Czapkę miał nałożoną z fantazją i czerwoną wstążeczkę odznaczenia na piersiach. Ręce trzymał w kieszeniach. \*Szedł dużymi krokami w butach wysuwaksowanych i błyszczących z daleka. Fedotka stojąc jak wkuta w ziemię, patrzyła na Daniłka bez tchu, bez słowa. Chłopak poszedł, porwał ją w pół i zaczął całować; obracał Fedotkę w kółko śmiejąc się wesoło.

- Hej czarnobrewo, jaka ty harna!... A mnie gadali ludzie, co ty za mąż poszła. No, myślał sobie, jak poszła to poszła, czy to jej niewoła?... Żal mnie było, ale co?... Miał płakać?... Jakież ja by był żołdat. Aż tu dziewczyna jest i taka sama zazula jak była. Ot, ja się i ucieszył czarnobrewo moja, takiej jak ty to ja nie baczył, choć cały świat zjeździł.

A taki do mnie z początku nie przyszedł, ne chotił mene znaty - prze-

- "7} a Fedotka śmiejąc się do narzeczonego.

tf0\* Ajei Nie poszedł, bo czut' świt przyjechał czajką z miasteczka, nim ""ków powitał, a Stepan do dworu zaciągnął, to z panem gadał, taj szedł do bat AŻ tu chłopcy z młyna wyskoczyli, taj zaczęli wódką traktować a prze- 516 ć to i co? Musiał w kompanii być. Teraz wyrwał się do ciebie, bo Ołeksadał co ty na łące i co ty do młyna nie chociela iść. A ty tu co robiła... ha?... ga \_J płakała za taboju, ale ty dobry, ty sokolik dobry! - I dziewczyna uśmiechem gładziła chłopaka po ramionach, zaglądając mu w oczy z ogromną miłością.

- A ja o tobie pamiętał, chustkę krasną przywiózł, taj korali sławne.

- Przywiózł? a!...

\_ A jakże, przywiózł, teraz swatów do ciebie budu słać, za żynku wezmę, chociesz?...

- Oj!... Jakby ja nie chociela?... - westchnęła Fedotka. - Jaz na ciebie trzy zimy, trzy wiosny, trzy jesienie czekała, taj doczekała się. Jab za tobój poszła, gdzie chociesz, ja tebe Daniłku lubyty budu ciłyj wik, ty mój sokolik. Chłopak gładził jej włosy, śmiał się i całował.

Wtem zaturkotało, obejrżeli się oboje.

Na wozie z sianem jechał Maksym, powożąc parą dzielnych gniadych koni. Gdy się z nimi zrównał i spojrział, lejce wypadły mu z rąk. Z ust wydobył się zdumiony okrzyk.

- A!...

Świtaniem wyjechał na łąki, teraz wracał na południe i nie wiedział o powrocie żołdata. Na widok tej pary zbladł strasznie, w oczach mu zamigotał

ponury ogień.

- Hej, Maksym! Pomahaj Boh! - krzyknął wesoło Daniłko.

- Dobrze zdrowie! - odrzekł chłop głuchym głosem, zgarnął lejce i zaciął konie. Wóz potoczył się szybko pozostawiając tuman kurzu.

- Szczo jemu? - zapytał Daniłko.

Fedotka milczała.

Chłopak objął ją wpół i poszli w stronę chaty Damiana.

Z boru dolatywał coraz częściej zły, jakby zduszony ryk, czarny brzeg chmury zaciemniał świat, wiała z niej groza.

V

W chacie Damiana ludno i gwarno. Chłopi siedząc pod piecem, na przyb'e, radzą kiwając głowami nad dzisiejszą burzą. Od południa do późnego wieczora lał deszcz bez przerwy, huragan z grzmotami i piorunami szalał nad Wsią srożąc się niebywale. Z łąki woda porwała kilkadziesiąt kopie siana, ^chodziły poważne obawy o most, nawet o młyn, bo wezbrana rzeka pędziła z łoskotem rwąc wszystko, co się dało. W Ruczycach od pioruna spaliła się cellata i stodoła, w Rudni piorun zabił konia, więc było o czym radzić i wy-

48

49

Czciaele szatana

rzekać. Teraz ucichło... Księżyc wyjrzał zza chmur rozświecając wzburz0jl. rzekę i drogi pokryte strumieniami wody. U Damiana nic się złego nie sta)0 tylko burza połamała gałęzie wiśniowego sadu i zdana parę snopków ze str?e chy, sterczących tak, jakby chata wznosiła ramiona do nieba błagając o ratu. nek i miłosierdzie. Gniazdo bocianie spadło ze stodoły, stary Damian p0 czytywał to za złą wróżbę, tym bardziej że z pobliskiego lasu odzywał sw złowrogi, przykry puszczyk wołający jakby spod ziemi.

Starzy chłopci spluwając przeklinali ptaka, bo jego ponury głos przeraża) ich. Ale młodzi zapomnieli już, co się działo przed paru godzinami. Ich za. jmuje co innego. Oto Daniłko, który "taki" powrócił z wojska i "taki" me zapomniał o swej zazuli, i dziewczyna, że jednak doczekała swego sokoli^ i wierna mu jest.

Więc oczy chłopców i dziewczyn biegną pod okno, gdzie na ławie siedzi młoda para zapatrzona w siebie.

- Gadają i gadają, o czym oni już mają gadać - pytają się wzajemnie chłopcy i dziewczęta.

Prawda, że niewiele czasu mieli na gadanie, bo jak burza szalała, to Daniłko i przy pożarze był, i ratował tak, że aż sobie włosy opalił. Z młynarzami bronił młyna, odciągał deski od tartaku i pracował za dziesięciu. Wszyscy z podziwem patrzyli na "sołdata", jak borykał się z burzą i przewodził innym. Komenderował chłopami jak "komandir" i słuchali go, choć prawie najbiedniejszy z całej wsi, ale taki ma już rozum, że trzeba go słuchać.

- Prowornyj, harny chłopiec - mówiły dziewczęta patrząc na niego z zachwytem.

Przy pożarze sam pan był i pochwalił Daniłka, powiedział do niego "ty sławny chłopiec". Patrzyli na młodego żołdaka z podziwem wszyscy prócz Maksyma. On chodził jak wilk ponury, do nikogo słowa nie przemówił. Przy ogniu i on ratował, ale jak Daniłko skoczył w płonąca chatę, żeby wyrwać pierzynę, za którą baby lamentowały, to złość, głucha nienawiść buchnęła w Maksymie, tak że zacisnął zęby i mruknął z wściekłością:

- Szczob ty wże nie wyszoł bilsz, tam ostał i sc/ez.

Daniłko jednakże wyszedł cały, tylko z podsmaloną czupryną. Ale Maksyma nie ma u Damiana, po co on tu? Żeby widzieć Fedotkę, swoją hołubkę, dla niego straconą. On miał dziś swaty do niej ślać, a ot jemu i swaty, kiedy Daniłko już z dziewczyną "zmówiony". Nieszczęsny Maksym nie dostanie czornobrewy.

A jak ona dziś wygfada ta Fedotka, hej Boże miły! Wystroiła się jak korolewna jaka. Nową spódnicę włożyła czerwoną, naszywaną galonami, buty i małe i zgrabne choć zrobione z grubej skóry. Zapięła się ciasno w ciemny granatowy kaftanik, oblamowany aksamitem. Pod szyją i przy rękach wyciągnęła białe kryzy od koszuli, zapinając je błyszczącymi spinkami. Na szyi ma bursztyny, lecz na piersi spadają jej sznury czerwonych jak krew koralu, na drugich kosach mieni się jedwabna, pasowa z żółtym chusteczka.

To są dary Daniłka. Fedotka wystroiła się, oczy jej błyszczą jak gwiazdy, usta palą żarem.

50

te dziewczęta patrząc na nią same nie wiedzą, czego zazdrościć, czy -u czy chłopca. Więc wzdychają cicho. Chłopcy patrzą na Daniłka gniew-Str°"że im najładniejszą zazulę ze wsi zabiera, ale zbliżyć się do niej nie śmieją, 0161 żołdatem" trudna sprawa. Jeden Maksym mógłby z nim zadrzeć, widać się boi, kiedy nawet nie przyszedł. Więc od biedy chłopcy trącają kulaka-1 ' inne dziewczyny, żartują z nimi, a one rade z umizgów śmieją się pokazując bv Potem Matwiej, starszy brat Fedotki wziął skrzypce i zaczął wygrywać kozaka. Młodzież puściła się w tany, podrygując do siebie z radosnym pokrzykiwaniem.

Ha ławie pod oknem Daniłko szeptał do Fedotki.

\_ Holubko moja! Ty taka harna, że ja na czysto zdumiał, i w Moskwie, i w Odesie ja takiej nie widział. Czysta kraska, hej! Jak ja ciebie lubię Fedotka! Takie lubienie mnie rozebrało, że rady nijakiej nie ma. Jutro z wódką przyszłe i zaraz na zapowiedzie dam. A ty mnie lubisz, ha?...

Dziewczyna pokraśniała i patrząc promiennymi oczyma na ukochanego, odrzekła szeptem:

- Ej Daniłko, ty dla mene jak heruwym, ja tebe tak lubię, tak lubię, tyż mój sokolik.

I dziewczyna pochyliła ciemną głowę spuszczać czarne rzęsy na słodkie, głębokie oczy.

- Zazulu moja! Hej, moja zazulu!... - szeptał chłopak obejmując gibki jej stan.

W chacie tymczasem młodzież rozchylała się, po skrzypcach przynieśli bębnek, chłopcy szli w "prysiudy", dziewczęta przebierały nogami coraz żywiej, izba nappełniała się tupaniem i krzykami, u-ha!...

- Chody, Fedotka! Potańcujem - zawołał nagle rozochocony Daniłko, chwytając dziewczynę za rękę.

Zerwała się posłuszna i razem wybiegli na środek izby.

- Hu-ha! - krzyknął chłopak biorąc się pod boki. Stojąc naprzeciw dziewczyny zaczął tańczyć z życiem skoczno go kozaka. Szedł w prysiudy tak zreźnie, że prawie siedział na ziemi, a nogami wywijał na wszystkie strony. I patrzył na Fedotkę ognistymi oczyma, i przytupywał rażno z wielkiej radości, co mu w duszy wrzała. Czarne włosy spadły mu na czoło, nozdrza poruszały się gwałtownie, ale tańczył i tańczył wpatrzony w drepczącą naprzeciw zazulę swoją. Fedotka przebierała drobniutko m"4/mi stopami, to przysuwając się do swego chłopca, to znów odbiegając prędko. Trzymała się palcami za spódniczkę, wpatrzona uparcie w migające, czarne swe buty. Czasem podniosła gwiaździste źrenice na tańczącego Daniłka, a on pokrzykiwał głośnie i bił hołubce 32 kurz podnosił się z glinianej podłogi.

- Ot, tańcujut sprawnie - wołali chłopci.

- Nu! Taka Fedotka harna, czort ją chował!

-- Ale win harniejszy - dodawały dziewczęta.

- Takoho sołdata ja jeszcze nie baczyła.

Stary Damian nie pokrzykiwał, on patrzył na córkę, na jej chłopca, uśmie się i mrucał.

51

z odrętwienia nawet wówczas, gdy podszedł do niej zmieniony jak sym i biorąc za rękę rzekł skowyczącym głosem: uP'ór \

- Chody, biedniako, do chaty, chody do bafka.

Pociągnął ją za sobą; szła bezwładna, nie pojmując, co się /

W uszach jej dzwoniło, świat zawirował szalonym pędem i zemdl ^  
Maksym wziął ją na ręce i niósł do chaty. Za nim włókł się bez sł ^ ^  
biony stary Damian i zmokły, drżący z zimna Mucyk. Od rzeki ^ł  
coraz głośniejszy gwar głosów ludzkich. at'

VI

Minęła doba. Ludzie nagadali się o ponurym wypadku z Daniłkiern p  
bowano szukać ciała. Sam pan z ludźmi nadjechał, lecz po kilku próba'•  
zaniechano i tego. Rzeka była niebywale wzburzona, pełna wody. Sieci na  
mocniejsze nie mogły wytrzymać. Zresztą ludzie bali się narażać własnea  
życia.

Do wieczora uspokoiło się. Chłopi wyczerpani wrażeniem, zmęczeni fi?  
cznie, odpoczywali. Tylko w Ruczycach, w małej chatynce Semena - o  
Daniłki, starzy rozpaczali okrutnie. A w Rudni u Damiana Fedotka c  
dzień leżała nieprzytomna. Wieczorem dziewczyna odzyskała ś wiadomo

przez parę godzin rozdzierający jej płacz nie dał się utulić. Potem znou ucichła. W chacie myśleli, że zasnęła. Ale Fedotka zawinięta w świtkę leżała na swym tapczanie cicho, rozważając coś głęboko w swej zbolącej chłopskiej głowie.

Zaczęło świtać.

Od chaty Damiana prędko biegła ku rzece smukła postać, za nią ciągnę się czarny, kudłaty pies.

Wieś spała kamiennym snem, dłużej niż zwykle. Fedotka z łatwością VI śliznęła się z chaty i dopadła do grobli. Stojąc na moście wpatrzyła się \* "" piany śluzy, matowo oświetlone przez świt. Skłębiona woda waliła potężnie - most dygotał, pióropusze kropli obryzgiwały burty. Fedotka bystre utkwiała w te wiry. Dziewczyna miała ściągnięte brwi i kurczowo acis usta. Na bladej twarzy malowała się groza. Konwulsyjnie chwyciła mostu i rzekła głośno:

- Wzięła Damiłka, woźmesz i mene!

Drżąc uklękła, przeżegnała się szepcząc:

- Hospody pomyłuj!... Spasi Boże meni hresznoj!...

Pochyliła się gwałtownie naprzód, puszczając ręką oparcie.

Słaby krzyk, plusk fali, głośne szczeknięcie psa i wszystko ucienn śluza buchnęła w górę potężnym słupem spienionej wody i ryczała nową ofiarę.

- - spytał sam siebie stary Damian wychodząc z chaty

\_\_ Szczo ce....

^chodzie słońca. ^ ^ . skora ^erp} a mu z przestachu. Poznał

Usłyszał przecie

jos Mucyka- . wpacił do chaty i wybiegł z niej na powrót rwąc włosy.

9 Przeczuciem tKiuf <-y F

t A r/eki jak oszalały.

Pędził ao i .erwszy Na grobli stało kilku ludzi z młyna, patrzyli w wodę

NIC Nisko na kamieniach stał czarny, pokudłany pies, wyciągał głowę

przerażeni. przejmująco. Jęk podobny do ludzkiego brzmiał

do spienioneJ y

\* ^N-^brzegu mostu leżała czerwona chusteczka nieszczęsnej Fedotki. Dan popatrzył i zmartwiał. Czuł, że tu się coś stało okropnego, ale co - nie rfawał sobie sprawy. Jego chłopski mózg nie mógł zgłębić ogromu nieszczęścia Ludzi zbierało się mnóstwo. Wieść poszła po wsi jak huragan, chłopci gromadami biegli na groblę przerażeni, powtarzając jedni drugim:

- Fedotka utopyłasia!...

- Słyszał ty?... Damianówna utopyłasia!

- Hospody pomyłuj!...

Na grobli powstał tłok. Chłopi stali zgnębieni. Kto biegł z krzykiem drogą, ten wchodząc w milczący tłum umilkł, przeciskał się, aby spojrzeć na rozhukaną śluzę, straszliwy grób dziewczyny i na jej kraśną chusteczkę.

A słońce płynęło wyżej i wyżej, krzeszło iskry na spiętrzonych falach jakby

pałac złote lampki dla tych dwojga, których woda niosła, aby może gdzieś złączyć i nieść razem.

Nagle z tłumu chłopów wyszedł jeden wysoki i tęgi, lecz tak blady, że zdawał się kropli krwi nie mieć w sobie. Oczy szklane, bolesne w wyrazie wpił \* rzekę . stał jak martwy.

Był to Maksym.

^dszedł na brzeg mostu, ukląkł, zdjął czapkę i przeżegnał się.

zyscy chłopci poklękali, każdy się żegnał zdzierając czapkę z głowy.

Panowało S(tm)01\*.

Fedotki nie ukląkł jak v/szyscy, lecz runął na kolana zakrywa-  
' rycząc z żalu. Zdawało się, że mu płacz rozniesie piersi.

K0chał nd]wPler° zrozumiał- Rozpacz porwała go wichrem. On tę dziewczynę  
Ocz>ma Wi'?Cei Z dzieci> cn°ć bił nieraz i łajał. Stała mu jak żywa przed  
~- Fedotk , pisko waliło Słowa- ° bierwiona mostu.

\k Fedotk d'tia"- szczo ty zrobiła?... - jęczał przeraźliwie.

> a

a nie odezwała się. Natomiast rozległ się ponury głos Mak-

Q

e

'warz

o duszam Fedory i Daniła.

°dpowiedzi i"" .~~ Powtórzył chór głosów.

10 im głuche wycie psa i monotony huk rzeki.

54

55

## Czciciele Szatana

/) i 1-

•<< • A •"

## Obraz I

Otaczała ich dwoje atmosfera wyłączna, jaka niegdyś owiewa ludzi nie-  
spodziewanie, spada na nich, niby jaskrawa smuga z przelotu demona - nie  
aniola, lecz demona. Smuga taka zakreśla świetlisty krąg tak wszechwładnie  
i zaborczo, że zasłania sobą wszystko, pociąga, porywa, przykuwa z despoty-  
czną mocą i bezwzględnie. Ich już porywała. Osrebrzony księżycem, ciepły,  
wonny wieczór i pysznie rozwinięta natura, tworzyła z nimi rytm zgodny,  
melodii pełen.

W duszach ich dwojga rozbrzmiewał hejnał wzniosły, pieśń cudna, której  
nawet harmonia tego wieczoru upiększyć już nie mogła. Muzykalność ich,



pobudzona czarem natury, musiała się uzewnętrznić. I oto przez otwarte okna popłynął w głąb parku świetny duet fortepianu i wiolonczeli. Bogate tony rozlały się kaskadą wśród rozkwitłych szczerze klombów kwiatowych; zadrzały śnieżne lilie, nieskalanie czyste w blaskach księżycy, zapłonęły ogniściej purpurowe róże. Muzyka dopełniała uroku, uszlachetniając niejako wspaniałość wieczoru. Do jego piękna przybył wdzięk, miłość i natchnienie. Grali utwory poważne, narkotyzując się i wypowiadając sobie w muzyce całą genezę swych uczuć, ich wzrost, ich majestat. Bo ta moc twórcza przenikała już ich dusze na wskroś, stawała się ogromem. Serca ich należały do siebie.

Słodkie tony arii - Bacha - przebrzmiały, rozsnuwając dokoła upojną senność i melancholję, po czym largo, Handla, rozniosło swe dostojne akordy i rzuciło grad perlisy w osrebrzone księżycem puszcze drzew; rozelkany spazm fortepianu i wiolonczeli wywołał nowe dreszcze, nowe wizje. Akordy toczyły się jak gromy Jowisza w otchłaniach Olimpu.

Oni oboje porwani siłą utworu, unieśli się w zaświaty, w krainę duchowej Kstazy, gdzie duchy ich, wyzbyte ze wszystkiego, co brudzi i kała, szczęśliwe, udane sobie, intonowały hymn zachwycenia... A smuga świetlna dokoła nich nabierała purpury w swą tęczę, zacieśniając krąg uroczy. Lilie na kwietnikach P°chyfny kornie przeczyste swe korony, owiane subtelnym aromatem. Róże r°zżarzyły swą krwawą czerwień i zanosły się ekstraktem odurzającej woni. Salon, fortepian i oni oboje zanurzeni byli w powodzi opałowego światła, dokoła tchnęło mistycznym nastrojem. Tony larga urosły, wzmocniły się w potęgę i nagle skonały, jeno echo huczało, słabnąc, zanikając...

57

Ona siedziała cicho z pochyloną głową, zasłuchana w ostatnie dźwięki odłożył wiolonczelę i przeszedł się po salonie krokiem nerwowym, precz jakimś niecierpliwym, jakby salon za ciasny był teraz dla niego. Dłonią tarł czoło. Zbliżył się znowu do niej. Stał za nią.

- Czy będziemy grali jeszcze? - spytała.

- Może potem. Nasza muzyka dziwnie mnie bierze, rozumie ją pani ^bornie i kocha... Zgadzą się na tym punkcie. Trochę ochłoniemy p0 na szym duecie - dobrze?...

- Jak pan chce. Czy pójdziemy do towarzystwa...? Wesoło się tam bawią w parku... słyszy pan... śpiewy.

- Zostańmy tu, co oni wszyscy nas obchodzą? Bądźmy dla siebie. Taka wyjątkowa chwila, taka nasza i nie częsta u nas... Jesteśmy zatopieni w srebrnej łunie. Postać pani biała, w tych świetlanych blaskach, nabiera odcieni liliowych...

- Może zagramy sonatę księżycową. Beethoyena? Bardzo byłaby a pro- | pos.

Chcąc pokryć wzruszenie, któremu i on widocznie podlegał, zaczęła przewracać kartki w zeszytach z nutami. On jej pomagał. Milczeli oboje, wsłuchując się w szepty własnych serc rozplamionych. Szły po nerwach dreszcze fascynujące, oblewał ich prąd wzajemnego oczarowania, że spoglądali na siebie

wzrokiem olśnionym i znowu spuszczały oczy na nuty.

Wtem on ruchem stanowczym zamknął zeszyt, dłonią swą przykrył jej rękę na pulpicie i, patrząc w jej oczy spod lekko zmrużonych powiek, przemówił głosem nabrzmiałym, lecz władczym.

- Pamiętasz wróżbę naszego szatana?... "Dzień wasz już bliski, wasze przestworza uniosą was na szczyty gór zapomnienia... dokoła zapalę płomień purpury... Iskrami szał was zasypię, wszystko wam zblednie w potopie szkarłatu... w mojej żyć będziecie barwie, obojętni na sprawy Kosmosu... a imię was dwojga, to jedno... Alhalii..."

Głucha panowała w pokoju cisza, jakby urzekła ją tajemnicza jakaś moc. Ona nie śmiała spojrzeć na niego. Słyszeli oboje wzajemne kołatanie serc w piersiach jak tępy stuk młotka. Czuli w sobie nadmiar uczucia i taką potęgę?, że skrzydła im zda się rosły. Ona była jakby zaniepokojona.

Zauważył jej lęk. Z wazonu, pełnego róż szkarłatnych i alabastrowych lili, wyjął jeden niepokalanie biały kwiat i złożył przed nią na klawiszach. Zrozumiała go. Jęła ochład/ać lilią rozpalone powieki. On zaś zaczął mówić wiersz dla niej ułożony. Wyznawał jej to, co w jego sercu dla niej potężniało. Nie wymienił wyraźnie słowa - kocham - lecz roztaczał przed nią atmosferę, w której ono żyje. Zwierzał, iż w myśli i w serce mu się wkradła, że w niej spostrzega ducha bratniego i że, miłując go i odczuwając, abstrahuje ją od wszelkich podniet ziemskich, że miłuje ją duszą, rozumem, wołą... Zaklinał, by nie posądzała go o szał zmysłów. Uczucie to nazwał pieśnią, która jest mu życiem i jego czarem, że bałby się zakończenia dysonansem, bo jej dźwięki są mu drogie, bo ta pieśń jest jutrzeńką, zapowiadającą przyszłe słońce, ta pieśń jest znakiem odrodzenia jego...

58

Zakończył, pochylając się nieco ku niej:

Zaufać tedy możesz mi bezpiecznie,

Bo z duchem twoim w sojuszu wiecznie,

Pragnę być, w nim czerpać siłę

Z nim iść przez życie, aż po mogile.

Po długiej minucie uroczystej dla nich ciszy, złożyła swe drżące, rozpalone dłonie w jego silne ręce i zaczęła mówić, głosem nieco stremowanym:

Konieczne było duchów naszych spotkanie.

Wierzę w ich spójnię i umiłowanie,

Wierzę, iż w sojuszu tym wytrwać zdołamy,

Bo wspólne ideały oboje kochamy...

Przywarł ustami do jej rąk i trzymał je długo... po czym rzekł:

- To będzie nasz dwugłos, jego początek... Poszybujemy w przestworza...

"obojętni na sprawy Kosmosu. A imię nas dwojga, to jedno... Alhalii..."

Posypał się złoty grad akordów na fortepianie, z nerwową brawurą, gorączkowo potoczyło largo swe tony wzniosłe w przejaśnię księżyca. Po introdukcji ozwała się minorowo wiolonczela. Harmonia popłynęła w dal, w tajemnicze

głusze osrebrzonych drzew, na białe lilie, na purpurę róż...

## Obraz II

Adriatyk cicho spał. Lekkie tchnienia poruszały łonem morskim, niby oddech kobiecej piersi, śniącej sen cudny. Drobne falki były jak mruganie rzęs na kameowych policzkach. Drżały falki, drżały i nikły a gładka ton morska uśmiechała się przez sen. Księżyc zapalił nad przestrzenią wód swą opałową pochodnię, cisnął łagodnie zdroje światła na morze, by sny jego były promienistsze. Tony perłowe, tony wyjaśnionych fioletów, nieuchwytnego lazuru wytrysnęły z dna wód i nasyciły sobą ich roztozcz. Rozbłękitniał świat w tej mgłę bajecznej, w tej kryształowej choć nikłej poświacie księżycy. U góry, hen, w ciemnej otchłani tkwiło opałowe ognisko jego, na wodzie rozsypywały się kaskadą świetlnych pyłów jego promienie; tam on - w swej istocie, tu jego królewski dar.

Śnił Adriatyk, śnił i marzył; bo szmery płynęły z jego głębin, szmery kojące dusze stęsknione, szmery, które upajają, które namawiają do piękna i szału, a nawet do grzechu. Adriatyk kusił; tak był niewinny w swym śnie dziewiczym a wołał rozkoszy.

Szeptał słowa czaru pełne tym dwojgu, tam pod wysmukłymi kolumnami skrytym, których serca równym były rytmem, lecz tak zgodnym jakby razem zaczęły i razem umrzeć miały. Willa ich tonęła w blaskach perłowo-lazuro-, bielila się jak alabastrowo różane ciało kobiety, w falach sinego morza.

59

Smukła, lekka willa, o gotyckich portykach, z długą galerią, opartą na artystycznych w swej wykwinności kolumnach, których szereg bieli przeczy nasuwał myśli o cudach Attyki. Galerie u szczytu wiązały półkoliste arka<sup>^</sup> rzeźby i witraże o kolorach, jakie słońce w dzień, a księżyc w nocy wypie<sup>^</sup>c! potrafi. U dołu tuż nad skałą łączyła kolumny dość niska balustrada białą krwawiły się na niej z rzadka pnące róże, plamami karminu gorącego na<sup>^</sup>vet w tej błękitnej mgławicy. Willa cała zdawała się wynurzać z otmętów zieleń i róż; woni tych kwiatów boskich nie mógł stłumić nawet egoistyczny, słony smak morski. Zapach róż okadzał willę - była rzeźwa, pełna uroku woj zaledwie rozkwitłych pąków i tchnąca nieprzepartym czarem, pełna drażniącego narkotyku woń róż konających, a jeszcze żadnych słońca. Przepych woni przepych kwiecia, barw i blasków. Koncert!

A dokoła gaj cyprysów ciemnych i baldachimowych pinii; kwitnące, wiosniane barwą, różowe migdały, które nazwać by można motylami drzew, dziewicze, śnieżne bielą cytryny i pomarańcze w kwieciu i różospady purpurowe, krwistymi strugami spływające z murów opleśniałych i mchem porośniętych skal. Więc dzikie skalne pieczary, tryskające zewsząd bujną roślinnością, malowniczo usiane plamami drzew kwiecistych, rumianych, jak zorza, kamelii białych magnolii, tuberoz, przetkane girlandami bluszczów ciemnoszmaragdowych i delikatnych gałązek strojnych w subtelne kielichy powojów. I znowu nieśmiertelne fontanny róż tęczy barwą, z przewagą szkarłatu, kaskady wytwornego kaprifolium, zapachem i kolorem przypominających dziewicę

greckie, wychodzące z kąpieli morskiej na roztocz słoneczną. Tam, gdzie kaprifolium rzuca swe wonne runa wśród potoków purpurowych róż, tam różowoperłowe grona kwiatów wyglądają niby oblubienice na malachitowych łożach liści, rozkochane, tęskne i senne, tuląc się do płomiennych kochanków...

Wszystko dokoła zdaje się miłować, tęsknić, śnić, a zarazem szaleć i łaknąć rozkoszy i udzielać jej sobie wzajemnie. Szczęście, szal i rozkosz odczuwało si? tu plastycznie wraz z bujnym temperamentem południa. Punkt kulminacyjny - ich dwoje, w głębi galerii, w cieniu środkowych sklepionych filarów. Siedzą naprzeciw siebie, blisko.

Dokoła nich mnóstwo róż i purpurowych goździków. Płaczą się na mozaikowej posadzce krwawe i białe kwiaty. Ich zapach odurza. Oni rozmawiają poważnie, jak ludzie, którzy dusze swe zgłębili, wiedzą, czego pragną, co jest ich idea i co osiągnęli, a co jeszcze osiągnąć chcą. On mówi, ona słucha go uważnie, zatopiona w nim'duszą i wzrokiem, oddana mu całym sercem; zabrał je samodzielnie i włączył do swego. Nie broniła mu tego skarbu, grabież ta dała jej szczęście. Dała jej więcej, bo pewność zupełną, że szczęście istnieje, że nie jest złudą. Dała jej więcej, bo przekonanie, że są dusze dla siebie stworzone i, że są wśród nich wybrańcy Fortuny, którym dane jest spotkać się z sobą i trwać w ukochaniu.

Dała jej więcej, bo ukazując jej moc uczucia, płynącego z ducha i w nim ześrodkowanego, stworzyła ideału pełen, biały, cudny kwiat miłości duchowej, tylko w jasnym świetle i przejrzystym powietrzu kwitnąć on może. W pałacej  
60

sferze zmysłów, straciłby może czar swój i całe piękno. Więc czuła się at!B<natką w tej krainie, gdzie bogactwa wybrańcom rozdziela - szczęście. 11 ła że o ile być kochaną, to już tylko dla takiej idei, dla ich idei - osiągnęli? Oboje pojmowali głębię szczęścia jednakowo. Bo nie dość było, że się chy ich spotkały w otmętach świata, w tumanie życia, nie dość, że się kochały, lecz trzeba było siły i woli męskiej, by zatrzymać koło Fortuny, klękającej stale nawet przed jej ulubieńcami i skierować na siebie boskie blicze i wzrok uszczęśliwiającej boginki. To się nie każdemu udaje. Spotkanie szczęścia, to wygranie głównego losu na loterii życiowej, ale zdobycie dla siebie i utrwalenie szczęścia, to salto mortale, po którym zostaje rozbitek lub wypływa zwycięzca. To klęska lub triumf.

Trzeba być twórcą swego szczęścia, aby być jego panem. On mógł to o sobie powiedzieć. Zdobył, utrwalił i dał mu odpowiednie ramy, właściwą obsadę i panuje nad nim wszechwładnie, pewny swej mocy nad idea swego szczęścia, jak pewny serca tej, dla której zdobywał, by razem z nią pić z tego kielicha. On czuł zadowolenie bezgraniczne i pełne, ona bezmierną wdzięczność.

A morze szumiało kołysane lekkim podmuchem nocy, migotliwe iskry lśniły po przezroczystej szybie wód lazuruowo mglistych, jak mętna żrenica, budzącej się po rozkosznych snach kobiety. A róże purpurowe ronily woń

wsiąkającą w żyły, podniecającą nerwy, jak haszysz.

Noc czaru, noc melodii i rytmu dwojga serc szczęśliwych, że danym im było żyć.

W pewnej chwili, gdy blaski srebrnoametystowe zalały całą galerię, ona podniosła się z krzesła i podając mu rękę, rzekła miękko:

- Pójdźmy w światło.

Weszli w księżycowe smugi i sami stali się od razu jak posągi, tak ich blaski rzeźbiły, malując pastelowymi farbami ich postacie. Twarze pobladły w perłowym tumanie; jego włosy zalśniły czarnym aksamitem na jej splotach błysnęły złote pasemka. Jego postać ciemna odrzynała się plastycznie od białości jej przytulonej do niego. Oczy ich zatoneły w morzu.

- Patrz, jak się fala iskrzy - szepnęła, wspierając głowę o jego ramię.

Morze wygląda niby olbrzymi zbiornik gwiazd, sezam gwiezdny, wytryskają zen Pojedyncze gwiazdzice i, przekłuwając błękitny strop - świecą ziemi.

- Prócz tych, które zatrzymując się w twoich oczach, świecą dla mnie, tylko dla mnie.

~- Powiedziałeś to ładnie - uśmiechnęła się. - Ty mój, ty panie! Lubię falenie ten twój mars na czole; oryginalnie ci się czoło fałduje i ten, ten rys Orvvi, taki dziki a chmurny nad szatańskimi oczami twymi. Czy czujesz, jak Pachną róże? Ale ty się nasycasz wonią moich włosów? Przestań! drażni mnie twój oddech.

~~ Daj mi usta, kochanie, kryształowe moje dziecko, daj mi usta, pragnę. Usunęła się lekko przed zaborczością jego ramion.

~- Jeszcze nie, pozwól, jeszcze chwilę. Ty wiesz, że skoro zapragniesz, 61

skoro zażadasz, to je weźmiesz, są twoje. Ale teraz słuchaj, jak bełkoce f morze ma dziś cudowne sny, promienieje szczęściem. Zaklęte królownyl jego dnie przebudziły się i kołyszą go do snu; tworzą się może nowe ne ? wyrastają nowe krzewy koralu. Toń wygląda dziś uroczyście. \*

- Patrz z dala płynie biały obłok, wygląda jak mewa, to żagiel; rybacka, dziób jej zda się roztrącać gwiazdy na swej drodze.

- Byle nie płynęła do nas, zmąci ciszę. Jak dobrze żyć!

- Nie przejęłaś się słodka moja, pesymizmem Hamleta, którego wertowali...? To dobrze, chcę byś mi taką była.

- Hamlet...? wiesz on jest czasem okrutny. A jednak myślę, że gdyk wcielił się w ciebie lub we mnie, porzuciłby swą wątpliwość. Być czy nie być? Pytanie to nie byłoby już dla niego kwestią. Pragnąłby tylko być i trwać. Wszak prawda?...

- I on, mówił: "Kochałem Ofelię! Czterdzieści tysięcy braci z całą swa miłością nie mogło memu wyrównać uczuciu". A pomimo to zadawał sobie pytanie. "To be or not to be?". A refleksje nad czaszką...? Hamlet, będąc obecnie we mnie, zastanawiałby się może, jak będzie wyglądała jego czaszka dziś umiłowana przez ciebie, moje ty słodkie kochanie, a kiedyś w przyszłości gdy ją grabarz wyrzuci z dołu, a znajdzie jaki filozof lub mistyk, czy zgadnie

że to czerep człowieka za życia istotnie szczęśliwego. Czerep pełen ziemi i mułu, czerep taki sam, jak prostaka, który życie spędził w oborze.

- Nie mów tak, mon maitre cheri, to okropne! Tego nawet Hamlet me myślałby, nie tylko przy Ofelii, ale... i przy mnie; w taką noc, wiedząc, że jest kochanym nade wszystko. To zbrodnia!

- A może moja czaszka będzie kiedyś służyła jakiemuś dekadentowi za cukiernicę, lub tytoniarzę. Świat się zmodernizował. Chyba ewolucja jego przyszła wytworzy kult dla ludzkich kości. Chi lo są?...

Zamknęła mu usta miękką swą pachnącą dłonią. Wtulił w nią pałające swe wargi i trwali tak chwilę, zatopieni w sobie oczami. Jego źrenice nabierały dziwnej grozy, czoło zsunęło się w fałdy, twarz bladła. Jej oczy zmętnia)) lekko jak źródłana woda pod wpływem upalnego tumanu. Chyliła się ku niemu bezwiednie prawie, on ją pociągał powoli, lecz stanowczo. Pchała ich ku sobie nieprzeparła siłą, której nikt i nic oprzeć się nie zdoła, gdy nadejdzie Czy nadejdzie jako błogosławieństwo losu, czy jako jego przekleństwo, błogosławieństwem staje się zawsze.

- Daj usta, daj mi je sama - szepnął głucho, pochylony tuż nad jej twarzą.

- Weź je, oto są - odszepnęła, drżąc.

Podawała mu zwilżony kwiat swych warg rozchylonych, pałających żywą krwią. On je porwał i wessał w swoje. Szał ich ogarnął. Zarzuciła mu na szyję ramiona i przylgnęła doń cała. Zamknął ją w swym męskim uścisku i, chłonąc jej usta, przegiął jej głowę na bok, położył na swej piersi. Jęknęła cicho, z rozkoszy. Nie uważał na to, zapamiętali się, ginęli w upojeniu. Rozwarły się przed nimi purpurowe kielichy szczęścia, oddawały im słodycz swą przedziw-

księżyc osrebrzał ich głowy, by miłość ich była jeszcze cudniejszą. A mo-oft- ^ "jjąło cicho, by melodią swą dośpiewywać gorętsze akordy w harmonii rzesz j^j j cisza była wielka, cisza rytualna. Ta noc cudowna, roziskrzona ich ^ bjała, jak nimfa, willa, róże, woń i blaski - wszystko było jakby stwo- lB°rZe'tvlko dla tych dwojga, by czar ich pocałunku uczynić potężniejszym. rZ°O pierwsza wyrwała usta spod jego mocy. Zadyszana, zakryła rękami ne rozkoszą oczy i szepnęła na wpół z zachwytem, na wpół z przerażenie \_\_ i XQ szaleństwo, co my robimy. Szaleństwo!

\_ Tylko szal jest naprawdę pięknym! Ukochana moja, miłość i szal cho- JM w parze, jedno bez drugiego silnym być nie może, a pocałunek to ich dziecię.

- Twój pocałunek jest szatański - parzy jak całe piekło.

\_ Czy wolałabyś, bym ci dał anielskie pocałowanie, takie, wiesz, biblijne, braterskie.

- Och, nie! Wolę twój piekielny, chociaż stworzył go na pewno szatan!

- Więc się trwożysz...?

- Nie, jeśli to dzieło szatana, niech mu będzie...

- Za to chwała - dokończył, tuląc ją do swej wzburzonej piersi.

- To dzieło naszego szatana, który nam je przepowiadał. Wszak i mnie

nazywałaś swym demonem.

- Bo objawiłeś mi się, jak Demon Tamarze w zamku Hudala. I ja wołałam w swej duszy trwożnej: "Ktoś ty, odpowiedz mi, ktoś ty!". A oto jesteś i jam twoja. Okazało się, żeś do Iermontowskiego Demona podobny. Zwalczyłeś i zwalczasz wszystko, jestem w twojej mocy, zdobyłeś mnie!

- "by na jedwabne rzęsy twe, zlewać rozkoszne, złote przyszłości sny"

- zacytował słowa Demona z poematu. - A teraz, słuchaj... tyś mój cudowny raj, ty moje niebo i moje piekło, diabelstwo ty moje! Moje marzenie ty, cierpienie moje ty, bez granic szczęścia, to ty, udręka moja ty, ty moja śmierć, ty moje życie, ty moje wszystko! Tyś mój biały kwiat i jasna pani. Taki jakiś czar wieje od twej całej osoby, że upijam się nim. Gdy nadejdzie nasz dzień, wtedy... słońce może zgasnąć i swój zmylić bieg. Bo ty musisz być dla mnie, musisz być moją. Słuchaj... musisz! Czy na to, Heljos moje, zgadza się...?

Upadła mu na piersi z wybuchem szczęścia.

, Duchem należę do ciebie dawno. Tamara umiała tylko umrzeć, ja zaś  
pw? cię kochała wiecznie i nawet w piekle chcę z tobą być. Porwałeś mnie  
1 uniosłeś. Wtargnąłeś śmiało w mury, w których żyłam. Nie zawahałeś się, nic  
? nie powstrzymało od wniknięcia w ich zawory.

Odpowiedział jej znowu słowami Demona:

~~ "Panuję tu - bo kocham".

~~~ Zaimponowałeś mi swą siłą ogromnie. Musiałam cię podziwiać.

Przygarnął ją do siebie.

~- Takiej, jak ty, dziecino, trzeba imponować, chcąc ją mieć.

62

63

Obraz III <

Jasny, okrągły buduar zalewały ogniste promienie słoneczne. Przez wiei gotyckie okna wpadały tu kaskady światła, kąpiąc w swych pyłach złoty śliczny narożny pokój, urządony z wytwornym gustem, w stylu renesansowym. Przeważał tu kolor biały i delikatny w tonie fraise. Wyglądał, jak m^o ogród, tak był bogato udekorowany kwiatami. Mnóstwo białych tuberoz gałęzie kwitnących migdałów, przepyszne paprocie w różnych odmianach i róże, istna kolekcja róż. Spoza okien, pootwieranych szeroko na pełnię morza a zasłoniętych koronkowymi, jak haftowana mgła, firankami, dochodził jedl nostajny rytm gwaru morza, bełkot fal rzeźwy jakiś prawdziwie porankowy Słychać było w tym szumie tworzenie się pianistych grzbietów, pęd ich i roibijanie się o skałę, na której stała willa. To samo w kółko, to samo, a zawsze śpiewne, zawsze nowe. Przy szklanych drzwiach, otwartych na balkon, przy stoliku zarzuconym dziennikami, w głębokim fotelu siedział on, z roztargnieniem trochę przeglądając gazetę. W pewnej chwili spojrzął na zegarek

i uśmiechnął się.

- Spóźnia się moja pani.

Wtem szmer koło drzwi, szelest, kobieta w białym powłóczystym negligu podbiegła do siedzącego. Zarzuciła mu ręce na szyję.

- Dzień dobry, dzień dobry! jaki śliczny ranek, jakie morze dziś rozkoszne. Czemu tak na mnie patrzysz? zasnęłam - prawda?

- Trochę; wyglądasz za to wybornie i świeżo.

- To dobrze, chcę ci się podobać. Każę podać śniadanie tu, tu tak ładnie.

- Jak chcesz. Czy nie otrzymam pocałunku?

- Ach ty!

Przyłgnęła twarzą do jego twarzy na krótką chwilę. Oderwała się z okrzykiem: - Dostyc! dostyc!

- Pragnąłbym tak, jak wczoraj na galerii.

- A, ba! Nie można! To spowoduje...

- Co spowoduje? no powiedz, zawsze jesteś szczerą.

- Spowoduje niepokojące sny.

- U mnie również. Piekielne sny!

-- A widzisz! No, do porządku. Będziemy teraz spożywać, co nam dadzą.

Zadzwoiła. Wchodzącemu lokajowi wydała polecenie.

Za chwilę stolik był nakryty wykwiłtnie. W pokoju rozeszła się aromatyczna woń wybornej kawy. Po odejściu służącego sama ponalewała filiżanki i osłodziła. Patrzył na nią radośnie.

- Jakże ja lubię, gdy mi tak usługujesz, gdy mi podajesz kawę ranną lub poobiednią. Ogromnie lubię, gdy się tak dla mnie krzątasz.

Uśmiechnęła się do niego i podając mu srebrny kosz z ciastem, rzekła figlarnie:

- Jak niewolnica przed panem - co?...

64

- Albo przeciwnie.

Tak nie bywa nigdy. Zresztą ja prędzej wyglądam na niewolnicę, niż ty "ewolnika, mój kapryśny panie. Jesteś zbyt wytworny, zbyt rasowy.

113 *L Oskarżasz siebie.

__ Nie, lecz niewolnice bywały różne. Takim, jak ty, panom służyć mogły tylko wybrane. Widzisz, teraz pochlebiam sobie; a służyły z rozkoszą ^ wdziękiem, gdy swego pana kochały. Takiego zaś niewolnika, jak ty, o ile h lbv w niewolę wzięty, zakuto by w ciężkie kajdany, bo by się go obawiano k samego szatana. Taki niewolnik byłby niebezpieczny. Jesteś zbyt potężny.

_- Mój drogi dzieciak mówi, jak prawdziwie zakochana kobieta.

- Mylisz się, ja się w tobie nie kocham.

- A to coś nowego! Zatem...?

- Ja cię kocham, rozumiesz, ukochałam cię. Czy ty tego nie różnicujesz?

Zamienili z sobą spojrzenia, wypowiadając nimi wszystko, co serce sercu wypowiedzieć zdolne. On ucałował ze złością jej rękę.

- Pamiętaj mój wiersz dla ciebie pisany:

Chciałbym przed tobą otworzyć zaświaty,
Do duszy wesele i szczęście wlać.
Zasiać ci drogę cudnymi kwiaty
Sam niewolnikiem się twoim stać.
Stworzyć dla ciebie raj tu, na ziemi,
Czarownych krain wskazując dal,
Otoczyć ciebie myślami swymi
Usunąć smutek, rozterkę, żal...
Chciałbym być z tobą w krainie czaru,
I całą unieść w piękniejszy świat,
Chciałbym wlać w piersi twe ogrom żaru
I to na wieki, na setki lat.

Uśmiechnęła się rzewnie.

- Przypomina mi to pierwsze początki naszego sojuszu. Bałam się wtedy swej miłości dla ciebie, lękałam się ją okazywać.

- Powiedz szczerze: nie ufałam ci.

- A tak, nie mogłam uwierzyć w tyle szczęścia, w takie bogactwo, że ono m^oje, że to dar losu dla mnie, i że go mogę przyjąć śmiało, z pełnią szczęścia i ufności.

- Ja mogłem się obawiać tego samego, a jednak po ciebie sięgnąłem i zdobyłem.

- Tyś mężczyzna, inna psychologia, inne role. Zresztą i ty nie od razu byłeś pewny mych uczuć i ty wątpiłeś w ich siłę i stałość. Wszakże pisałeś do swego przyjaciela-sarkazmu? Nazywałeś się szaloną głową, myśląc, że jesteś dla mnie rozrywką chwilową. To był zjadliwy wiersz. Oj, ty...!

65

- Tak, lecz poznawszy twą żywiołowość, głębinę twej duszy, wiedziałem, że i w uczuciach będziesz taką samą. Masz duży temperament, lecz twoja C?ciciele szatana

strona duchowa okazała się jeszcze silniejsza. To mnie do ciebie bardziej kuwa, niż gdybyś...

Jej twarz zapłonęła.

- Dać ci jeszcze kawy...?

- Nie, już dziękuję, spójrz na mnie, kryształe mój - rzekł figlarnie.

- Czuję twój uśmiech i nie chcę, boję się go.

- Lubię tę twoją czystość i nieskalaność duchową, czasem się dziwię, żeś ją tak uchowała. Kocham cię za to stokroć więcej. Tyś jest ta, której szukałem dotąd na próżno. Tyś moja oczekiwana i przeczuta, tyś realizacja przewidzianego. Heljos moje, wpływ twego światła i ciepła zmienił zimę serca mego, na wiosnę.

- A nie zawiodłam cię w niczym...?

- Nie i nie zawiedziesz nigdy, bo cię już znam i czczę ciebie nade wszystko. Jesteś u mnie na takim ołtarzu, z którego nawet dla siebie tymczasem nie mógłbym ciebie ściągnąć. Chyba aż nadto wyraźne dają tego dowody.

- Inaczej nie miałbyś mej ufności i mnie przede wszystkim.
- To też czasem mam wrażenie, żeśmy nie ludzie, lecz bogowie greccy, chociaż oni grzeszyli nie gorzej od ludzi. Jesteśmy zatem najnowszym wytworem kultury, w znaczeniu duchowym. Duchy nasze wyzwoliły się z despotyzmu materii i królują. Jest to jednak siła kolosalna. Człowiek jej w sobie nie przewiduje i nie zgłębia.
- Zależy, jaki człowiek i, o ile już zgłębiłby tę siłę, musiałby ją najpierw odczuć w sobie i poznać. Nie każdy zaś jest do tego zdolny.
- Powiedz raczej, że nie każdy potrafi prawdziwie kochać duchowo... nie każdy ma nasze warunki.
- Właśnie nasze warunki sprowadziłyby grzech, gdyby nie duchowa miłość i siła. Cóż jest bardziej sprzyjającego do narodzin grzechu, jeśli nie nasze otoczenie i nasz sposób życia obecny. Mamy swobodę bezwzględną, wykwiłt dokoła nas, czar płynący z bogactwa przyrody i miłość naszą ogromną. Ta upalna atmosfera, spaliłaby nie jednego. Nas przeciwnie - orzeźwia.
- Bo wyzyskaliśmy ją tylko dla naszego szczęścia, jest naszą chlubą. Duchy nasze odczuły się i zrozumiały. Niezależnie od tego typy nasze są dla siebie stworzone. Myśmy się musieli spotkać i razem iść ręką w rękę. Nie masz w sobie nic z tego, co się ogólnie u kobiet spotyka, a czego nienawidzę; nie masz fałszu i komedii, nie hołdujesz pozie, jesteś szczerą. W stosunkach z ludźmi czasem zbyt szczerą*ale wolę to, niż wszelkie maniery. Potrafiłaś mnie porwać bez starania się o to, bo byłaś zawsze tylko sobą i umiesz trzymać, gdyż ta twoja istotność i odrębność odpowiada mi w zupełności. Dopełniamy się oboje jako duchy i jako typy. Daj mi dłoń swoją. Wyciągnął do niej ramiona. Tyle uczucia i natchnienia niemal malowało się na jego twarzy, że kobieta uniesiona szczęściem, z okrzykiem rozkoszy upadła do jego nóg, siedząc na dywanie, złożyła głowę na jego kolanach i zmrużyła oczy z nadmiaru upojenia. On pochylony nad nią gładził jej włosy rasową swą ręką, szepcząc słodkie, pieściwe słowa.

Z majolikowej płaskiej wazy, stojącej obok na konsoli lustra wyszarpnął Ibrzymi pęk krwawych róż i złożył u jej stóp.

__ Teraz tylko wonne róże składam ci w hołdzie. Ale to jeszcze nie to, co bym pragnął, to nie cały świat.

-- Cały świat jest w nas samych, zawiera się w naszym szczęściu.

Patrzył na nią z bezmierną tkliwością.

_ Czego się uśmiechasz? - spytał.

- Myślę w tej chwili, że jednak miłość to wszechpotęga, to uczucie święte, lecz tak pojmowane jak przez nas, ze strony najgłębszej - duchowej. Ogólnie miłość bywa niedoceniana lub parodiowana, najczęściej niezgłębiona. Wszak prawda...?

- Dlatego, że przeważnie dają jej jedno oświetlenie, a wówczas majestat miłości istotnie zmniejsza się. Są ludzie, którzy nie rozumieją miłości inaczej jak w purpurowej łunie; wtedy właśnie najgłębsza istotność tego uczucia za-

myka się dla nieświadomych. Jaskrawy blask zalewa ich oczy, nie są zdolni sięgnąć do dna, do samego rdzenia tej potęgi, gdzie tli błękitny płomień ideału. Kto go ujrzy, kto się przy nim ogrzeje, ten się uduchowi i przestaje hołdować bałwochwalczo jaskrawej łunie miłości zmysłowej.

- A jednak i nas, cośmy ten błękitny płomień odnaleźli dla siebie, by płonął nam jak znicz, i nas otacza niekiedy purpurowa łuna szału, jak wczoraj na przykład - szepnęła, kładąc jego dłoń na swych oczach.

- To nie łuna zmysłowej pożogi, to purpurowy kwiat, wytryskający z powodzi białych kwiatów, które kwitną w naszych sercach i duchach. Szał spojenia naszych ust, rozkosz, jaką nam pocałunek daje, to nie jest jeszcze ta jaskrawa łuna oślepiająca, o jakiej mówiłem. Bo jednak nas nie zdołała wciągnąć w orbitę swego blasku, my jej podnieć nie potrzebujemy, by miłować się bezgranicznie. Wystarczy nam nasz płomień ideału, ukochaliśmy go i nie wyklucza on zrywania przez nas purpurowych kwiatów pocałunku. Pocałunki nasze i pieśczęty nie kalają, nie brudzą miłości naszej, lecz ją potęgują, zachowując jej bezwzględność czystości. Pamiętaj jednak, że gdyby warunki nasze obecne zmieniły się zasadniczo jako takie, a łuna purpurowa zarzuciłaby na nas swoją płachtę, bo wtedy wszakże inaczej już by być nie mogło, to zawsze Jednak tkwilibyśmy wiernie przy płomieniu duchowym i ten byłby źródłem naszych uczuć, bo pijąc z niego teraz zasmakowaliśmy w nim i źródło to stało S1? już dla nas konieczną ostoją. Nie rozumielibyśmy bez niego życia, miłości, skąd ona czerpie wszystko swe piękno i całe bogactwo czaru.

- Jak ja cię kocham za to, że jesteś właśnie takim - rzekła szeptem Przesuwając jego dłoń po swej twarzy. Tylu mężczyzn spotykałam w życiu, tylu zabiegało o mnie; o nie sądz że się chwale, sam zresztą wiesz o tym, i nigdy ^den nie porwał mnie tak, jak ty, ukochany, nigdy nie natrafiłam na swój, kończony w szczegółach typ. Zawsze albo jakiś źle robiony Apollo, albo nieźle robiony Ozyrys, lub też szczerzy sobie Apis au naturel bez pretensji do bóstwa lecz z mniej lub więcej dużymi pretensjami co do swej osoby, zasadza J^cej się na najgrubszym materializmie. Pełna kieszeń, pełny żołądek - oto Jedyny cel, uciechy zmysłowe - jedyny ideał. Spotykałam pseudo-idealistów,

66

67

w których po głębszym zbadaniu prócz pozy nie było nic, spotykałam głowy do pozłoty, ślamazarów lub też nędznych udawaczy demonów, tak dalekich od rzeczywistego demonizmu, że nawet naśladownictwo im się nie udawało. Ach, Boże, ileż typów już obserwowałam ludzkich i okrzyczanych za nadludzkich i, jak ja nazywam, podludzkich. W każdym wynajdowałam jakąś śmieszność, każdy posiadał jakąś piętę Achillesa, dyskredytującą go, każdemu potrafiłam odchylić jego maskę, w jaką się sztafirował do ludzi, z dobrą miną i pewnością siebie i swych szans. Żaden mnie nigdy nie wziął tak, jak ty,

wszystkiem. To szczególne, prawda?

- Nie, to bardzo zwykłe, promieniu mój świetlny - to tylko dowodzi, żeś mnie prawdziwie ukochała. Posiadam i ja różne wady, różne, jak mówisz, pięty Achilleś, tylko ponieważ mnie kochasz, przeto wad tych nie widzisz albo kochasz je jako takie, co już jest szczytem miłosnego zaślepienia. Co zresztą i ja w stosunku do ciebie odczuwam.

- Nie wiem, co o tym sądzić, wiem tylko, że w tobie skoncentrowało się to wszystko, co w ideałach mych razem ze mną na świat przyszło. To jest duch, taki jak u ciebie, właśnie twój, twoja inteligencja, twoja wysoka kultura umysłowa, duchowa, etyczna i estetyczna, twoja niepospolitość, zupełny brak szablonu, twój sposób bycia z ludźmi i wśród ludzi i twój typ jako typ fizyczny jest moim wymarzoną typem męskim. Zdaje mi się, że gdybym cię nawet nie kochała, podziwiałabym cię zawsze. Po prostu lubię ten genre mężczyzny. Lubię twój układ, twoją sztywność i sarkazm; względem siebie bym tego może nie zniosła, ale twoja miękkość dla mnie, na ogólnym tle chłodu i sztywności, uplastycznia się tym bardziej i tym bardziej jedna. Czasem mi się zdaje, że nie tylko jestem duszą twojej duszy, siłą twojej siły, jak mnie nazywasz, lecz jestem jeszcze dzieckiem twoim ukochanym i twoją kochającą uczennicą. I dlatego widzisz, siedzę u twych nóg, ja, znana ze swej hardości, dumy kobiecej i samodzielności.

- Sufrażystką nigdy nie byłaś, posiadałaś tylko bunt w duszy, zupełnie słuszny bunt na okowy, jakim podlegają kobiety. Nie zniosłaś więzów, jakim podlegają kobiety. Nie znosiłaś więzów, łamiących w kobiecie ducha i jej indywidualności. Słowem, byłaś duchem wolnym i takim pozostaniesz zawsze. Ja ciebie nie skrupuję, bo nazbyt to w tobie cenię i kocham, i wiem, że nie byłabyś szczęśliwą nawet w moich okowach, moja ty wytworna niewolnico. Siedzisz u moich kolan, ale nie z pokory, więc duma twoja nie jest tu obrażona, to raczej kaprys mojej pani, która wie, że mnie ma u swych stóp. Ponieważ mnie kochasz barzo i gruntownie, przeto czujesz się moją poddanką, zupełnie szczerą, wiem jednak, co o tym sądzić, jakkolwiek mnie to wzrusza. Władzy swej nad tobą nie nadużyję, najpierw dlatego, że ciebie czczę, po drugie, że mógłbym cię wtenczas stracić. Bo powtarzam, chcesz być moją niewolnicą z miłości, ale wiesz o tym, jak wysoko stoisz w moim pojęciu, jaki tam masz tron, jak królujesz. Duchu mój, perło moja śnieżnej białości, wszak ty mną władasz i oddając mi swoją wolę, podbijasz całkowicie moją. Twój tron zawsze wysoko wyniesiony będzie, aureolą świętości otoczę twoją skroń i ciebie całą i nietykalną pozostaniesz w tej swojej szczerości i prostocie.

Pochylił się nad jej czołem i ucałował je po męsku, krótko z uczuciem. yf jej oczach zalśniły łzy, nagle chwyciła jego dłoń i przyłgnęła do niej ustami.

- Moja ty, słodka!

Porwał ją w ramiona i posadził ją sobie na kolanach.

Przytuliła się do jego piersi wzruszona do głębi duszy.

- I tym me obrażam mej dumy, że całuję cię w rękę, to tylko jedna potrzeba więcej dla wyrażenia moich uczuć. W akordzie naszej miłości i taki

ton nie razi. Ale kobiety emancypancki byłyby zgorszone, sarkająby na mnie z oburzeniem niesłychanym.

- Ach, krzykaczki emancypancki! Ty jesteś emancypancką, tylko w najszlachetniejszym gatunku. Wszakże miłość nie jest wstydem ani grzechem kobiety, zależy tylko, jak jest pojmowana przez nią i na jakim się gruncie opiera. Twoja miłość nie kała twej godności kobiecej, przeciwnie, przynosi jej zaszczyt. Kobiecość zyskuje na uroku, gdy kocha, byle tylko jej człowieczość utrzymała się na wyzynie, jak u ciebie. Więc to jest dopiero dobrze zrozumiana emancypancka duchowa. Ale takie tam wrzaski na mężczyzn, nie przerażają ich zbyt, wierz mi, ukochana. Ręczę ci za to, że żadna z tych rozwierzonych krzykaczek-emancypancek, będąc na twoim miejscu obecnie, nie byłaby tobą. Niech ci to wystarczy. Przypomina mi się zdanie Prusa, że taka pani emancypancką dotąd wrzeszczy na mężczyzn i urąga na nich, najniemożliwiej w świecie, aż któryś z nich zlituje się nad nią, wtedy teorie swe składa do rupieci, a sama z wielkiej miłosnej pokory ściąga lubemu buty z nóg. Ona zaśmiała się wesoło.

- Nie wrzeszczałam, jak mówisz, nigdy na mężczyzn, ale takich dowodów miłości nie dawałabym nawet tobie. Wiesz, ja także znałam kobiety, które twierdziły, że nie cierpią mężczyzn, lecz na zapytanie dlaczego, nie umiały wytłumaczyć swej nienawiści, gdy zaś były w towarzystwie męskim czuły się jak najlepiej, strzelały oczami aż miło, uśmiechały się wdzięcznie i najumiejtniej flirtowały.

- A widzisz! To taka logika wyłączna!

- Widywałam też kobiety feministki, na zebraniach, udające męskość w swych czynach, bardzo samodzielne, bardzo krytykujące mężczyzn, bardzo wyzwolone, sztywne i szorstkie nawet, które na widok wkraczającego niespodzianie w ich niewieście szeregi mężczyzny, przyjmowały go wcale nie jak mtruza, czego by się można było spodziewać; przeciwnie, witały go z zalotnymi uśmiechami i bardzo wdzięcznie. Pamiętam, jak mnie to rozśmieszyło i zachwiało w wierze co do szczerości ich teorii, może zatem i teraz te, które by się najwięcej mną gorszyły, najgoręcej pragnęłyby być w mojej roli.

- Tylko inaczej by ją odgrywały.

- Wracasz do swego i może się mylisz?

-- Pozwól jedyna, że mogę mieć co do tego więcej doświadczenia. Prawdziwa kobiecość, szczerą w swych objawach, bywa mniej dostępna, a na pewno etyczniejsza, niż strojące się w piórka krzykliwej emancypancki zwykłe zmysłowe babska lub pannice. Wszystko, co się stara ukrywać w jakimkolwiek cieniu - boi się i wstydzi światła. Nie przeczę, że są i szczerze pomiędzy takimi

On

ziemskiego realizmu i podnieć pozioU¹¹. \ ' yj, . '

^sobie taką moc duchową, że to ją ^mało c', l

ych żądz. Czują w sobie siłę, bezwzgl?dn^ PeW
^ch wyżynach duchowych utrzyma stałej^/ ^dT ^,tolła tvle
flaCzyny, bo są one dla mej szczytem ideału * (tm) / ± j { A ^yle
"X/asu na próżno, w pogoni za ideałem pogUDlla uu /. _\, wie-
czszeń najświętszych, nie zgubiła jednak swcB° ducn
Niefortunne wzloty ad astra, by, doznając coraz a
-Rwanie szukać innych dróg i znowu wzl^ywac ^/ DozW^
^ ; w duszy jej wrzał bunt, niepokój , lęk^(tm)Jja/o zaufaVWV a strasz
pesymizmu wpelzał do jej duszy i truł 1" w^U ^ ^ asz-
napadów zwątpienia, duszę jej zalew^a 8°2 ' lienusxVvikif>

się

te

010

l nią roztoczyła. Taka apatia n

,e, do życia; chociaż w ogóle życie lubiła,

, nefięć. Dawniej lubiła ludzi, potem zaczęła

się § P° nich noweg° niL spodziewała, niczynr JeJ nie'

)a jednakowy, zawsze ten sam szablon, tyl^10 ?Z3Sf v^ 4vviatał)

tacach, czasem w skromnych przydzwiewkach^' Ja_ ^ aArnL\, materi^

czw.ej. Wszędzie pospolity, lecz uznający sit

dzi cię gruby i ordynarny, ale pewny swego _ .

i, uważający się za na^szą, y ^ ^^

ra2

ina-

spo

l to a)

" \ny.\m

gi°S11 "Wwyz\olo_

?g gQ

do

.ńeliem.

71

krzykaczkami, lecz takie najczęściej nie mają już nic do stracenia i, same to rozumiejąc, biorą sobie za dewizę dantejskie lasciate ogni speranza!

- Mój pan jest złośliwy! Dostyc już krytyki i pieszczot, trzeba iść do pracy. Nie! nie! już nie dam ust i wziąć ich nie pozwolę. No nie, nie chcę! nie bądź taki despotyczny. Już mnie nie ma!

Zerwała się, lecz on ją zatrzymał.

- A oto jesteś i...

Po krótkiej, lecz szalonej chwili pocałunku, uwolniła się z jego objęć, przeciągając dłoń po czole, potrząsnęła głową.

- Nie można, nie można... to osłabia. Gdzież siła?!...

- Umiłowanie moje, to osłabia chwilowo tylko, potem wzmacnia ducha i w tym jest jego siła!

- Ale to purpurowy kwiat! Czy nie zaćmi bieli... tych drugich...?
- Nie, tylko je uświetni!
- Jednak to wytwór szatański.
- Jedyny u nas co prawda. Jesteśmy ludźmi, promieniu mój, pozwólmy sobie choć na tyle z ludzkich ułomności, co zresztą jest pięknem, musisz przyznać.
- Uśmiechnęli się do siebie serdecznie. Podała mu obie dłonie.
- Nie wskazuj mi piękna tam, gdzie je sama widzę. A teraz do widzenia! Idę malować morze. Ty zaś do swoich ksiąg, zeszytów, artykułów. Czeka na ciebie nieśmiertelny Byron i ironicznie słucha, co o nim nowego powiesz.
- Ach tyle już nagadali, że mu chyba dam spokój. Cóż tam ja profan i Byron!
- Cóż tam ja - profanka, dyletantka... i morze? Ty masz o Byronie tylko pisać, ja zaś ośmielam się morze odtwarzać! No, nie bądźmy zbyt skromni i do roboty!
- A nasz dwugłos literacki, kiedy...?
- Jeszcze potem, trzeba nabrać tchu.
- Więc czekajmy, bo to musi być potężne.

j
 Obraz IV

70

1

Płynęli na smukłej łodzi, białej, jak mewa, której wiosła, niby skrzydła ptaka, pruły ciemny błękit wzniesionych nieco fal. On wiosłował, ona siedziała przy sterze. Oboje byli zamyśleni, poważni. Niezmierzona okiem przestrzeń i bezdeń wód, ich rytmiczny poszum, melodyjna gra fal ukołysała wyobraźnię tych dwojga ludzi tak, że dusze ich nabrały światłości takiej przejasnej i przeczystej, jaką nasycone było morze, zda się do dna. Kobieta czuła ogrom szczęścia i radości życia, ogrom tak żywiołowo potężny, że zdawał się rozsadzać piersi, jakby serce jej rosło i olbrzymiało, nabierając gorącą krwią uczucia, że chwilami brakło jej tchu, a w skroni waliły pulsyzalona podniecia duchowej ekstazy. Czuła, że miłość jej wkracza w dziedzinę zjawisk niebywających, gdyż jest bardzo daleką od swej siostrzycy ziemskiej, potrzebującej li

odsflzywający się trwożnie, jak krzyk ofiary[^] w
 zbunudzić panującego tyрана, szyderstwa i gn[^]ewu'
 3[^]Mvać optymistów.

Jeśli spotykała na swej drodze poszukiv?vacza
 neS:go z tej nieszczęsnej mani utopistycznej, ° czyli
^a: i mocnego, wedle własnego widzimisię i t[^]m
 5t[^]a; albo, gdy był właśnie na fazie swych pc[^]szukf[^]n ł
 Rzędzie popychali, jeśli był łagodny lub &*L\$/'''& d.,fe%h
 i)ia-

jes

^J" *1 szorstki. I ona w stosunkach swoich z iu"LU1 * L,,

i \vi\, • -r> i , • i - . •.,• • -"=• Ha7v wy aerstw. i"%o
 l W|1*razen. Przekonała się wkrótce, że jeśli si*^ . a^ L'fa • ^"
 10 * nie należy się z tym zdradzać, chcąc ""^ -iknąc szy^J
 bhltka , %
 tenalnych wyżyn, można iść śmiało,
 Sami "torują drogę, kłaniając się w
 c pesymizm dosięgną! jej ducha, me
 "ia n
 zeme do szczęścia, jakiego pragnęła, j że p/ jego
 jej me umarły, żyły zagłuszone
 ^ ., znalazła je spętało się marzenie i pomO' pod
 ło Je nak 6

piwnicznej atmosfery, jaka ją owiewała. Kołtuneria jej otoczenia przygw".
 dzała do ziemi jej skrzydła, nie pozwalając na wzloty i skutkiem tej ciałoj "
 bezowocnej walki, nastąpił letarg tego wszystkiego, co było nią w niej. TeJ'
 czuła, że wszystko to żyje i jest nawet bardzo silne. Bo oto sądzonym jej by)Z
 spotkać człowieka ducha i takiego ukochać całą siłą duszy swej stęsknionej
 I on ją tak samo ukochał najpierw, jako człowieka i ducha, potem jako kobie
 tę. Więc miłość ich nie była pospolitą, bo nie miała w sobie nizinno-ziemskich
 podstaw, więc była górną, była na wyżynach, lecz dla nich dostępną. Wy.
 tworzyła ją zdolność ich do uczucia tej miary i rodzaju, utrwaliły ją zaś ich
 warunki obecne, nad którymi miłość zmysłowa nie zastanawiałaaby się ani
 chwili, przechodząc nad nimi do swoich praw zwierzęco-ludzkich. Oni prze-
 ciwnie, nie pomyśleli nawet o przekroczeniu swoich praw etycznych, jakie
 w zastosowaniu do ich warunków niezłomne były i nakazywały im obopólny
 szacunek. Pomimo nawiedzających ich często ludzkich pragnień i pożądań,
 etyki swej nie naruszyli, nie próbowali zwalczać siły, która ich na wyżynach
 uczucia trzymała. Czuli się dumnymi z siły swej, dumnymi, jako zwycięzcy
 samych siebie, co jest największym ponoć zwycięstwem. Ona czuła się nie
 tylko dumną z niego i z siebie, lecz szczęśliwą bezmiernie, że właśnie danym jej
 jest poznać taką miłość duchową i uwierzyć w nią. Błogosławiła poniekąd te
 warunki, że stały się probierzem mocy i potęgi ich miłości. Sama nie hoł-
 dowwała nigdy zmysłom, lecz widząc dokoła siebie przeważnie takie tła miłos-
 ne, słysząc dokoła siebie bluzganie zmysłów i tylko zmysłów w różnych przeja-
 wach, zaczynała wątpić w istotność miłości duchowej w dzisiejszych czasach.
 Więc i to nie utopia i ona nie była tylko utopijną entuzjastką? O jakież bogact-
 wo zdobytego szczęścia czuła w piersi!
 Twarz jej rozpromieniła się pod wpływem tych uczuć wzniosłych i tych
 myśli, jakiś niezwykły blask owiał jej rysy, była jak w aureoli cudu, co się
 w niej tworzył i trwał. I nagle wzniosłszy na wiosłującego mężczyznę oczy pełne
 żaru, spotkała jego wzrok głęboki i zaczęła mówić, jakby w upojeniu sennym:
 - Tyś we mnie przebudził natchnienie, tyś rozdmuchał tlejący na dnie
 duszy płomyk ideału, on już gasł a płonąć pragnął. Tyś mnie ocknął z letargu
 duchowego silnym, żywiołowym szarpnięciem serca, więc za to, żeś mi się

objawił na mej drodze, bądź błogosławiony, duchu mój wybawicielski. Zada-
wałam sobie przedtem pytanie, jak zwykle wszystko analizując, za co cię ko-
cham, dlaczego, po co? Już te pytania dla mnie teraz nie istnieją. Przeanalizo-
wałam je, przedebatowałam i, jak mędrzec przy końcu swego życia dochodzi
do wniosku, że cała jego filozofia i nauka nie zdołała odwrócić odeń godziny
zgonu, tak ja widzę jasno, że wszelkie moje refleksje: po co, dlaczego, są tylko
karłami wobec olbrzyma, są myśłatkami dziecka wobec potężnej myśli geniu-
sza. Geniuszem nie jest miłość w ogóle, lecz tylko taka miłość, jak ta nasza
miłość duchowa. Kto ją zdobył, ten jest magnatem, ten jest miliarderm du-
chowym. Więc tak mało ufając w szczęście na ziemi, czyż mogłam kiedykol-
wiek ludzi się, że ja je zdobędę i to w tej mierze, w tej potędze. O, ukochany
mój, nie dziw się, że niewolnicą się twoją nazywam, że tak często siedzę
u twoich nóg, że dłoń twoją tulę do swych ust. Bo ciebie Kocham, jak kochać
72

. sokół górne szczyty, do których z nizin powraca, jak anioł kocha prze-
1110 tość swych piór, jak szatan może nienawidzić. Boś ty mi powtórnie żyć
°Z^ał boś ty dla mnie stworzył nowe życie i takie, w którego istnienie wąt-
t ffl Więc za tyle dobra, za tyle bogactw, czyż ja ci zdolną jestem wypłacić
P1 co jest we mnie dla ciebie? Czyż ja nie pozostanę zawsze dłużną w swej
".Jeczności? czy cały ten ogrom, który noszę w sercu, nie za mały, jako
wnagrodzenie tych potęg, jakie od ciebie otrzymałam...? Czy serce moje i du-
ża oddana ci na wieki i bezwzględnie, bez zastrzeżeń, wystarczą ci, jako
odwzajemnienie twych dobrodziejstw, panie mój ukochany...
Łzy przerwały jej słowa i spłynęły potokiem po rozpalonej entuzjazmem
twarzy. Głowa jej płonąca pochylila się kornie do jego kolan.
On złożył wiosła w gryfach, ujął głowę jej w dłonie swoje, drżące ze wzru-
szenia i przyłgnąwszy ustami do jej skroni, szepnął z głębi miłującego serca:
- Tyś wskazaną mi była przy tworzeniu mej duszy, jako przeznaczenie
kiedyś do zrealizowania i odtąd szedłem przez życie, szukając ciebie wszędzie,
aż wreszcie znalazłem, ukochałem ciebie siłą i mocą mego uczucia. Przykułaś
mnie do siebie i drogie i słodkie są mi te okowy. Promieniu mój jasny, powsze-
dni mój chlebie, ja jestem dla ciebie, ja żyję przez ciebie.
Wszechmoc szczęścia i egzaltacji duchowej opanowała ich tak silnie, że
gdyby teraz morze ich pochłonęło, czuliby się dumnymi, że idą razem w jego
otchłanie i razem giną.
Fale unosiły łódź, nie zatapiając jej, kołysząc nią tylko coraz silniej, gdyż
morze wznosiło się i ciemniało. Płynęli znowu w milczeniu, spoglądali jeno na
siebie z wyrazem niewysłowionego spokoju, będącego wynikiem promienności
dusz.
A morze mieniło się całą gamą barw i tonów. Lekkie ciemne chmurki
szybowały lotem ptaka, gnane wiatrem, który fałdował przestrzeń wód w co-
raz wyższe bałwany. Z poza chmur wyzierało jaskrawo słońce, jakies jakby
podniecone, rozdrażnione igraszką wichru, paliło czerwienią, rzucało na fale

strugi krwi i znowu gasło pod ciałem chmury, a na morze padał sino szary ton. Groźne było wtedy, mroczne jak sumienie grzesznika po krwawej zbrodni. I znowu chmura ustąpiła, połała się na fale krew, spłynął ogień.

- Pożoga na morzu - szepnęła kobieta, drżąc ze wzruszenia przebytej chwili i grozy w naturze.

- Fale płoną! Już dojeżdżamy, bałwany są zbyt silne. Trzymaj się dzieci-10 mocno, spadamy w przepaść... Cóż za uczucie tytaniczne! O! Znowu na szczyt fal! nie blednij, jedyna, jeszcze chwila.

Bałwany cisnęły prawie ich łódź na brzeg. Wyniósł ją w ramionach, postawił drżącą.

Na plaży jacyś ludzie, tłum. Ktoś rzekł głośno.

- To tych dwoje z białej willi gotyckiej. Zdają się nie widzieć świata poza sobą.

Jakiś śmiech kobiecy cyniczny, zły.

- Za to świat ich widzi i ocenia, jak należy.

Znowu pierwszy głos:

74

- Mieszkają, jak aniołowie na tej cudnej skale.

- A są czcicielami szatana. Bezwstydni! - zaśmiała się kobieta z t} UDI
Słowa te padły zimnym, twardym gradem na "tych dwoje z białej \vin^"
Ona uczuła bolesne ściśnięcie serca za profanację ich uczucia, on za sn
warzenie jej przezystej bieli. Wziął ją pod ramię, przygarnął lekko i p0s,"
pod górę do siebie. Poszli cisi, poważni, nie patrząc na gawiedź żadną ter '
nie słuchając jej bluźnierstw. Szli pod górę na swoją wyżynę, której gawiedz*
nie znała i nie rozumiała, przyzwyczajona do pospolitego piasku plaży. Mje
mówili do siebie nic, tylko serca ich były wzajemnym zrozumieniem się; ona
oddawała mu swą czystą duszę, on ją koił potęgą swojej. Byli godni siebie
Gdy zniknęli z oczu tłumy, gdy owionęła ich woń róż, tych róż kwitnących
w ich Edenie, on przykląkł przed nią i objął jej kolana. Dusza jego mówiła zda
się przez drżące uczuciem usta.

- Kwiecie mój biały, perło moja, czczę cię, jak moje bóstwo, masz mnie
u swych stóp, mnie i miłość moją. Promieniu świetlisty mego życia.

Ona złożyła ręce na jego głowie, parę cichych łez spłynęło na męskie czoło,
pochylone do jej kolan.

- Powstań, jedyny. Ty wiesz, jam twoja do zgonu. Świat, ludzie to jeno
tło, mój dogmat, to ty.

Stali przytuleni do siebie z promiennymi twarzami, patrząc ze swych wy-
żyn na rozbijałe morze i szumiące życiem ludzkim bulwary.

Stanęli wysoko, na skale, przy żelaznej balustradzie, u stóp mieli błękitną
roztocz fal, nad sobą przejasną, nalaną szafirem kopułę - niebo. Zapatrzyli
się w ten czar przyrody z zachwytem, w piersiach ich uczucie wzrastało do
potęgi, unosila ich wszechmoc najszczytniejszej miłości. Ona drżącą z wraże-
nia ręką zatoczyła koło, ukazując otchłań lazurów i powódź różaną poza nimi,
na tarasie willi.

- Patrz, jaka cudna ta nasza wyżyna!

Twarz kobiety rozjaśniła się, z oczu trysnął ogień zapału i ekstatycznej podnieci. Nagle żywiołowym ruchem zarzuciła ręce na szyję mężczyzny i przyłgnęła do jego piersi z okrzykiem szału.

- Jestem tak bardzo, tak bezmiernie szczęśliwa!

Porwał ją i przygarnął do siebie. Długą chwilę trwali w upojeniu bezpamiętnym, po czym on, patrząc na jej zmrużone powieki, na jej twarz jasną, pełną szczęścia, przytuloną do siebie, na jej drżące krwawe usta, zaczął szeptem gorącym mówić wiersz do niej:

t

Kiedy ciebie widzę wesołą, promienną
Poznaje, żeś jest moją i niezmienną.
I tak mi wówczas jasno i wesoło.
Że wszystkim burzom śmiało stawiam czoło.
Idę w zawody z wichry, z huragany,
Bo czuję, że jest ze mną duch mój ubóstwiany,
Co w mrokach życia i w życia niedoli
Krzepić mnie będzie, zginąć nie pozwoli.

Słodkie ty moje, moje kryształowe
Daj, niechaj w dłonie ujmę twoją głowę,
Oddaj mi duszę, daj mi usta swe,
Niechaj je wezmę, niech spokój w nie tchnę.
By po ust twoich czerwonym koralu
Nie przebiegi nigdy najmniejszy cień żalu,
Za tym co było na jawie, czy w snach,
Za tym, co było i nie zginie w mgłach!

- Mów jeszcze, mów jedyny - zaszemrała jej cicha prośba.

Więc położył rozpalone swe wargi na jej ustach.

Bo ty dla mnie jesteś niebem,
Bo ty dla mnie jesteś rajem
Z tobą jesień najpóźniejsza
Wonijącym kwitnie majem.
Więc tą życia trudną drogą
Chciałbym iść przy boku twoim,
Z tobą dzielić się weselem
I najkrwawszym swoim znojem
Oplótłbym cię róż wieńcami,
Nowe światy ci otworzył
I pod stopy twe kochane,
Wrzące serce swe położył.
I tak piłbym zachwycony
Radość z ducha twej krynicy,
Ja - niewolnik najkorniejszy
Swojej własnej niewolnicy.

Obraz V

Ogarnęło ich tchnienie sztuki, wywołując w obojgu powagę uroczystą. Chodzili w skupieniu po salach galerii Borghese w Rzymie, w których wieki nagromadziły owoce ludzkiego geniuszu pracy, twórczych natchnień i objawów cudownych. Myśli wielkie, fantastyczne wyobraźnie, wizje mistycyzmu Pełne, zakłete w obrazy, przetrwały tu stulecia, zawsze te same budząc wrażenia, uczucia i zawsze ten sam rytualny niemal nastrój. Sale ich pochłonęły, obrazy przykuły wzrok żadny piękna, ta świątynia sztuki wzięła ich dusze we władanie. Chodzili jak zaczarowani, oboje uniesieni jakby w inny świat. Ona Przyjmowała wrażenie bardziej uczuciowo, on więcej rzeczowo. Rozpatrując Płótna i omawiając ich tematy, artyzm, koloryt, szeptali z sobą jak w świątyni, Jakby przez uszanowanie dla ducha geniusza, który się tu unosił. On tłumaczył Jej epokę i szkołę danego pędzla, jego artyzm, mówił ze znajomością rzeczy, konkretnie, zawsze z szacunkiem dla dzieła. Nawet krytykując niekiedy szcze-

goły czynił to jak artysta z duszy, nie jak profan, udający znawcę słuchała go z uwagą, dorzucając własne spostrzeżenia raczej sercem niż wane, sercem odgadywała myśli, intencje twórcy. Przy takiej ocenie zauważyła raz jego uśmiech; na twarz jej wystąpił rumieniec, szepnęła z prośbą w stronę: Ł 80'

- Nie szydź ze mnie, jestem dyletantką - wiem, lecz tak czuję, tak mi pozwól mi być szczerą. Ty wyrażasz swe krytyki i oceny ze stanowiska wlaśnego, ale tak że najslawniejszy z tych mistrzów nie mógłby się na ciebie obrazić, lecz chyba mych wrażeń żaden z tych wielkich za złe by mi nie WM Prawda, ukochany?

- Bądź spokojna, tych wielkich oceniasz tak ślicznie, choć może zupełnie po swojemu, że gniewać się nie mogą. A mój uśmiech czyż może być dla ciebie szydzącym...?

Uśmiecham się, bo mnie bawią twoje uwagi z serca płynące, jak wszystko zresztą u ciebie. Ty masz szacunek dla sztuki prawdziwej, boś wrażliwa i uczuciowa. Wierzę, że moje maleństwo obiecuje nie dostrzegać w moim uśmiechu tego, czego nie ma?

- Jak ty mnie znowu nazywasz...? - zaśmiała się.

„, c j-”t Fauil<;!

„,___-” ^^yotim mego życia.

- Że zaś i ty dla mnie jesteś tym samym, z pewną zmianą dzieciak - mon maitre cheri, więc możemy sobie podać ręce

Podawała mu obie, on szybko rozejrzał się po sali

- Jesteśmy sami, zatem 73*0^- - •

- Czy ja wiem, jak mam już ciebie nazywać! Jesteś moim maleństwem i moją potęgą, moją siłą, moim dzieciakiem i moją jasną panią, przede wszystkim zaś jesteś szczęściem mego życia.

- zamiast mój

„- _ jyuucŁl^ ll^Ue.

„. _ .^u wuic, un szybko rozejrzał się po sali.

Jesteśmy sami, zatem zażadam więcej. Tej świątyni twórczych natchnień nie sprofanujemy, gdyż z takich uczuć jak nasze, powstawały arcydzieła.

Otoczył ją ramieniem nr w--1 '

- Że zaś i ty dla mnip iVof~" *-•-

"^^ji ją ramieniem, przygarnął do siebie i otulając jej profil swoją dłonią, pochylił głowę nad jej twarzą, patrząc gorąco w jej olśnione oczy. dło-

- Mój ty biały kwiecie, biały on zawsze, pomimo, że kraszą go niekiedy purpurowe łuny gorącej krwi.

Przywarł ustami do jej ust, na krótką chwilę czystej a rozkosznej pieszczoty. Gdyby ich kto w tej pozie zaklął w obraz, płótno to byłoby ozdobą sali. W nim malował się wyraz czci, powagi i męskiej siły, w niej ciche poddaństwo i moc uczucia. W obojgu zaś widoczny rys szczęścia i pragnienia siebie. Tworzyli grupę harmonijną, jakby żywego posągu wśród martwych dzieł sztuki. W sali trwała cisza niby w nawie kościelnej, tylko ze wszystkich stron galerii spoglądały na nich przedwiekowe oblicza; oczy jakby żywych postaci zakłętą siłą genialnych twórców. Patyna wieków leżała na tych postaciach zamkniętych w ramy; stworzone ongi ręką mistrzów wszechświatowych, zdawały się żyć jakimś życiem mistycznym, niezemskim. Znane w historii osobistości, sceny, malowały się plastycznie, jakby w tej samej chwili zostały zaczarowane. by w swej skamieniałości wiecznie trwać i w coraz nowych pokoleniach ludzkich budzić uczucia, wywoływać wzruszenia, rodzić cudowne wizje, zapalać w duszach młodych twórców. Szeregi artystycznych płócien były testamentem 76

łych geniuszów dla tych, którzy powstać mają, żywym, wiekuiście nie-

<fles -,", testamentem natchnień praojców dla natchnień wnuków.

a obrazów tak była wybitną, że tych dwoje turystów, ocknąwszy się U1 nowej ekstazy, doznało wrażenia, że jednak nie są sami. Ona z lekkim zcn"c'zem przesunęła wzrok po ścianach galerii.

__- Jesteśmy w zbyt licznym towarzystwie? - szepnęła - patrz na nas ze zystkich stron... Grzeszne i mniej grzeszne oblicza, dziwią się nam. O, patrz, iv? ta grupa bogów spoziera na nas ze zdumieniem. Widzisz, ile w nich ironii.

J __ Dziwią się, że pieszczota nasza jest tak cnotliwą i dziecięco czystą

_ uśmiechnął się on. - Oni inaczej pojmowali miłość, nawet de facto nie miała ona zastosowania w ich szalach. Pojęcie miłości zawierali w odczuwaniu zmysłowych podniet.

- No, nie wszyscy! Mówisz o mitologicznych postaciach.

- I o tych, co naśladują Olimp, żyjąc na ziemi. Mamy tu takich i na płótnach uwiecznionych i w życiu.

Pokazywał jej coraz inne arcydzieła przechodząc sale. Ona mówiła.

- Czy uważasz, jak się tu zatracza różnica świata realnego, od fantastycznego i mitologii. Patrząc na odtworzonych ludzi, którzy żyli życiem własnym, jak postacie historyczne, równa się ich mimo woli do postaci fantazją wy-

śnionych i wyobraźnią rzuconych na płótno. Sceny znane w dziejach, równoważy się ze scenami mitowymi, wszystko to tworzy jakby jeden świat żyjący, sztuką zaklęty. Nic nie jest tak plastyczne dla wyobraźni jak malarstwo. Patrząc na te nimfeczki czy możesz sobie wyobrazić, że one nie żyły realnie, lecz wyfrunęły z mózgu ich twórcy...?

- Jako idea, na to się zgadzam, jako treść obrazu, lecz ciała, których piękno i plastykę podziwiamy, żyły na pewno, były kochane, pożądane i posiadane i nawet wiedziały o tym, że są piękne, gdyż użyto je na modele.

- Ach, profanujesz mit w nich zawarty, ale masz słusność. Czyż jednak sama fantazja, idea nie może tworzyć bez pomocy modelu? Ja sądzę, że genialna wyobraźnia jest tak silną, iż widzi postacie jak żywe, artyzm zaś wciela je w kształty rysowane mocą tejże wyobraźni.

- Przeważnie jednak wyobraźnia nadaje ruchy, gesty, mimikę, wyraz twarzy i styl postaciom urodzonym przez ideę, lecz forma cielesna, kształty brane z natury zyskują na prawdzie i swej żywotności. Zresztą każdy z mistrzów odtwarza inaczej naturę.

- Może przez użycie modeli zastosowanych ściśle do swych wymagań i gustów.

- Zapewne; weź jednak Rubensa i Van Dycka, obaj genialni, o płodnej imaginacji, obaj szkoły flamandzkiej i rodacy, a jak się zasadniczo różnią z sobą. Rubens niezmiernie energiczny w rysunku, potężny, świetny w kolorystyce, śmiały, powiem nawet zuchwały w rzutach pędzla. Van Dyck ma raczej w swych barwach niezrównany czar niż rubensowski blask, w rysunku jest o wiele prostszy i spokojniejszy, a równie nieskazitelny, posiada większą delikatność i subtelność linii, nie tracąc nic z bogactwa pomysłów i swej wyłączności.

77

- Wolę osobiście Van Dycka, zwłaszcza jego portrety p.,},
mnie czasem za bezczelny w rysunku, co osądzić można nawet z '^ Jest dt
watyh amorków, wyglądających raczej na tłuste wiejskie dzieciak680-PUc°la
i sylfy. Wiesz, lubię bajecznie Leonarda da Vinci, to szkoła floren Ł** ^(^
On wdziękiem swym czaruje, nieco podobny do Rafaela, lecz mnie° *'talt-'
wyrażę, słodki, mniej uduchowiony, ale śmielszy. Madonny rafaelow t ^ ^
że bym tak nie odczuła, lecz on posiada indywidualny styl pełen w ni0'
fael jest dla mnie zbyt lukrecjowy. Błuznię - prawda?... wiec nrm^ ^-
zbyt anielski. P Praw>? "*"

- Ach! On ma dużą żywość i niezwykłą dokładność, akuratność'
monię linii. ' ^r-

- Ależ to są właśnie cechy anielskie, ta bezzarzutność jego twórc ' '

Skrzydeł mu nie ujmuję, powtarzam tylko, że są dla mnie zbyt już archanieli k*

- Widzę, że moja pani zaczyna z obłocznych sfer nieco sfruwać, jest l
dla mnie wniosek...

Zaśmiała się wesoło, przerywając mu dalszy ciąg, który odgadła.

- Przede wszystkim wniosek nietrafny. Dowodem tego, że zawsze prze-

padam za Michałem Aniołem.

- No, jest on mniej obłoczny niż Sanzio.

- Nie przekomarzać mi się! - Michelange Buonarroto jest także słoneczny, nie zaprzeczysz, ale jest przy tym szeroki w rozmachu, oryginalny, nie jednostronnie wdzięczny i łagodny. To już nie tylko potęga geniuszu, to siłą temperamentu twórcy. Wspaniały! a przy tym iście boską wzniosłość posiadają jego dzieła. Boską - nie anielską.

- Mój promień zawsze z aniołami w niezgodzie. O właśnie jesteśmy tu, dokąd chciałem ciebie zaprowadzić.

- Patrz - Danae i deszcz złoty Jowisza - twórca Correggio. Ten temat nie ma już nic wspólnego z anielskością. Ale przypatrz się. Co za plastyka i koloryt!

- Tak, to raczej demoniczny twór. No, Correggio! rywal Rafaela i zdaje mi się, że większy naturalista w odtwarzaniu efektów cielesnych, powierzchniowych. Ale ja to już gdzieś widziałam? - zastanowiła się pilnie, patrząc obraz.n

- W Dreźnie, kochanie, jest "Danae" uwielbionego przez ciebie Van cka. , ^

- A tak, prawda... Przypominam sobie tamten obraz dokładnie. Je wiesz...? - przyglądała się płótnu z uwagą.

- Wolisz Van Dycka...? ; -nje.

- Nie, Danae Correggia jest szersza w wyrazie, zmysłowa od ^ piękna w stylu, bez tej naiwnej dziewiczej maski, którą przyozdobił Van -^ swoją Danae drezderiską. Czy uważasz, ile tu prawdy i siły, jaka pr •• elegancja rysunku, co za mocarność wyrazu! g,ina

- Correggio był mistrzem niepośledniej miary i wszechstronnym-kompozycja! z

78

- Jednak starożytna Grecja i jej mity wzbogaciła niesłychanie

; wieki. Ileż to mamy arcydzieł, stworzonych li tylko na zerpaaych z erotyki greckich bogów.

,giw" A \vodzi, że miłość zawsze jest piękną i budzącą natchnienia nawet i- ^ co (r°zeniU) 'w jakim pojmował ją Olimp, z pierwszym erotykiem Jowil(taU111 za, -jYzeba przyznać, że jego metamorfozy dla zdobycia Jo i Danae, jzeffl02"2 estetyczne. Mniej eleganckim okazał się przy porwaniu Europy. bj)j ba rdz zrodził się tylko Minos, rezultatem zaś złotego deszczu na T°KŻ bvł bohaterski Perseusz, zabójca Meduzy Gorgony, którego statwę odziwialiśmy wczoraj w muzeum watykańskim. Czego się moja zło-Miecha, tak figlarnie...?

Bo wybornie tłumaczysz i znasz owoce wybryków Jowisza, to mnie

___ A[e przyznajesz mi rację, że estetyczna przyczyna wywołuje estetyczny k j v;ce yersa. W sztuce zaś największa nawet pornografia, podana w for- * ie klasycznie pięknej, staje się nie tylko artystyczną, lecz i nabiera uroku, staje się nawet moralną przez swą estetykę. Więc by ze sceny takiej wydobyć

piękno i czar, trzeba być mistrzem prima sorte, ale i miłośnikiem tematu. Niezbędne cechy takiego odtwórcy to pasja natchnienia i subtelność cieniowania charakteru danej sceny, by wywołać wrażenie eleganckie piękna w grzechu. Musi w tym być szal zaraźliwy nawet i drażniąca podnieta, zarazem jakaś wzniosła dostojałość i dużo satanizmu i wszechwładza potężna, która przykuwa i zachwyca. Gdy geniusz artysty niezdolny jest wywołać takich wrażeń w dziele tej treści, niech lepiej maluje świętości.

- Czyli chcesz powiedzieć, że do odtworzenia boskości oblicza lub sceny religijnej, potrzebne mniejsze natchnienie? Z tym się nie zgodzę.

- Nie, dziecino, natchnienie zawsze obowiązuje, bez niego nie ma dzieła. Tylko do oddania boskości konieczną jest głęboka wiara, co przy natchnieniu twórczym wystarczy. Obraz taki lub oblicze może malować zakonnik w swej celi, lory świata Bożego nie widzi prócz wizji, będącej mu niejako drogowskazem, Póć serca, które wierzy i miłuje. Twórca zaś takiej Danae winien posiadać egipsze horyzonty intelektualne, indywidualne i psychologiczne; temperament skih żywo*owy i pewien kult dla grzechu, sporą dozę epikurejkon i23, owan' Czysto ludzkie instynkty i siłę demona w swym geniuszu i dosca °sc formy, i bałwochwalczą miłość dla sztuki we wszelkich jej przejawach. 'Poznasz, że to skala dużo obszerniejsza do ujęcia i wyzyskania w dziele ^P ttinyrn tak potężnie, by odpowiadało swej nazwie, by imponowało. ne. Zat a l,0 rozurniem, lecz to są jednak rysy instynktu czysto ziemskie, realizujem ^eJsze w pojęciu i uplastycznieniu. Wszystkie cechy, jakie wskaklas)C\7 niezb?d,ne dla artysty tej miary, są wynikiem jego człowieczeństwa, czas' gcjm)| poJ?ć ° sztuce, to raczej humanizm, lecz nie uduchowienie. Poddzaj ja l odtworzenia boskości, tak, by każdy boskość tę odczuwał, win'a, trzeh ^° ?ztuce zawartą, potrzeba właśnie olbrzymiej dozy uduchowie^uszał a •m^ t? k°sk:ość w sobie, by w dziele sztuki stała się wybitną, by teS° nie H11?^0 ^° scnylenia głowy. Pierwszy lepszy braciszek w swej celi °każe. Bo to natchnienie na podstawie abstrakcji, wizjonerstwa.

79

,; \Warszawie. Zwiedzamy j[już V(jC. tuda tutejsze od kilku dni, nogi bolą od łej

1

Którego może doświadczyć każdy utalentowany lub zwykły, byle bogob homo, jak i filozof mistyk, jak i wykształcony scholastyk, ślęczący nad A ^ totelesem. ys~

- Dlaczego czerpiesz tylko ze źródeł o prądach religijnych...?

- To proste, by doznać wizji religijnej, objawienia, trzeba, zdaje mi wpadać w ekstazy o tym charakterze, co sprawić może jedynie głęboka relJ^ność i ślepe podporządkowanie się jej.

- A Rafael...? i jego Madonna?

- Rafael? - sama nazwałaś go anielskim, widać miewał on religijn natchnienia. Ulubieniec papieski, dekorator Watykanu, obracał się przeto w rytualnej atmosferze. Kochając Margaritę Fornarinę, potrafił siłą uczucia

włać boskość Madonny w rysy tej pięknej piekarki. Wszakże widocznym jest podobieństwo portretu Fornariny do Madonny. W swym arcydziele połączy) boskość czerpaną być może z wizji swego natchnienia, z rysami ukochanej kobiety, w jedno oblicze. Szczęśliwy, gdybym ja potrafił tak ciebie zakląć w jakie wiekopomne płótno.

- Będzie szablonem, to co powiem - uśmiechnęła się - że zgoda, ale z tobą razem; niech nas kto zamieni w obraz mistrzowski i tak trwajmy wieki.

- Jeszcze nie teraz; nie mógłbym całować twych ust purpurowych, nie patrzyłbym w twoje oczy, szaleństwo ty moje. Łapinek twoich nie mógłbym całować i pieścić. Wolę na razie to, niż wieczne i sławne bytowanie w portrecie najświetniejszej galerii.

- Ja zaś nie słyszałabym twych wyznań. Życie nasze obecne jest tak piękne, takie górne i pełne ideału, nasza miłość jest tak szczytna, że jeśli to halucynacja, chcę skonać podczas jej trwania, jeśli istotna jawa, to los jest wielkim dobroczyńcą, że mnie tak uwieńczył, że mnie obsypał takim... złotym deszczem... Spojrzałeś na mnie groźnie - dlaczego...?

- Zbyt ryzykowne zrobiłaś porównanie. Chyba rozumiesz...? Świadczy o tym twój rumieniec. Ależ nie chciałem ciebie zdetonować, moja ty arystokratko i estetko ducha. Łunę masz na twarzy; jak zorza mienisz się zawstydzeniem. Daj rączyny, niech je upieszczę i przeproszę, ubóstwiana moja! Ktoś idzie - słyszysz? Jakież głosy?

- Wyjdźmy już z tej sali - szepnęła.

- Za późno, wchodzą znajomi, patrz. Teraz nie można, wzięli by za ucieczkę.

- Ach, to z kraju! To ci, wiesz...?

- Poznają. Zachowa}, jpokój na Boga! Wszak się nie ukrywamy. Gdzież siła...?

- Bądź pewny! Ujrzeli nas, podchodzą.

Dwie pary ludzi powitało się z sobą grzecznie, lecz lakonicznie. U przybyłej kobiety wystąpił na ustach uśmiech dziwny, wytwór odrębny ironii, lekceważenia i palącej ciekawości kobiecej, uśmiech chytry i złośliwy. Mężczyzna miał wyraz spokojny, raczej zadowolony szczerze. On pierwszy przemówił z uprzejmym uśmiechem.

- Jednak w Rzymie spotkać się można, nie tylko, jak dowodzą, w naszej

80

01 dzei"a> a ręce od dźwigania a kat/a^logów.

cł°_ Czy państwo także przejejaz<^k%W jak my z mężem? - słodko spytała wiasta, obrzucając spotkaną ą wz/ fokiem chciwej hieny.

01C_- Tak, pani, zwiedzamy RAzytif^.^

__ Ach, ja z mężem zachwyo/ycanfyotA ą! się jego pięknnością. Chociażby ta galeria,

lcież arcydzieła! Ach!... Danaę3e w 4,,|p,totym deszczu, patrz mężuniu...

1 7"miała się ze ziadliwa dvsMskrec/ \, przymrużając oczy i patrząc nie tyle na Zaśmiała się ze zjadliwą dysUskrec/'

obraz, ile na spotkaną parę. p 5|"

\e przy tym obrazie spotkaliśmy się, ja
pani może kopiuje Danaę, a pan podziwia
'i tylko na nerwach ich dwojga, lecz nawet
'ując ich styl; śmiech ten skalał powagę
- Yoyons? jaki traf, że w wlaśrjMtj
, -z mężem i pani z... panem. OCzy r
pomysł Jowisza...? Cha! Cha...! 'l jll^
Śmiech ten zgrzytnął przykroiro nJLujjij
jakby na ramach obrazów, proirofaf
sali.

^raz ten za trudny dla mnie do skopiowa-
Zaczepona kobieta odrzekła z

- Nie jestem artystką, przeijeto (/
nią.

- Ale temat... sam temat cfchy

-- Zapewne pani jednak dunużo '-^korzystała w malarstwie przy zwiedzaniu
tak bogatych zbiorów dzieł sztumki^/W - zapytał nagle mąż ciekawej niewiasty,
przerywając żonie dalszy ciąg jej b/fn^iań z wyraźną intencją.

Jeszcze kilkanaście słów szai:ablc/L ilowej grzeczności i pożegnanie. Kobiety
podały sobie ręce chłodno; grze-ieczr/yJijj^ obojętność z jednej strony, wyraźny już
sarkazm bez osłon z drugiej, męmeżc/jLV\żni zamienili uściski dłoni nieco cieplej.

- Może się teraz spotkamy v y w /?!%. jakiej bibliotece, co znowu pana zapewne
żywiej interesuje? - uprzejmie p prz/?, .)t iVówił mąż zgryźliwej żony.

- Może, lecz już nie w Rzy'pymi//%,V' Jutro wyjeżdżamy.

- Tak prędko, już państwoco z^e^ledzili wszystko? Dokądże teraz...? - za-
szczebiotała chciwa nowej plotk;iki nJyni^wiasta.

- Zwiedzamy Rzym dużo di daW/lejWiiej, niż państwo. Żegnam.

Sztywny, lecz bez zarzutu g-jgent/^Fij Jbmariski ukłon i rozstali się. Szli w mil-
czeniu przez szereg sal, ona cichsiha, // \,Ałoniona, on z silnie namarszczoną brwią.

~ - / V -A .-ił l •
11 _____! ' • _____

miętko pod ramię, rzekł z czułością:

Ocknął się, rozpogodził i wziąwawsz/ y

!...?

- Mój promyk jasny zmęczsizon

./ . L>\ \

KDn wn^c\$uropejczyk, ona zwykła parafianka, repor-
żs żąd/% • Wtej sensacji.

- Może raczej przyćmiony. ./.

czcicielami szatana.

- Czym...? tą parą tam...? CKDn

ter dla partykularskiej gawiedzi żs

- Ci gotowi nas także nazwcaący

Jatrzymał ją energicznie za rękę.

/spójrz na mnie.

- Może teraz Jowisza, na
Byli już blisko wyjścia, gdy Q on
- Drogie umiłowanie moje 2
Podniosła oczy trochę smutnie.
- Więc...?

81

- Czy siła jest...?

- Tak.

- A spokój...?

Powieki jej opadły, na rzesach błysnęła lekka rosa.

On ujął ją silnie za oba ramiona i pochylając swą twarz ze ściągnięty
nieco ukośnie brwiami nad jej jasną twarzą, zaszeptał niemal groźnie, wjad'
czo, lecz głosem serca:

- Chcę, żądam, aby była siła, spokój i szczęście. Czy będzie...?

- Szczęście jest zawsze...

- Żądam i pragnę twego spokoju. Czy będzie...?

- Tak... bo ty tego chcesz, będzie dla ciebie.

- Chcę, abyś go wyrobiła w sobie i dla siebie...

- Będzie! Twoja wola to dla mnie rozkaz, spełnienie twych pragnień, to
moje szczęście.

- Mój ty duchu ukochany, wyżyno ty moja. Tyś moja serdeczna krew,
bez której bym nie żył! Ty... ty...

Zamilkli z nadmiaru uczucia. Patrzyli na siebie rozjaśnionemi oczyma.

Obraz VI

Krwawy zachód pokrył szkarłatną oponą Neapol, zabarwił zatokę mors-
ką, rozlał się szeroko, aż hen, po kraniec horyzontu. Znikły granice nieba
i morza, w które zanurzała się olbrzymia tarcza słońca, ognisko płonącej
królewsko purpury. Szkarłat płynął po falach, szkarłat omaszczał obłoki,
obrzuwał ognistą wstążką ciemne chmurki nocne niby zygzakami błyskawic.
Szkarłatem nasiąkały białe domy Neapolu, paliły się krwisto wieżycy
kościółów, a drzewa migdałów, magnolii i pomarańcz nabrały karminu na swe
kwiecie. Z daleka potężniało ponure osypisko Wezuwiusza, także w łunie
jaskrawej czerwieni. Sorrento omotały różowe mgły przejrzyste jak zwoje ga-
zy. Świat płonął, a wielkie kolisko słońca promieniste, jak jeden stos rubino-
wych gwieździe, spływało wolno poza grzbiety fal, otoczone istną egzaltacją
złotych iglic rozżarzonych tęcz. Świetlistość słońca była tak jaskrawa, że oczy
nie śmiały patrzeć mu wprost w oblicze. Pojawiły się nagle obok tarczy sino-
rude piętna i jęły ją otaczać, i spływać z nią razem, i wirować dokoła niej coraz
gęściej; plamy powiększały się ciemniejac w mocny fiolet i szafir. I morze jęło
się zasnuwać, purpura poszarzała, przeniknięta rdzą na wskroś wysysającą
z niej chciwie resztę szkarłatu'

Noc zapadła szybko. Jedna już tylko smuga krwi, ostatni wystrzał rubino-
wych gwieździe ponad ciemną, liliowo-burą tonią i koniec! Morze pochłoneło

słońce. Zakipi chyba od jego żaru. Gasły ogniste wypustki na chmurkach, rudawe obłoczki posmutniały, zbijając się w jedno stado. Róż znikł co do atomu. Jakby mocą czarów świat przeistoczył się z płonącego w zastygły; dawne łuny zastąpiły teraz błękitno-fioletowe mgławice i otuliły sobą wszystko, łagodnie a miłośnie. Nie było już temperamentu purpury, jej gorąca; zapanaował spokój cichy i senność jakaś baśniowa. Zamajaczyły białą wille Sorren-

82

wróciły do swej przezroczystej, ślubnej barwy kwiaty pomarańcz i magnolii
"" zsnuty dokoła siebie woń przedziwnie słodką, upajającą jak haszysz. Olb-
'f mi kołpak Wezuwiusza zasunął się w pomrokę, majaczył jeno nad nim
sty, różowawy słup dymu, niby mgła czy pył, nad niewidzialnym rozpal-
P stosem żaru. Spomiędzy chmur załśniły tu i ówdzie pojedyncze oczka
wiad, jedna większa, jak brylant migocąca, rzuciła na wodę zatoki złocistą,
drgającą bezustannie nitkę. Cisza - niemal święta. Oni oboje siedzieli przytu-
leni do siebie na balkonie willi podstawą swej skały głęboko werżniętej w zato-
)" otoczonej mnóstwem rozkwitłych pomarańcz, cyprysów, cytryn, palm
i wachlarzowych pinii. Balkon zatopiony doszczętnie w różach i-kameliach; na
lakierowanych liściach bluszczów, zwieszonych festonami, wypełzają blade
kieliszki kaprifolium niby łyżki aniołów. Willa wygląda jak gołąb biały, który
w locie zawisnął nad falą morską, balkon to jego skrzydło.

- Jaka cisza, świat śni upojny sen. Taką noc sam Bóg chyba nasycy urokiem - szepnęła ona. - Słyszysz, odzywa się gdzieś zza muru mandolina. Jaki czar w tej ciszy. Skąd ten leciuchny refleks morelowy na ścianie?
- To odbija się dym z krateru, obserwuję go właśnie. Spójrz, jak się zaróżowił, jaki pyszny pióropusz, niby z ceglasto-złoty paradisów. Mówił mi dziś wioślarz, że wulkan zdradza pewien niepokój. W górze, na jego stokach, gdzie pną się winnice, obserwują krater od paru dni. Niezbyt to bezpieczny sąsiad dla tubylców. Z naszą wycieczką do krateru musimy się wstrzymać.
- Może nastąpi wybuch?
- Chciałbym! Los pompejańczyków nas nie spotka, za małe są objawy niepokoju tego tyrana, a wrażenie byłoby kolosalne.
- A gdyby się wściekł, jak ongi? Pomyśl, odkopano by nas z popiołów w tej pozie jak jesteśmy, ja u ciebie na kolanach, w twoich ramionach. Że zaś nie marudzono by teraz z odkopaniem Sorrenta, jak z Pompeją, przeto znajomi nasi z kraju mogliby nas podziwiać w jakimś muzeum. I dopiero skandal! To byłoby dobrze!
- Tylko wynikłaby fałszywa synteza naszego sojuszu.
- A właśnie! Szczególnie ten jeden pokój. Czemu nie zadbałeś jednak od razu o wyszukanie drugiego...? Czy już jest, czy przygotowują...?
- Nie ma, dziecino, pytałem... Nie mogłem wszakże robić o to awantury. Zresztą - chyba zasłużyłem na zaufanie. Co...?
- Tak, ale wiesz o tym, że nigdy u nas tego nie było.
- No więc pierwszy raz taki traf, przyznaję!
- Nic do mnie nie odczuwasz.

Spoważniał, ujął ją silnie za rękę. Popatrzył na nią z pod rzęs.

- Czy mówisz to serio...? Czy dowody, które stale dają, nie są dostateczne.

- Owszem, jednak ja proszę, abys zaraz poszedł i zażądał drugiego pokoju.

- Skoro go jednak nie ma w willi...? Zresztą... Słuchaj, czy jesteś dzieckiem, czy silną kobietą...? Czy mi ufasz, czy nie...? Stawmy kwestię jasno.

- Więc mi nie ustąpisz...?

83

- Nie.

- Nawet, gdy poproszę...?

- Nawet wtedy.

- Wiec - sama pojedę... do... Neapolu.

- Nie. Zostaniesz ze mną. Zdaje się, że lin mam mieć ster w ret

Tak...? Zatem, jeśli ja mam być faktycznie steiffilmuszę być samodzielną,

Nie na tyle, bym gardził twoją wolą, lecz misnieć koniecznie swobodę

wyboru i decyzji. W tym wypadku tak postawa i tak będzie. Niech ?

moje umiłowanie z tym zgodzi i przestanie dąsać !?

Ona przez długą chwilę patrzyła w jego ocii nagle rozpogodziła się

zarzucając mu rękę na szyję przyłgnęła do jego p0 Pieściwie zaczęła muskać ustami jego twarz.

- No, już dobrze, nie gniewaj się, panie mój ichany mój, despotyczny panie i władco. No, rozprostuj te swoje sokole ni. Bądź zawsze sterem zawsze en maitre, jak mi to kiedyś sam zapowiedź pamiętasz...? Ja ci chce ulegać, bo ulegać ukochanemu mężczyźnie to dijtai większe szczęście kobiety, prawdziwej kobiety. A ty mnie szanujesz, jatenię, ja to w tobie czczę. Więc niech będzie tak, jak ty chcesz z tym pokojaule tylko dziś. Wiesz co, całą noc będziemy siedzieli tu na balkonie, w Sonto można sobie na to pozwolić. Czy zgoda...?

- Szczegółami ty kierujesz, będzie zatem niiaak moja pani zechce.

Pójdź, słodka moja.

Objął ją łagodnie i przyciągnął do siebie. Otulają twarz dłonią, położył usta na drżących jej powiekach. Szeptał z uczuciem

- Zaczarowałaś mnie, rzuciłaś jakiś urok, naaio dno duszy i serca si? dostałaś, że myślę i czuję tylko przez ciebie, jakby (olliroim wpływem. Ukochanie i wieczna tęsknico mego serca, wyrocznie mii przyszłych dni, ja dziś bez ciebie nie rozumiem swego życia... Ty moje król*i najdroższe dziedzictwo losu, moje ty bożyszczce, moja ty królowo btwych moich światów, przedmiocie nigdy nie nasyconego pragnienia... i i"lo sobie takiego chochlika, który głęboko wszedł mi w krew i chce mną MC...? Niepoprawny to dzieciak, lubi się sprzeciwiać, ale, mój drogi i kodu popraw się maleństwo...

Wtem oboje podnieśli głowy, zastanowili się shiijc.

- Co to...? pociąg idzie czy grzmi...? - spytaiiJumiona niezwykłym

odgłosem jakby toczących się głucho armat. Stanilpy balustradzie bal-
konu, ona wychyliła się> głęboko, lecz dokoła byłaiifo skała i fale. Huk
płynął nie wiadomo skąd, dziwny, nieokreślony, pon

- Ktoś chyba pod nami gra w jakieś tytanicalifgle... co to jest...?

- niepokoiła się.

- To on, Wezuwiusz, daje znać o sobie.

- Co ty mówisz...?

- Patrz!

84

l!

Wydała okrzyk zdumienia i zachwytu. Z wulkan lithnął potężny ship
iskier, prosty, strzelisty jak rakieta, w górze rozsyle niby rozwiązany

. sn0p i siał rzesistą kaskadę płynącego żaru. Blask pożogi lunął na całą
Z"C1S ani? gigantyczna fontanna iskier waliła pod strop nieba, który stał się
2ym J^ ^stygła lawa.

Wezuwiusz przemówił.

Zjawisko było pyszne i piękne, tak imponujące w swej grozie i żywiołowo-
że ludzie oniemieli, ziemia zda się zdrętwiała.

>L!A krater zionął i zionął ogniem.

Rozżarzona kolumna wybuchu odbijała się w zatoce jak krwawy komin,
• pałając na falach miliony kolców świetlistych. Od Neapolu płynął stłumiony
Zzlim ludzi, wyległych na brzegi, by podziwiać widowisko, może przerażeniem
BIIanych. Zatoka Neapolitańska zaroila się mnóstwem łódek i barek niby
stadem białych mew spadłych na wodę. Fale wyglądały jak pogięte złote bla-
chy, obficie skropione krwią.

A krater tryskał i tryskał żarem.

Złudzenie optyczne było tak wielkie, że choć wulkan oddzielała zatoka
i Kampania, u stóp góry leżąca, rozpylony huragan iskier spadał strugami
jakby z nieba, wprost na zaróżowione wille Sorrenta, na Neapol i okolice.
Czasem język ognia liznął w górę z krateru i znowu niął w jego czeluści,
czasem wypadł kłęb dymu sinoczerwonego i podkasany w pojedyncze runo,
wiał pod niebo niesiony szalonym pędem. Huk podziemny ustał, słyszeć się
dawały tylko jakby krótkie salwy wystrzałów z potwornej gardzieli chlustają-
cej żarem. Wzmagął się natomiast ruch na brzegach, wrzawa rosła, nie od-
czuwało się w niej wyraźnej paniki, lecz silne podniecenie tłumów.

Oni oboje stali zapatrzeni, bez słów, pochłonięci wspaniałością zjawiska,
nie było określenia dla tego cudu przyrody. Ona dygotała całym ciałem, przez
jego nerwy przelatywał prąd elektryczny, rozpalający krew. Tętna biły w jego
żyłach taranami, w mózgu czuł kłujące iskrzyce. Dech gorący, jak z rozpalone-
go pieca, płynął ku nim z Kampanii, powietrze było parne, duszne, przesycone
siarką. Zapach kwiatów wzmocniony i zmieszany z tą atmosferą wulkaniczną,
wytworzył aromat silny, jakiś wyłączny, pobudzający swym czarem niemal do
utrąty przytomności.

A herkulesowy snop iskier sypał i sypał z góry.

Oni oboje czuli, że dzieje się coś niezwykłego, że jakaś siła wszechmocna wnika w ich jestestwa i głuży wszystko, i rozsadza piersi ogromem uczuć, że zawieja pragnień mąci im zmysły, że jakieś głosy nakazujące wołają na nich, że jakaś potęga żywiołowa pcha ich ku sobie, i że się jej nie oprą. Bo któż jest w stanie zgasić ten wicher ognisty buchający z krateru Wezuwiusza, któż zmusić go zdoła do zastygnięcia...? Więc kto zegnije i tę moc, która w nich oto rozwielnia się tak zaborczo...? Kto zdusi tę wszechwładzę ich pożądań siebie, kto odmęt taki szalony, pożarów pełny ostudzić potrafi...? Nikt! Nikt! To tytan, to kolos niezłomny, to siła twórcza, nie skruszona żadną wolą. Ona przyjsć musiała i nadeszła... Czuli oboje, że się jej poddają, czuli, że słabną. Bali się spojrzeć sobie w oczy, bali się poruszyć, by nie wywołać plastyki dotyku; w ich krwi płynęły potoki ognia. Walczyli resztą zanikającej siły, walczyli z buntem zmysłowej podniety, spychającym ich w przepaść zapo-

85
mnienia. Rozumieli już, że są na skraju tej rozpalonej otchłani niby przw czeluści wulkanu. Rozumieli, że już nie ma dla nich ratunku, że czel - pochłonie ich i spali na popiół. Żar mieli w piersiach, w całych i "t~*.. •Sc t panoszyła się iak-aś <->HT""W"V""~""--•--' , . ozume, że już nie u, e czelu pochłonie ich i spali na popiół. Żar mieli w piersiach, w całych istotach panoszyła się jakaś olbrzymiość niesłychana i już nie ujęta w żadne okowy1"?" targało nimi z coraz większą zawziętością, unosiło ich poza ws '° Pasa ich r

., ----- -jr"" "v ttiune Okowy i lfe[* ,u mim z coraz większą zawziętością, unosiło ich poza wszelką realn • Pasja ich rosła. Zatopieni byli w czerwonej kurzawie dukatowego Z}°S' siały się dokoła złote pyły, urokiem tchnęła ta noc pod grozą wybuchu ne)a niepokoju, będąca jakby wyrazem namiętności rozhulanej natury. ' Na balkonie zaszemrały ciche szepty.

- Czego tak drzysz, jedyna, boisz się...?

- Nie... lecz myślę, że gdyby w takiej chwili nastąpił koniec świata, ludzie ginęliby w szale zachwyty.

- To prawda! Wezuwiusz uczcił nas pyszną iluminacją. Najśmielsza wyobraźnia maleje przy tym zjawisku. Cudowne...! Jakże ty drzysz...

- Bo wiesz... zatracą się pojęcie, czy ta noc jest obrazem piekła, czy... nieba...?

- To sprawił Demon, nasz demon, on tu panem. Patrz...! Jesteśmy okryci... złotym deszczem.

Drgnęli oboje, jak smagnięci biczem ognistym, ona przylgnęła do niego mocniej, na nic już nie pomna i... nagle została porwaną gwałtownie w objęcia... Zdusił ją w ramionach, przegiął w tył i chciwymi wargami, gorącymi, jak płomień, posiadł jej usta. Usłyszała stłumiony, głuchy jego okrzyk.

- Moja ty... Danae...

Świat zakręcił się wirem w ich mózgach. Świat runął, nie egzystował. Zo-

stał jeno szal, zachwyty, jeden, jeden czar.

A potop złotego deszczu płynął i płynął z niego.

Ocknęła się, gdy chwycił ją na ręce jak dziecko, poczuła, że jest niesiona w jego objęciach. Oprzytomniała!...

Ogarniając ją całą żelazną obręczą swych ramion, okrywał gradem pocałunków jej oczy, włosy, policzki, parzył jej usta, gryzł je aż do bólu, żar swych łaknących warg przesuwiał po jej obnażonej szyi i piersiach, pieścił jej stopy i ręce, szalał, wrzał. Zrozumiała, że jest w jego mocy, zdana bezwzględnie na jego łaskę i pomimo rozkoszy nieziemskiej, zlekła się. Zbyt blisko byli siebie. władza jego zbyt ją upajała.

Usłyszał szept jej roztrzęsionych ust, szept błagalny:

- Jedyńy mój, ja siłę swą... czerpać chcę... z twojej... tyś panem... ty mi jej użyz... ja ci ufam...

Odczuł ją, że pozostała już tylko jej prośba. Zawrzała w nim walka buntu. namiętności, szalonego pożądanja z siłą woli tak potężną, że łamała wszystko. Pohamował się mocarnie, szarpnął nerwami, aż coś w nim boleśnie zgrzytnęło. kipiącą krew zatrzymał tamą swego rozkazu i... zwyciężył. Dla niej, dla jej spokoju i, sam od tej myśli spokojniał.

Twarz jej przytulił do swojej i szepnął głosem wzburzonym:

- Ufaj! Tyś moja świętość, ja ciebie nie skalam, ja ciebie uszanuję, bo ciebie kocham siłą ducha mego; ciało mogłoby osłabnąć, duch nigdy. Nie ot

86

- • je zachowaj spokój, takich piezczot, jakie ja fcńorę, nie broń mi. Du-
l(należysz do mnie całkowicie i niepodzielnie, ja rr"am do ciebie najwięcej
naie;iy:5i "~ "-----r ...,

" duchowych, zatem całować, pieścić ciebie muszę, słyszysz! muszę, by
Cf3, przez chwilę zapomnieć o tym, co nas dzieli, c-choć przez chwilę mieć
\$°, ze należysz do mnie bez zastrzeżeń. Wszak nasse piezczoty to punkt,
Te się spotykają i łączą nasze uczucia, to zarazem i dowód twojej we mnie
f 0^cj Rozumiemy to oboje i jestem dumny z ciebie. Jestem silny i ty silna,
UJ ty mój duch wybrany.

Uniesiona wdzięcznością dla niego, uczuciem, czcią, chwyciła jego dłoń
"rzywarła do niej ustami. Nie mówiła nic i on mi.leżał, lecz oboje czuli,
•e w harmonijnym akordzie ich duchowego zespoleaaa, przybył nowy, bar-
jzo wzniosły ton. Oboje z dumą myśleli, że siła ich stanęła na najwyższym
pedestale, oboje musieli si^ czcić, bo czystość ich sojuszu była osiągnięta.
litość ich stała się górną, wyrosła ponad poziom pospolitych ludzkich na-
miętności.

Po długiej chwili zapatrzenia się w swą duchową e kstazę, dostrzegli nagłą
ciemność w pokoju. Różany brzask zniknął ze stiukowych ścian. Wyszli na
balkon. Wulkan przygasał. Już tylko pojedyncze węzowe zygzaki iskier prys-
kały w górę i marły w czarnej topieli nocy. Świat okr-ył się znowu sino-szarą
ćmą.

Nieśmiało, jakby wystraszony, wyłaniał się spozsi gór Apeninów blady
sierp księżyca, drgał leciuchno na wodach zatoki, jfjakby badając, czy nic
w nich nie pozostało ze świetlnych refleksów odbitego - w ich falach wybuchu.
Oni oboje zapatrzili się w tę nową metamorfozę ^Kampanii zatoki, wsłu-
chani w dziwny spokój przyrody po jej szaleństwie.

I w nich zgasły pożary, ucichły gorące wichry, została bezmierna słodycz
i wielka jasność w duszach, triumf, że zwalczyli samyoch siebie.

Ufnie, ze szczęściem w sercu, przygarnięta do niego, dotknęła skronią jego
czoła, ręką zakreśliła krąg.

- Patrz, wszystko jest tak, jak było przed wybuc hem...

- Tak, umiłowana, przeszliśmy ogniową próbę i znowu nam zabłyśnie
nasz złoty świt... Promienna ty, moja zorzo, zapowiadająca przyszłe, wzejść
mające słońce szczęścia bez granic. Gdy wejdzie, zaleją nas jego potoki. Za-
brałem ciebie i poszłaś ze mną, boś mi zaufała. Ufcaj i nadal, ja ciebie nie
zawiozę, poza pewne granice, w takich, jak nasze ^warunkach, wierzaj nie
wykroczę. Gdy prysną więzy, wtedy... każę ci zapomnieć o wszystkim i wszyst-
toch, wtedy rzeczy wezmą inny obrót, dziś wyżyna jest i pozostanie tak, jak
c')cesz, niepokalaną, o ile warunki się nie zmienią. Un ósmy się więc w zawrot-
ne przestrzenie ducha, w jego zaświaty. Nie chcę pDrzykuć ciebie tylko do
k'emi, staniesz na wyżynach, do których dążyłaś. Szy buj, sokolico moja, szy-
Hj w przestworza i wiedz, że i mnie tam znajdziesz. Duch twój rozwinął
^fzydła, sama mówisz, że ja to twoje odrodzenie. T~~yś moją chlubą i dumą,
Jest mi ona zapłata i osłoda za to, iż do mnie całkcowicie tak, jak ja... i ty
^cesz... nie należysz. Kocham ciebie bez miary, ubóstwiam, szanuję i czczę.
Stali długą chwilę, upojeni własnym szczęściem. V*J głuchej ciszy on zaczął
87

s\ve,

mówić wiersz, kiedyś dla niej ułożony, zakończył, tuląc ją mocno do
piersi.

Zaufać tedy możesz mi bezpiecznie,
Bo z duchem twoim pragnę zostać wiecznie
i czerpać siłę w tej krynicy cudu
Na życie pełne gorzycy i trudu.

- Lubię, gdy to mówisz...

- To nasz dwugłos. A imię nas dwojga - to jedno... Alhalli...

Rogale. Jesień, 1917 r.

Tragedia Cesi

(Urywek z Pamiętnika Wygnanki)

Archangielsk, 29 listopada

Jestem już tu od tygodnia razem z Julka i Olską. Przyjechałyśmy pod
etapem. Konwojował nas z Warszawy oficer żandarmerii, Andrzej Bieruzow.
Dziwna i straszna podróż wśród żołdackich pik. Tyle dni bezbrzeżnej tęsknoty
za ukochanymi, żalu, gorzycy... Od chwili aresztowania naszej paczki żyję ży-

ciem gorączkowym. Wzięli nas wszystkich do ratusza. Badanie, śledztwo. Potem cytadela. Och, ten głuchy hurkot kół na dziedzińcu cytadeli dotąd w uszach mi brzmi. Nie wydaliśmy nikogo, ale i nie ujrzelśmy więcej. Tylko z rodziną krótkie pożegnanie w obecności żandarmów. Gdyby nie Bieruzow, nawet rozmówić byśmy się nie mogli. On ułatwił na dworcu pożegnanie z mamą i Jontkiem. Poczciwy! Teraz Jontek pozostał jedynakiem, on się mamą zajmie. Biedna mama! Jej oczy bolesne, oczy błogosławiące! Szczęśliwy ten, kogo w takiej chwili żegnają matczyne łzawe oczy. Chociaż to większa tęsknota, większy żal, że ktoś został i myśli o nas i kocha.

Co oni dziś robią?... Płaczą zapewne wspominając wieczór przed rokiem. Dwanaście miesięcy, a ile zmian! Ja w Archangielsku, Staszek na Syberii, mama i Jontek w żałobie po nas.

Pamiętam ten wieczór andrzejek: wylewanie z wosku, palenie kartek... wróżby.

A jednak dziwne! Przecież to tylko zabawa, nikt się tym nie przejmuje, nikt nie wierzy, jednak Staszekowi wylał się z wosku wieniec cierniowy, a mnie jakieś mury. W kartkach spaliłam sieja i Andrzej... co za ironia!

Oficer, który mnie eskortował, nosi to imię.

Jeszcze wtedy nie byłam wciągnięta do naszej paczki, nie chowałam proklamacji, nie widywano mnie na wiecach. Uczyłam się, chcąc zdać maturę. A teraz?... Staszka za jego odezwy i działalność pędzą na Syberię, nawet nie wiem do jakiej miejscowości. Pożegnaliśmy się w cytadeli. Mnie rzuciły losy nad Dźwinę północną... Śniegi i śniegi, lasy, bagna. Dziki kraj.

Bieruzow mieszkanie nam wyszukał. Ja z Julka zajmujemy duży pokój przy rodzime Chołmaczowa, urzędnika z admiralicji. Olska mieszka u kupca Kirylicza. Podobno dobroduszni ludzie, namawiają Olską, aby sprzedawała ryby w ich sklepie. Pewno się zgodzi, bo... cóż ma robić?...

Ja niespodziewanie otrzymałam oferty na lekcje polskiego i francuskiego

89

języka. Przyjęłam. Praca ułatwi mi wygnanie. Choć przez kilka godzin zapomniałam o tęsknocie. Ale zdziwiła mnie ofiarność miejscowej inteligencji dla rewolucjonistki. Przeczuwam tu opiekę Bieruzowa, nikt mi jednak wyraźnie nie mówi, że te lekcje są z jego poleceń. On jest delikatny, mieszka w hotelu na wprost Chołmaczowów. Na szczęście bywa rzadko. Patrząc na niego przynajmniej minam sobie cytadelę. Julka go nie znosi. Straszne jest widmo niewoli! Od czasu aresztowania minęło trzy miesiące.

30 listopada

Już późno. Ja piszę, a Julka leży na łóżku i gwizdże. Jak ona może? Wiem zresztą, że nadrabia miną. Ona biedniejsza ode mnie, zostawiła rodzinę prawie w nędzy. Sama zarabiała na ich życie i teraz pozostali bez niej. To okropne! Julka wymawiała mi moje lekcje, ale dowiedziawszy się, że udzielam ich tylko w polskich domach, uspokoiła się. U Pogorskich (także zesłańcy) dają dwie

godziny francuskiego; u Stawiczów (inżynier-budowniczy) godzinę francuskiego i dwie godziny polskiego.

Pogorska mówiła, że chciałyby, abyśmy u niej mieszkały, ale mogliby z naszego powodu mieć przykrości, jesteśmy pod ścisłym nadzorem policyjnym. Bieruzow nad nami czuwa. Gniewa mnie jego argusowe oko, lecz nie szkodzi nam, przeciwnie, pomaga.

Chołmaczowowie dobrzy ludzie, dość prości, bez pretensji, nie mają dzieci, więc cieszą się nami w zabawny sposób i chcą nam dogodzić. Do niego co dzień przychodzą znajomi na karty, ale grają po drugiej stronie mieszkania. "Eudoksja Iwanowna", nasza gospodyni, wyprawiła ich tam mówiąc głośno, że tu będą przeszkadzali "Polaczkom rewolucjonerkom i dopieroż by Bieruzow nas zrugał". Mimo woli zaśmiałyśmy się z Julka, tak to zabawnie mówiła do swych gości w przekonaniu, że my śpimy.

Pada dziś gęsty śnieg, jakby chciał świat zasypać, takie niesłychane lecą płaty, równo, cicho. Ach, Boże! Jak u nas w Warszawie.

Co się ze mną dzieje?... Są chwile, że bez namysłu pozbawiłabym się życia. Ogarnia mnie już nie melancholia, ale rozpacz.

A śnieg wali i wali. Jak tam dźwięczą sanki na ulicach Warszawy? Na ratuszu teraz jedenasta. Niedziela, tłumy się kręcą, idą do kościołów. Mama z Jontkiem są u Kanoniczek.

Wolę nie myśleć o tym! Bpże, ile męki! Czy takie serdeczne tęsknoty ludzkie biegną do siebie przez ponurą dal? Czy spotykają się ze sobą, łącząc w mistycznym uśmiechu żale i gorycze?... Gdybyż wiedzieć!...

15 grudnia

je na papierze to

90

Nie pisałam dwa tygodnie, bo o czym?... Odnawiać jeszcze więcej boli.

A przy tym... coś ze mną dzieje się, czego pojąć umysłem dotąd nie mogę, hoje się zagłębiać w myślach, by nie odgadnąć prawdy.

Ludzie rodzą się na to, aby wiecznie walczyć, wieczną ze sobą prowadzić . arnpanię i zawsze rozwiązanie jest niejasne. Złe i dobre instynkty w duszy borykają się ze sobą, spychają wzajemnie, wygrażają sobie pięściami, szczerzą na się z?by, ale stanowczo żaden nie wygrywa. I ta walka trwa wiecznie, pabrze, jeśli siła ciężkości spoczywa w dobrych instynktach, źle jeśli w złych. Nie śpiam po nocach, słyszę, jak dmie wicher i wstrząsnę się nieraz, okropnie wstrząsnę na myśl, że jestem w Archangielsku. Staje przy mnie mara jakaś, gorsza od wygnania, czasem wolałabym kajdany jak te niepojęte uczucia.

17 grudnia

Julka mnie drażni swym badawczym wzrokiem, coś przeczuwa, o czym ja sama nie chcę wiedzieć.

Matuchno! Przyślij mi przez tysiące mil swe oczy błogosławiące, może one obronią mnie, może odwrócą nieszczęście, gorsze od wiecznej niewoli. Matuchno!

19 grudnia

Można jednak wytworzyć sobie cudną chwilę nawet w moich smutnych warunkach. Lecz chyba tylko tam, gdzie wchodzi muzyka.

Taką chwilę miałam dziś, przed zapaleniem lamp. Grałam trochę na rozklekotanym fortepianie Chołmaczowów, ale to mnie rozstroiło. Nakręciłam gramofon. Nie cierpiałam przedtem tego instrumentu, lecz pragnienie muzyki jest silniejsze nad uprzedzenia.

Gramofon grał arię Bacha. Zwykle wrzaskliwy, ten jeden utwór po prostu pieści. Rzewne, pełne intonacji tony płynęły w ciszę i mrok wieczorny, dźwięczną, zda się aksamitną harmonię.

W melodii tej arii jest coś dziwnego, jakaś prośba do samego Boga, jakiś żal drga na pojedynczych akordach i przejmująca skarga, i tęsknota, i ból. Na słodkich i spokojnych dźwiękach kładzie się gorzka rozpacz, odczuć się daje tragedia bezgraniczna. Słuchając, duch wznosi się hen! Na wyżyny, poza chmury i obłoki, gdzie białe skrzydła aniołów muskają złote struny harf eolskich. Siedziałam zagłębiona w fotelu, patrząc na świetlany pas pozostały po zniknięciu słońca. Dokoła kłębiły się ciemne obłoki nocne, tym jaskrawiej uwydatniając promienny szlak. Nie gorący, nie wesoły, nie nasz, ale dziwnie smętny, błyszczący suchym światłem jak zgaszona dusza człowieka. I zdawało mi się, że na tej jasności zjawiają się cienie uwypuklające me marzenia, powiem lepiej - wspomnienia. Okno Chołmaczowów było dla mnie jakby panoramą na świat mego minionego szczęścia. Miałam wrażenie, że mój duch wychodzi z ciała i płynie na tej jasności, płynie w dal siną łudząc się, że trafi na

91

światło gorętsze, bardziej świetlane, aż po długiej wędrówce z nadzieją j t nałem szczęścia trafia na zbitą masę czarnych chmur. I ginie w nich jak to CJ lec bez ratunku, nawet z radością, że cierpienia ustały.

A dokoła snuły się cienie, zapadał mrok.

Są chwile, że się nie czuje własnej istoty, nie czuje się ciała, brak wszelkiej realności, tylko duch potężnieje, staje się tak ogromny, że aż rozsadza warunki i otoczenia.

Czułam, że mój duch był tam, na świetlanym pasie, skąd mógł widzieć niebo Warszawy.

Przymknęłam oczy i ujrzałam obraz namalowany sercem, cieniowany tęsknotą. Oto w naszym mieszkaniu, w stołowym pokoju, przy lampie, siedzi mama. Siwe pasma włosów srebrzą się w blasku lampy. Oczy zaczerwienione od bezsenności, co ją trapi, i od łez. Przy niej klęczy Jontek. Tuli swą czar-niawą głowę do jej kolan i pociesza, i błaga o spokój. "Staszek - Cesia", te imiona mama i Jontek zdejmują sobie wzajemnie z ust. Obraz nagle zadrżał nn w oczach, zaczęły do źrenic napływać łzy.

I zmienił się. Widzę Staszka. Gdzieś w śniegach i lodach Syberii. Wzrok ma przygasły, bladą twarz. Myśli o nas i tęskni. Ale nie! Staszek nie traci otuchy! On kocha kraj i dumny jest z tego, że cierpi za ojczyznę.

Staszku! I ja chcę być silną, łączmy się myślami i nieśmy je wspólnie przez

obce kraje, do tej naszej drogiej matki, za którą cierpimy, i do naszej mamy i Jontka.

Nie chciałam oczu otworzyć, by nie prysnął czar, bałam się odetchnąć, by nie spłoszyć widzenia, tej halucynacji złudzeń.

Muzyka ustała, zaległa cisza, tylko igła na nutach gramofonu zaczęła syczeć przeciągle.

Pomyślałam, że tak się wszystko- na świecie kończy. Że jak wyczerpała się nuta, tak wyczerpują się ludzkie uczucia i duch ludzki w walce z przeciwnościami życia. Ale jak po zgaśnięciu melodii echo gra jeszcze, tak w człowieku jęczy ból, czasem wiekuiście.

Wstałam i znowu powróciłam życie instrumentowi, znowu grał arię Bacha. Gdybyż to i człowieka po agonii, po stracie wszystkich atomów życia duchowego jakaś ręka cudownie pobudzić mogła, ożywić, dotknięciem ocucić. Stałam przed oknem. Aria płynęła, płynęła ciągle, a na niebie wśród szarobiałych kłębow sterował srebrny sierp. Chował się za ciemne zwoje, wdziawał na się ciężkie futra chmur, czasem zrzucał z siebie te ciężary i kapryśnie przysłał się przezroczyś[^] gazą obłoczków. Złożyłam ręce i wpatrzona w jasny punkt szeptałam słowa modlitwy. Księżyc słyszał, rozumiał moją prośbę, niósł ją do Boga, każde słowo ceniował swymi obrotami. Patrzył mi wprost w twarz, jakby z życzliwym uśmiechem, albo z gniewem zasuwiał się za ciemny kłęb lub nagarniał na się szarą mgłę niepewności. Raz na mój szept gorący błysnął smugą brylantów, cisnął stos światła na mą głowę, aż twarz mi się rozjaśniła. Szepnęłam: Zrozumiałeś - odczułeś? Ale sierp znowu rozwiął błogą chwilę, schował się zupełnie.

Uklękłam wówczas i gorąco westchnęłam do Boga, z prośbą, niemal z łka-
92

schyliłam się aż do ziemi, błagając. Ujrzałam blask na podłodze. Sierp Ilielwu miał brylanty, złocił się nadzieją, otuchą. Wtem zadzwoniono w przed-
ook^oJu' t,

P Czar prysnął!

20 grudnia

Dziś był Bieruzow. Otworzył mi drzwi, jak wracałam z lekcji. Rozmawiałam / nim w salonie Chołmaczowów. Przyniósł mi paczkę numerów Kuriera Warszawskiego z ostatnich tygodni. Boże! Co za wrażenie! Wiadomości z Warszawy! Dziękowałam mu szczerze a on rzekł: "To taka drobnosc, a dla pani wesoło". Po polsku, choć łamane słowa, ale po polsku. Zdziwiona spojrzałam na niego, a on odrzekł: "Ja ucze się po waszemu, panno Cecyljo". Dotychczas mówił mi zawsze "Cecylia Kazimirowna". Taki miał dziwny wyraz w piwnych oczach, gdy ogarnął mnie nimi... Brrr! Oficer żandarmerii! Nie chcę o nim mówić. Idę czytać Kuriery. Skąd je dostał i... czemu sam nie wraca już do Warszawy?

21 grudnia

W kraju wre. Ciągłe aresztowania, ciągła walka o byt. Pochłonełam wiadomości, nawet wszystkie ogłoszenia. W nekrologach jest znajome nazwisko

studenta, zmarł nagle. Może samobójstwo? Chłopak był młody i zdrów.

22 grudnia

Pojutrze wigilia w Warszawie.

Radość w szczęśliwych rodzinach, płacz w wielu domach wśród nędzy. Ile niedoli na świecie! Ile łez płynie!

A na ulicach ruch, ciągły wzmożony ruch.

Przed rokiem wyjeżdżaliśmy wszyscy na święta do ciotki. Mama i Jontek wciąż mi są w myśli, i Staszek! Boże! On w ciężkich robotach. On! Staszek! Może to tylko straszny sen, mara? Wściekłość mnie ogarnia, rozwalilibym świat, byle wyrwać Staszka z Syberii. I nic nie mogę dla niego zrobić, nic. Przecież to gorsze od śmierci!

Julka mi mówi, że nie powinnam go żałować, bo on walczy za kraj, jest bohaterem. Ja to rozumiem, tylko sercem objąć nie mogę. Wszystko się we fflnie buntuje, sama do siebie czuję wstręt. Ja, co jestem o tyle mniej warta od Staszka, mam mniejszą karę. Ciągłe niby wyrzut gorzki stoi mi przed oczyma Postać brata zakutego w żelazach.

Julka inaczej na to patrzy, ona ma twardego charakter, nazywa mnie głupią Patriotką. Może to słuszne? Ale ja mam tylko mniej mężne serce od niej, a patriotyzm równie silny.

93

1

I mnie, mnie mogą ogarniać takie dziwne uczucia?... Takie sprzeczne • straszliwe?... Po wszystkim, co się stało ze Staszkiem, ja mogę patrzeć o' Bieruzowa z życzliwością? Dziękować mu za jego dobroć - zandarmskien?8 oficerowi?... To zgrzyt! To ironia!... A jednak cóż on winien?... Jest Rosjanem i na służbie. Mógłby naprawdę być złym, gdyby chciał i miał to w swe naturze. On jest uczciwy, coś ma w sobie łagodnego, pomimo dzikich ognJ w oczach. Wczoraj Julka patrząc przez okno zawołała nagle: "Bieruzow idźcie do nas, wiesz, Cesia, że to dziwny człowiek".

- Dlaczego? - spytałam.

- Ma w sobie coś, co bierze - odrzekła Julka. - Zauważ tylko jego oczy i straszne, i zarazem łagodzące.

Patrzyłam na nią zdumiona. Nie znosiła go przecież, skąd ta zmiana?

A Julka mówiła dalej.

- Albo jego brwi... zrosnięte jak czarne łuki.

- Prędzej jak nahajki - odpowiedziałam z gniewem. Rozdrażniły mnie zachwyty Julki.

Ona spojrzała na mnie i odrzekła spokojnie, ale ironicznie.

- Czego się dąsasz? Wiem, że ci się podoba "Andrej Andrejewicz", ja się nie dziwie, bo on jest typowy. Zupełnie do Bohuna podobny.

- Szkoda, że zandarm! - rzuciłam nerwowo.

- A szkoda! - westchnęła Julka.

Nic już nie odpowiedziałam, bo zadźwięczały ostrogi w przedpokoju. Pознаłam kroki Andrzeja. Zastukał do nas.

- Nie można! - zawołałam.
- Przepraszam!
- Cesia! On po polsku mówi - krzyknęła Julka.
- To i cóż!

Julka skoczyła do drzwi, pobiegła za nim do salonu. Słyszałam, jak rozmawiali. Ja szarpałam chustkę na sobie. Gniew mnie porywał niepojęty. Po kilkunastu minutach weszła Julka, była zmieniona.

- Co się stało?! - zawołałam.

Nie odpowiedziała ani słowa. Podeszła do okna i oparłszy czoło na szybie stała cicho, jakby zgnębiona. Lek mnie przejął straszny. Podbiegłam do niej i szarpnęłam za ramie.

- Julka! Nie masz prawa ukrywać przede mną nieszczęścia! Mów, co się stało?!

- Nic się nie stało złe, tylko Bieruzow to dzielny i zacny człowiek. Powinnyśmy go, Cesi, bardzo szanować.

- Julka, co to?!...

Wzruszyła ramionami.

- Czego tak zbladłaś? Ty, Cesia, nigdy rozumu nie będziesz miała. Powtarzam ci, że Andrzeja powinnyśmy bardzo cenić - to nasz dobry duch.

- I to ty mówisz o nim? Ty?...

Julka wyprostowała się dumnie.

- Potrafię ocenić duszę człowieka nawet we wrogu - odrzekła z mocą.

94

więcej nie dowiedziałam się. Julka wyszła zaraz do Pogorskich, Hzie młodszym dzieciom udziela początków. Uległa moim namowom, gdyż f czynność źle na nią działała.

23 grudnia

Dziś była trudna lekcja z Anią Stawiczówną. Musiałam panować nad sobą, by nie rozplakać się. Taki mnie żal dławi, tak mi czarno i pusto. Pusto bezbrzeżnie.

Olska szczęśliwa. Sprzedaje ryby u Kirylicza i mówi, że nie martwi się, bo i to minie. Obiecuje sobie zarobić przez te dziesięć lat wygnania i jest pewna, że miną one jak jedna doba. Jak ona może tak filozofować?... Nie pojmuję tego spokoju! Może to tylko brawura?...

Rodziny prawie nie ma, mąż stracony, więc już do kraju nawet nie tęskni.

Czy tak można zagłuszyć w sobie uczucia? Nie, jeśli Olska chce nas pocieszać tą swoją filozofią, to się myli. Mnie tylko napawa goryczą.

24 grudnia

Dziś wigilia. Dziś mama, Jontek, kraj cały święci ten dzień uroczysty.

Skowyczy we mnie wszystko, co czuć potrafi, serce struga ostrym nożem wspomnień. Taki szalony zamęt w mózgu. Takie młoty, obuchy walą, miażdżą w duszy każdą jej cząstkę. A Staszek zakuty! Żeby mu Bóg na ten dzień odebrał siłę wspomnień! Niechby nie pamiętał, że to wigilia! Niechby wpadł

w jakiś letarg, cudowny sen, który by go przeniósł do swoich duchem. Niech-

by nie czuł tęsknoty. Boże, zlituj się nad nim, nad mamą i Jontkiem. Zlituj się nad tymi co dziś cierpią, nad wygnańcami z kraju. Ześlij im ukojenie.

24 grudnia, dwunasta w nocy

Okropnego doznałam wstrząśnienia dziś, po powrocie od Pogorskich. Oni obchodzą święta starego stylu, więc tylko rozmawialiśmy o kraju aż do zmroku. Potem wyszłam chcąc u siebie spędzić wieczór. Julka poszła do Olskiej.

W domu otworzyła mi drzwi Eudoksja Iwanowna z jakimś zagadkowym uśmiechem na twarzy. Gdy weszłam do pokoju, zdrętwiałam z wrażenia. Na środku stała choinka, mała, zgrabna, na wysokim słupku umocowana. Służąca Nadia kończyła zapalać świece. Nie mogłam pojąć, czy to sen, czy to jawa. Tak plastycznie uprzytomniło mi to drzewko kraj mój i rodzinę. Łzy spłynęły mi z oczu, nie mogłam wypowiedzieć słowa. Upadłam na kolana. Przed drzewkiem i załkałam boleśnie.

Nadia przedtem wybiegła z pokoju. Musiałam długo płakać, bo nareszcie

Chołmaczowowa zastukała do drzwi. Chciałam jej dziękować za niespodziewaną, ale ona rzekła: at~

- To nie ja, to nie ja, to Bieruzow.

I opowiedziała mi, jak on sam choinkę ustawił, świeczkami ubrał i paorowym łańcuchem, a złote orzechy i te "konfiety" to zawieszał, to zdejmo-
wot bo się bał, żeby się panna Cecylia nie obraziła.

Wzruszyła mnie do głębi duszy dobroć tego człowieka. Stałam przy drzewku niema z radości i różnych stłoczonych ze sobą uczuć. Nagle dojrzałam co białego na słupku.

Krzyknęłam strasznie, był to list od mamy! Stempel warszawski i adres napisany ręką matuchny. Nie pytając więcej o nic, rozszarpałam kopertę i kłęcząc przed choinką rozwinęłam list. Wypadły opłatki. Co za szczęście! Czytałam te drogie litery połykając je z chciwością nadludzką.

Mama i Jontek pisali na czterech arkuszach, maczkiem. Dodają mi otuchy, pocieszają, jak słodko mama przemawia i o Staszku mówi z taką boską rezygnacją. Tyle miłości i poświęcenia w jej kochanych słowach. Takie musiały być dawniejsze matki chrześcijańskie, oddające dzieci na arenę męczeństwa. Jontek pisze o sobie, że się uczy pilnie i w następnym roku skończy gimnazjum. Daj mu Boże szczęście i hart, aby mama miała z niego pociechę. Droga matuchna! Ile ją kosztują te słowa nadziei, które mi przysyła. Pisze tak: "Przetrwaj lata niedoli, bądź mężną a wiary nie zgub, bo to skarb nasz najcenniejszy. Gdy Bóg pozwoli ci powrócić po dziesięciu latach, będziesz kobietą trzydziesto-
paroletnią, więc jeszcze młodą i pełną sił; jeszcze kraj znajdzie w tobie zacną obywatelkę i społeczniczkę. A ja modłę się gorąco, bym chwili twego powrotu doczekać mogła i uściskać cię po dniach rozłąki".

Na zakończenie Jontek unosi się nad dobrocią Bieruzowa. On podobno pisał do mamy pozwalając na korespondencję ze mną przez jego ręce. Jaki to szlachetny charakter! Jaka delikatność tego człowieka. Sam się nawet nie pokazał tego wieczoru. Są jednak zacne dusze w ludziach, którzy nas skądinąd

przerazają. Nie domyślamy się często gdzie jest prawość, nawet słodycz charakteru. Bieruzow od początku opiekował się nami serdecznie, strzegł od wszelkich przykrości. I tu na każdym kroku odczuwam jego dobroć.

Gdy nadeszła Julka z Olską, spłakałyśmy się wszystkie przy choince.

W ścianach rosyjskiego domu w Archangielsku rozbrzmiała pieśń polska o narodzinach boskiego dzieciątka. Dzieliliśmy się opłatkiem a łzy żalu jedna przed drugą skrywała. Dziewięć takich wieczorów musimy jeszcze spędzić w tym północnym kącie. Czy przeżyjemy?... Może Olska dobrze radzi, żeby najmniej myśleć o przyszłości, bo to niweczy siły życiowe a przecież powinniśmy dbać o to, by zachować zdrowie dla kraju, gdy doń powrócimy. Trudno o taką trzeźwość, trzeba ją posiadać, wyrobić się nie da.

Tęsknota i beznadziejność wyżera istotę człowieka w barbarzyński sposób.

Czytałam listy mamy Julce i Olskiej i one się spłakały nad nim, a Julka mi powiedziała z zapalem: - "A widzisz Cesia? Mówiłam prawdę. Bieruzowa trzeba cenić".

pytałam ją, czym Bieruzow ją zjednał wówczas w salonie; odrzekła bez "jflysłu:

_- Swą szlachetnością. Dowiedział się, że ma być u nas rewizja, policję dział przed domem i ostrzegwał nas. Jest tu jakiś oficer z admiralicji, który nie f hi Andrzeja i nas śledzi, prawdopodobnie zechce nam dokuczać przez złość dla Bieruzowa.

Zaniepokoiłam się tym, a Olska rzekła:

_- Ta opieka Bieruzowa nad nami jest podejrzana. Tu wchodzi w grę coś innego niż prosta uczciwość. Ja trochę domyślam się.

Mię pozwoliłam jej dokończyć, przeczulałam dalszy ciąg jej słów.

Boże mój! Czyżby to była prawda?... Nie, nie, jak najdalej z podobnymi myślami! Niszczyć je zawzięcie jak gady kąśliwe, by się nie rozmnażały. Przesiedziałyśmy we trzy aż do tej chwili. Olska przyniosła jakichś rybek i herbaty. Urządziła nam wieczerzę. Bawiła nas krzątaniem się przy spirytusowej maszynie. Teraz Olska śpi na moim łóżku, Julka drzemie i nuci kolędy.

Cisza wielka, wszystko dokoła śpi. Czy wszystko? Uczucia chyba nie znają snu. One błędzą stale w atmosferze, choć nie pobudzane umysłem. Dusza ludzka nie zna snu i serce nie zna, ono bije zawsze. Nad uśpionym ciałem błędzi moc uczuć z serca wypłyniętych, błędzi i gna w strony ukochane przez jaźń duchową i dosięga serdecznych strun i gra na nich. Tak, uczucia nie śpią. Tworzą sny, tworzą mary, abstrakcyjnie pływają w przestworzu dopóki umysł ocknięty nie zgromadzi ich w jednolitą całość.

Na ulicy gdzieś słychać szczekanie psa. Jak przed rokiem na wsi u ciotki, tylko świstka nocnego stróża nie usłyszę tutaj.

Chciałabym zamienić się w niedźwiedzia i zasnąć twardo na tę zimę mego życia; obudzić się, aż kiedy znowu słońce wzejdzie... Za dziesięć lat. Czy ja spokój odzyskam? Czy ta newroza jest u mnie czasem przejściowym?... Czy będzie trwać?... To byłoby okrutne!

Karzę siebie za taką słabość i brak odwagi. Mama staruszka już i tyle ma hartu w duszy. A ja mając dwadzieścia parę lat chcę jakiegoś zaniku, byle nie cierpieć? Chcę doczekać słońca bez męki?... Egoistką jestem nikczemną!

Moja dola jest jeszcze promienną w porównaniu z nędzą Staszka. On listu od mamy nie otrzymał, on cierpi najwięcej. A ja chcę spać, byle nie czuć niewoli?...

Wstydzę się za siebie!

26 grudnia

Drugi dzień świąt. Zagłębiam się w ponure myśli, aby choć odrobinę zbliżyć się w cierpieniu do cierpień Staszka. Ta choinka i list mamy to dla mnie gorzki wyrzut. Czemuż ja tego przesłać nie mogę Staszкови?...

96

97

27 grudnia

t

a"

Coś nowego! Dręczy mnie jakaś kolizja niepojęta uczuć, wrażeń szających. Obawa własnego cienia i najbliższej przyszłości.

Czy można stanowczo zawładnąć nad swymi myślami i uczuciami?..

Nie! Największa siła woli i gmach postanowień nic nie znaczą wobec t potęgi wyższej ponad wszystko, co nam je nasuwa. •*

Serce jest władcą ducha ludzkiego, ono zbiera uczucia i rozprasza je. A s ła, energia?... Jest dla pobudzania mięśni, może i umysłu? Lecz nie dla uczuć.

Może być energia czynu, a m o c ducha.

Więc się nie obronię? To mnie przeraża jak jeszcze jeden bardzo ostry m}Ot mego nieszczęścia.

1 stycznia

Nowy Rok! Smutne niesie nam horoskopy. Nam wygnankom. Otrząsam się z nawału ciężkich myśli. Tak dłużej trwać nie może. Poza godzinami lekcji siedzę u siebie i rysuję. Z kart pocztowych z widokami Warszawy, które znalazłam u Pogorskich, przerysowuję na duże kartony. Mam już plac Teatralny z gmachem teatru i Łazienkowski pałac. Wszystko to teraz pokryte śniegiem. Rysuję z myśli różne zakątki naszego mieszkania, powiększam fotografie moich najdroższych. Tęsknoty to nie osłabi, lecz zabija czas i przenosi do swoich. Czytam dość wiele. Pogorscy mają polskie książki.

Zwalczam w sobie tę przeogromną nudę, która zdaje się iść do mnie przez stopy i pola śniegiem obrosłe. Jęczy mi głuchy dzwon w mózgu i tak kołacze, aż ból fizyczny odczuwam. I myślę. Myślę nad tym, po co w duszy człowieka żyje uczucie patriotyzmu? Po co ta świętość poczyna się jeszcze w dziecięcym łonie i rośnie, i potężnieje? Po co? By jeden wybuch tego ognia, jeden błysk,

wyszły spoza obowiązkowej powłoki niweczył cały płód? Takiej potęgi nie można w sobie zamknąć, bo gdy jest potęga - musi być zapal, a zapal jest głośny i jasny, daje się widzieć. Taki cichy, beczynny patriotyzm cóż wart? Może go nie być równie dobrze. Jest praktyczniejszy. Zapewne można z nim żyć dostatnio, nawet tłusćcieć, ale to tylko wegetacja, to nie czyn.

t

4 stycznia

Była dziś u nas rewizja. Oficer w admiralicji działa na naszą niekorzyść. Ale Bieruzow był na kilka minut przedtem i schował w kieszeni szynela mój dziennik oraz listy z Warszawy. Kuriery nam zabrano. Bieruzow oddając mi paczkę ocalonych papierów rzekł po polsku: "Niech się pani nie boi, ja pilnuję, krzywdy wam nie zrobią". Tak przy tym dziwnie patrzy. Boję się tych oczu.

5 stycznia

riale prześladują mnie oczy Andrzeja. To jakieś przekleństwo! Co się ze mną dzieje? Co się we mnie poczyna?...

Ach te oczy!

podła jestem! Podła!

25 stycznia

Nie mogę pisać teraz. I pragnę tych zwierzeń serdecznych, i odpycha mnie od nich. Strach! Mara! Boję się spojrzeć w oczy tej bestii, która już we mnie rozwiemożnia się, którą już odczuwam. Ciężarem osiadła na mym sercu, kaleczy je do krwi. Julka milczy, rozumie wszystko, ale milczy. Och! lepiej by mnie wybiła!

Od mamy i Jontka znowu były długie, długie listy.

Matuchno!

30 stycznia

Czy wy wiecie - co to jest wygnanie i ta długa zima na północy? Nie wie tego ten, kto szczęśliwy. Ale niedoła nigdy sama nie chodzi, zawsze w parze, zawsze wlecze za sobą inną, czasem gorszą jeszcze i okrutniejszą. I ze mną poszły dwie. Jedna żre duszę, druga serce. Piekielne twory! Zima na wygnaniu, w Archangielsku. Te noce nieskończone, mróz albo monotonne mamrotanie wichru! Coś wówczas za włosy porywa, rozcząstkowuje nerwy.

Bezmiar, bezmiar smutku!

Noce najgorsze! Przewalają się leniwie, łążą ciężkim cielskiem po duszy ludzkiej i omaszczają rozpaczą. Wolno kapią godziny brzemiennie w tęsknotę i straszną niemoc. A wiatr suwa się po szybach okien, tak ponury.

Ten wiatr Bóg wie skąd przywędrował do Archangielska. Tłucze w okna - a mówić nie umie. Może on był w Warszawie? Może wiał tam, na ulicach naszych? Może szeleścił nagimi gałęziami drzew w Łazienkowskim parku? Może w Wilanowie buszował, na Wiśle ze śniegiem się borykał? A potem... Potem zajrzawszy do dziedzińców cytadeli jęknął z żalu i ruszył odwiedzić tych, co płaczą, co tęsknią wśród śniegów północy. Odwiedzić zesłańców. Chodź, wietrze, chodź! Może otuchę niesiesz? Może w twym szumie usłyszę

jeszcze nie zagubiony po drodze, jesienny bełkot fal wiślanych? Może niesiesz ostatni zew katedralnych dzwonów naszych? Może płacz dzieci, którym zabrano rodziców. Wietrze mów, wiatorku! Dotknij mego czoła i wygraj smętną melodię zdjętą z bruku Warszawy. Niech ja się nią upoję.

Wietrze, dotknij mej skroni rozpalonej tęsknotą. Niech ona upieści się twym głaskaniem, niech mam ulgę w myśli, że to nasz powiew rodzinny muska mnie łagodnie i tak słodko.

98

99

... . ""^ , ^1 UM ___ "? , v / wiem kwie
___ ", oiv " miai, prawie w kwiatach, niby w szumiącej fali jezior
gdzie przeglądają się obłoki. Nagarniam na siebie snop traw i piję icri Iz }'
wość. Błękitne niezapominajki otwierają szeroko swe ciekawe źrenice, patrz,
na mnie i szemrzą swą wiekuiącą pieśń wiosenną, którą motyle na skrzydłach
roznoszą. Słodycz miodowa sący się spod traw, spod kwiatów, idzie ona
wonna i ożywcza słodycz ziemi naszej drogiej, słodycz upoista.

A taka bezbrzeźnie tęskna.

A taka promienna.

Idzie ona za nami do murów Warszawy, przyjęta radośnie przez serca, co ją kochają. Ochładza czoła uznojone, rozszerza piersi ściśnięte miejską dusznością.

A zwie się tam - odczuciem ziemi.

Idzie ona i dalej śladem swych dzieci.

Idzie do pustyń upalnych, za ocean, gdzie polskie siekiery pracują, dla chleba niweczając bory dziewicze.

A zwie się tam - nostalgią.

Idzie do ludnych miast obcych, gdzie w cuchnących tłoczniach fabrycznych, wśród dymu i sadzy, wsącza się w dusze wychudłych robotników, dążących po pracę z ubogich zagonów ojczystych.

A zwie się tam - nostalgią.

Idzie ta słodycz nasza ukochana do czarnych kopalń, gdzie w czeluściach czarnych korytarzy ociekając potem, ze zgiętymi grzbietami, ciągną mozół przestraszny tłumy na pół żywych istot z gleby swej za bytem tam przygnanych.

I tam zwie się - nostalgią.

Idzie ona do nas, zesłańców za miłość dla Niej, do pustyń śnieżnych, do robót ciężkich, do wątłych ciał biedaków opasanych żelazami, z brzemieniem taczek za sobą.

A zwie się tu już nie tylko nostalgią, ale rozpaczliwą tęsknotą... i bezkresną miłością.

O, łąki nasze złotogłowiem kwiecica usiane! Tak was Kocham!

A tu śnieg! śnieg! śnieg!

Mróz ścina oddech i lodem osiada na duszy.

Tylko serca nie zgasi.
Ono żyje, tętni i kipi żywą krwią.

*

"• 2 lutego

Dziś niedziela. Był u nas Bieruzow, całe południe. Siedziałyśmy z Julk[^] w salonie, a on opowiadał o sobie. Urodził się i wychował w głębokiej Rosji, i tam wstąpił do żandarmerii. Mówił, że dopiero w Warszawie, gdzie go przeniesiono, odczuł całą okropność swego stanowiska. Chciał już wystąpić, gdy oddano mu nas w opiekę. Wzbraniał się, nie chciał, ale po ostatnim śledztwie, na którym był obecny, zdecydował się od razu.

100

Ja bał się, żeby wam do konwoju nie dali jakiego grubego office-tak już wolał sam. No, bo mnie i pociągnęło za wami strasznie, prosto za rce chwyciło, a tu myślę takie delikatne panienki, a Boże broń czego?... Ot, s już by nie dopuścił krzywdy".

Mówił tak patrząc swymi przepaścistymi oczyma na zamglone od mrozu nknno i wolnym ruchem gładząc brodę.

Jakaś melancholia była w całej jego postaci, przygnębienie odcinające się dziwnie od jego energicznych rysów.

Siedziałam w kącie staroświeckiej sofy, otulona w szalu i patrzyłam na njego. Patrzyłam, jak przykuta, a zupełnie bezwolnie. Rozbudził mnie szyderczy głos Julki; mówiła do niego:

- Czemuż pan do Warszawy nie wraca? Przecież panu nie kazali ciągle nas pilnować.

- Nie, nie kazali - odrzekł cicho po długiej chwili.

- To czego pan tu siedzi?...

On spojrzał na nią spokojnie, bez uśmiechu i rzekł jakby zdziwiony.

- Panna Julia to w i d n o tylko co narodziła się.

Tyle było prostoty i szczerości w tych jego słowach, że Julka, zwykle obraźliwa, tym razem uśmiechnęła się łagodnie.

Mnie jakiś skurcz ścisnął serce.

- Oho! Nie wiadomo kto z nas głupszy dzieciak - zażartowała Julka.

- Głupszy to może ja, ale wy na pewno większe d i t i a ode mnie.

- odrzekł Andrzej.

- Dlaczego?...

- No bo jakże! Nawet i tego nie rozumiecie, czego ja tu siedzę; a jaz nie chodzę w masce.

Wstał i zaczął się żegnać. Do mnie zwrócił się ze słowami:

- A panna Cecylia to milczy i milczy, nie łaskawa na mnie. Boże mój!

Duże jego oczy zaszyły powłoką smutku. Nie chciałam widzieć i... jednak widziałam. Powtórzę za nim: Boże mój! Ale dodam! ratuj mnie!

5 lutego

Nie spiam nocami. Mordują mnie przeróżne widziadła, okropne, podłe,

lecz i... takie słodkie. Im są słodsze, tym podlejsze, im rozkoszniejsze, tym śmielsze. Z głowy mej wypływają strugi myśli obłądnych, wprost czasem tyranicznych. I pełzną! Do najtajniejszych skrytek serca. Po złodziejsku się do niego skradają, chcąc mu wyzreć tajemnicę i może zbecześcić. Bo myśl z uczuciem nie zawsze jest zgodna. Myśl jest już odruchem rozumu. A rozum to wielki pan, głupszy lub mądrzejszy, ale zawsze wyrachowany, sztywny; umiejący zatrzymać się zrećźnie na progu, gdy widzi, że poza nim jest nieodpowiedni teren dla jego dostojnych nóg. Umiejący nie wyciągnąć ręki do skaleczonego biedaka, nie dotknąć łachmanów żebraczych, aby nie psuć sobie

101

spokoju i nie powalać rąk. A uczucie, to proste pacholę wieśniacze, o uf jasnych źrenicach i pełnej piersi dobroczynnych tchnień. Ono swobodnie 'H w przestwór gnane tęsknotą, zanurza się w kwieciu, kłosa zgarnia na ^ głowę, tuli do się wszystko, co biedne, co łaknie. Ono brodzi nieustraszrT^ stopą wśród lasów ciemnych i ciernistych, wśród bagnisk nieprzebyty v? wskroś płaczących lian niedoli. Wciąż dąży do jakiejś wizji urojonej i przeczu tej, która stać się może ukochaniem jego, pulsem jego życia. I gdy dosięgn, nareszcie, nie zatrzyma się na progu. Choćby ten próg nabity był ostrym ćwiekami, choćby go poranił, pacholę ufne szczęśliwe stąpa śmiało, zwycięsko idzie naprzód i osiąga marę lub cudną prawdę.

Uczucie dotknie się najbrudniejszej istoty, gdy widzi, że ona cierpi, a nawet gdy wprost intuicyjnie przeczuje w niej coś, co nie mówi, nie błyszczy, ale jest żyje i odczuć się daje. Wszystko, co odczuć się daje, warte jest odczucia wszystko, co intuicyjnie odgadujemy, ma w sobie moc. Bierności nie odczuujemy - chyba w ten sposób jak kamień, gdy go usuwamy z drogi. Ale i bierność ma swą filozofię.

Nie być. Może to największa prawda życiowa? Może w tym koncentrują się wszystkie rozумы i przemyślenia, przetrwania najistotniejszych dogmatów. Może to jest właśnie zdobycie wczehwiedzy i wszechrozumienia ludzkości?

Nie być.

Kto sobie tak powie i tak trwa, ten jednak zdobył jakąś prawdę i ona mu mówi, że walka - to nicość, że praca - to nędza, że ideał to złuda, że myśl - to strata czasu, a uczucia - miraż, a rozum - głupota.

I gdy dojdzie do takiej syntezy, oczywiście samą siłą zdobytych faktów, popada w bierność, trwa w niej i nawet rozkoszuje się nią.

Ale czy pozbywa się również ironii? Czy też ona zostaje w popielisku jego idei i przez nią patrzy na ludzkość borykającą się, wznoszącą i ginącą ze śmiechem szyderczym, jakby mówił: "kręćcie karki i was przegryzie rdza mojej filozofii, i wy osiadzicie na mieliźnie bierności, bez pragnień zepchnięcia si? z niej".

Nie, jeśli absolutna bierność więc i pozbawiona ironii. To stołek, przed

którym fikają kozły, tańczą, płaczą, kołki na nim ociosują, siadają nań, rzucają w kąt, dywanami przykrywają, rozkładają na nim drogocenne dzieła naukowe i dzieła sztuki, ryby skrobą, a on nic, zawsze ten sam - niemy stołek.

Więc cóż jest bierność? Największa mądrość czy najgłębsza głupota? To coś trzeciego, całkiem odrębnego, to stoi po środku mądrości i głupoty zażywiane sokami jednej i drugiej. A znowu jeżeli bierność - więc nie może być odrębną? To jest rodzaj nijaki. Daleko odbiegłam od uczucia, a przecież bodaj ono czyż nie jest również w pewnych warunkach zbliżone do bierności. Nie rzeczowo - ale podobieństwem środowiska. Bo i uczucie to wytwór zasilany w równej mierze potężnym źródłem największej mądrości i żyłą pędzącą muł z dna głupoty.

Więc moje uczucia?

Och! Nie mówić o nich, nie mówić!

g lutego

Staram się zagłuszyć w sobie wszystko, co czuję i myślę. Chcę być głazem. c? być ~- Diernością.-

Dzień za dniem przechodzi bez różnicy zewnętrznej. Co dzień śniadanie, śniadanie, kolacja i znowu śniadanie, obiad, kolacja. Odbywam lekcje, rysuję • czytam. Zaniechałam wstępowania do kościoła, bo chłodna cisza panująca tam i stygmat świątyni przenosi mnie do Warszawy, a przy tym budzi rozpacz. Rozpacz mego obecnego istnienia, mej targaniny wewnętrznej, którą chcę zadławić doszczętnie.

Z Julka rozmawiamy ostrożnie, bojąc się naruszyć jakiej struny bolesnej dla mnie. Za to chodzę często do Olskiej. Patrzą, jak ona waży ryby, jak je układa i mówi bez przerwy. O czym mówi?... O kundmanach Kirylicza, o gatunkach ryb i w ogóle towarów, a zarazem o naszej tu podróży, o cytadeli, o Warszawie. Przeskakuje z tematu wielkiego na temat płaski jak wiewiórka z niebotycznego dębu na śmietnik. I tak samo jak wiewiórka gryzie orzechy najgłębszych zagadnień, z filozofią ostrych zębów jak i te orzechy z półki Kirylicza, które wciąż miażdży w ustach. Płytkość wieje od tej kobiety drażniąca nerwy. A pomimo to, gdy siedzę u niej, lżej mi jest, bo rozmyślając nad nią i badając ją zapominam o tym, co nurtuje własną duszę. Z Julka Olską się zawsze kłóci, a na mnie mówi, że "zamarynowana w smutku". Wyrażenie iście kupczychy rybnej, ale wybaczam jej, bo każdy na swój sposób biedę znosi.

Zresztą Olska, to z gruntu dobra dusza, a że prosta i bezuczuciowa, to może właśnie dogmat jej szczęścia.

Oto jest już dobry typ bierności.

22 lutego

Przeżywałam dni zmagania się straszliwych, jak bym błądziła po puszczy, gdzie czyha tylko niebezpieczeństwo. Na ziemi gąszcz splatany i dzikie bestie, na drzewach kąśliwe węże truciele. Żadnego wyjścia z tej otchłani poczochnych wrażeń, z tej masakrowanej niemiłosiernie gehenny uczuć. Puszcza nieszczęścia stoi przede mną otworem. Zieje z niej do mnie parzący war jak

z huty piekielnej, słyszę kłapanie wilczych kłów na mnie ostrzających się. Zamykam oczy, zatykam uszy i nic nie pomaga. Puszcza przeraża mnie, zbliża się nieubłagana, by mnie pochłonać. Nie mam siły, by się bronić i już się... nie obronię.

Każdy nerw, każda żyłka krzyczy we mnie protestem, a ten żar zabijający ciągnie przemocą niesłychaną i wchłania mnie wolno po atomie zda się, ale stale, ale okrutnie.

Wylałam dziś przez sen, konwulsyjnie płakałam. Zbudziła mnie przerażona Julka. Podbiegła do mnie.

- Co ci to, Cesia? Dziecko, cicho!

102

103

Jeszcze drżąca, prawie bezprzytomna ze wzburzenia, wysunęłam z łóżka i runęłam do nóg Julki. Za to jedno słowo - dziecko - za ten ied ^ dźwięk! Całowałam jej ręce, łzami je oblewając. I skarżyłam się jękliwie i b} - *1 gałam o ratunek. Czułam jak przez mgłę, że się zdradzam, ale potoku skar" wstrzymać nie byłam w stanie. Musiałam jednak coś wypowiedzieć strasznego bo Julka zamilkła, tylko tuliła mnie mocniej i łyzy jej ciekły na mą głowę. Tuliła mnie jak matka i ja się do niej garnęłam jak do swej matuchny. Ułożyła mnie łagodnie na pościeli, ale już zasnąć nie mogłam.

Mój sen stał mi ciągle krwawą łuną w oczach.

Byłam wśród zesłańców; w kopalniach Nerczyriskich, widziałam Staszka ale jak?... Patrzył na mnie karcącymi oczyma i wskazując mnie innym, mówił z goryczą.

- "Patrzcie! Oto wyrodna córka, Polka, patriotka, a w sercu nosi zmiję i hoduje ją, zamiast zadławić, zanim wyrosła. Patrzcie w jej duszę! Jakie się tam potwory lęgną, widzicie jej uczucia spodłone, w bezwstydzie unurzane! Patrzcie, to Polka!"

Staszek tak mówił a oni wszyscy okuci w żelazach spoglądali na mnie ze smutkiem bolesnym i łyzy im padały na szare więzienne sukmany. Stałam jak przed własnym szafotem, z głową zwieszoną na piersiach. Rzuciłam się do nich, nogi im całowałam, bo na tych stopach odczułam zebrany pył nieszczęść ojczyzny. O litość ich błagałam. "Nie potępiajcie mnie, jam niewinna; ten gad wylągł się bezwiednie w moim sercu. Ono kochało tylko ojczyznę i za nią cierpiało. A ta nowa jasność zgrzytem mnie przejęła..." Staszek podniósł nade mną przeklinającym ruchem ramiona.

"Ona tę ohydę jasnością nazywa! Potępiona, potępiona!"

I nie było dla mnie ratunku, nie było litości. Przeklinali mnie bracia, mnie - wygnankę, taką jak oni.

Wołałam matki, ale nie przyszła, i ona mnie przeklina!

Wtedy zaczęłam wyć z bólu, rozpaczy, co mi jak hiena wyżerała serce.

Przeraźliwy sen. Tragiczny sen.

Na drugi dzień byłam chora, miałam gorączkę. Julka nie puściła mnie z domu. Ale nie leżałam. Tłukłam się po pokoju jak zwierzę w klatce, chciałam samą siebie gryźć, by fizycznym bólem zagłuszyć cierpienia duszy. Julka mnie łagodziła, przemawiała do mnie serdecznie, ale to nie pomogło. O tym, co bolało mnie w istocie, milczałyśmy obie.

Po obiedzie, którego nie jadłam, zastukano do drzwi. Weszła Chołmaczowa mówiąc, że przyszedł Afidrzej.

Zadrzałam, musiałam zmienić się na twarzy, bo poczciwa ta kobieta zaczęła się mną troszczyć i radziła wezwać doktora. Nareszcie wyszła, Julka za nią. Słyszałam głos Andrzeja. I on o doktorze mówił. Słuchałam z napięciem troskliwych jego słów, chłonełam w siebie głos niski a smętny, jakby zgnieciony teraz. Nie wiem, jak długo to trwało, tylko uniesiona byłam w zaświaty. Archangielsk, wygnanie, cała przykra jawa zapadła się gdzieś bez śladu. Brodziłam w pysznym gaju róż, obficie zroszonych rosą słoneczną. Słuchałam, jak

vy szepcą tym niskim, smętym, jakby zgniecionym głosem. Taki płynął oj, taka upoista cisza i... ten głos.

"r Aż nagle, dźwięk ostróg w przedpokoju, głos żalorny, ale już inny, już zbyt wyraźny.

_ To ja będę czekał. Jakby, Boże broń, gorzej...

_ Dobrze, zawiadomię - odrzekła Julka.

Żegnają się, szcęk drzewi. Wyszedł. Z piorunową szybkością i mocą powrócił znów do myśli mych Archangielsk, Nerczyńsk, wygnanie, przeklinający brat i--- oficer żandarmerii.

Spazmatycznie trzęsłam się, szarpałam jak w ataku wścieklizny. Julka weszła i bez słowa położyła swą dłoń na mej głowie.

Nie mówiłyśmy do siebie nic.

25 lutego

Miałam dziś list od mamy i Jontka. Nie domyślasz się, mamó, co się ze mną dzieje. Nie trzeba, żebyś wiedziała. Ja jestem zbrodniarką.

Andrzej przyniósł listy. Nie było nikogo prócz mnie. Oddał mi paczkę i spytał o moje zdrowie. Długo patrzył na moje podkrążone oczy, na bladość moją i wahał się. Chciał coś mówić, ale się wahał.

Ja zresztą prędko skończyłam tę chwilę żegnając się. Ucałował moją rękę w milczeniu. Żar, żar jego ust. Spuściłam głowę i stałam jak po wymierzonym policzku, bo mi ten pocałunek odjął władzę nad sobą. I przeraził, i wstrząsnął, i krew napędził do serca. On stał także. Nie wiem, gdzie nasze oczy błędziły, ale musiały się spotkać w jakiejś przestrzeni i zatonać w sobie. Odczuwałam wulkan jego żrenic, choć nie plastycznie. Znikł jego mundur, znikło jego stanowisko, pozostał tylko on sam, jego oczy i dusza dziwnie jasna, dziwnie promienna, która mnie brała w siebie żywiołową mocą.

Ja pierwsza się ocknęłam. Znowu Nerczyńsk! Odeszłam.

Widziałam go, jak szedł przez ulicę. Głowę miał zwieszoną, chód ciężki.

i

28 lutego

Człowiek to bardzo słabe i ułomne stworzenie. Nie jest w możności za-
trzymania fali swych uczuć, gdy ta rośnie, nie zdoła skierować umysłu na inny
brzeg, gdy ten pędzi wprost na skały.

Nędzny taki byt, bezwolny.

Ja byłam silna, miałam hart. Gdzie się podział?...

Znikł, znikł. Tylko uczucia rosna i już są przeogromne, mocarze.

Byłam w kościele. W bocznej nawie klęczałam. Msza się skończyła i cisza
wionęła taka przeuroczysta. Pogaszono światła. Stuk zamykanych drzwi od
zakrystii uderzył ostro w sklepienie, rozbił się tam i echem przypadł do murów.

104

105

Zatuliłam się w kołnierz z futra, twarz schowałam w mufkę i siedział
cicho z natłokiem myśli, które tu jakoś złagodniały. Miałam wrażenie, jakb[^]
po wrzaskliwej orgii sępów i jastrzębi weszła w stado białych gołębic, słodk
gruchających. Białe pióra łagodnie szemrały, cicha pieśń, jakiś nokturn me] °
dyjny otaczał mnie i kładł do duszy rozwite gałęzie wonnych lilii. Powiewał
nade mną kwiaty. Błogość nieziemska wsnuwała się do żył rozpalonych nek-[^]
rozpuszczała zbite kawały serdecznej krwi, pieściła ją, mieszając z nektarem
błękitnym wielkiej szczęśliwości. Pulsy moje były równo i słabo. Pogoda b[^]
snęła po burzach, pogoda słoneczna.

Pachnącą świeżością przestworzy powietrznych, okraszona cudowną tęczą
nabraną kolorami, niby czara najdrogocenniejszych farb zapożyczonych od
słońca i gwiazd.

Tęcza ciężarna wielką nadzieją.

I wraz z nią, i wraz z lutnią słowicznych pieśni, wzięła mnie ta przedziwna
pogoda w swe zakłete kolisko.

Cisza pobożna, cisza anielska.

Wyratowałam się... wyszłam z gniazda os zjadliwych, jestem oto wśród
łątek świecących skrzydełkami z kryształu, wśród cichej chmurki motyli bu-
jających nad roztoczą błękitno-seledynowej fali. Czuję ukojenie i szepty ła-
godne. To drobne falki szeleszczą w sitowiu. Czasem w tę ciszę boską, ni-
by błyskawica, wpadnie myśl nagła i zmaci ją. Jak szybki ukośny lot jaskół-
ki, co spadając raptownie pomiędzy motyle piersią swą roztrąca je i burzy
na chwilę gładką wodną toń. Tylko na chwilę. Znowu spokój, pogoda, ra-
dość.

Uczucia me, zmordowane walką, targaniem się beznadziejnym, wypełzły
na słońce tej pogody wewnętrznej i piły rozkosz piły żarłocznie słodycz po
goryczy. W całej istocie rozlał się przepiękny, dobry spokój i prądem silnym
płynął. Burzył się radością. Więc minęła niedola duchowa? Już przebrnęłam
nędzę największą swego bytowania?...

Szczęście niezrównane!

Wszystko przetrwam, przeboleję, byle w tej pogodzie nie zaćmił się jeden

blask, byle jedno skrzydełko kryształowej łątki nie zwisło umarłe, byle cisza si[^] nie zmaciła.

Trwam w niej, trwam. Tak dobrze.

Usłyszałam czyjeś kroki. Ktoś idzie przez środkową nawę, cicho, jakby się skradał. Nie otwieram oczu. j

Może zakrystian zamyka Kościół?... Niech zamknie. Tak mi tu dobrze. Niej spojrz, nie zobaczy mnie i odejdzie. Kroki ucichły. Ktoś stanął na wprost J ołtarza.

Boże! Żeby mnie nie dojrzał! Powiem, że chcę się jeszcze modlić.

Słyszę westchnienie. Co to?! Westchnienie ciężkie skołatanej piersi. Westchnienie zrodzone z bólu, westchnienie tragiczne.

Co to?... Jakież znajome jest mi to westchnienie?!

Otworzyłam oczy.

Chryste! To Andrzej stoi!

Wylocno zacisnęłam powieki, ale jakaś potęga wewnętrzna rozerwała je zno- Andrzej! Andrzej! Przy barierze od prezbiterium. On! On! Stoi pochylony głową schowaną w dłoniach. I to westchnienie! Jego westchnienie. Takie ciężkie!

Zlituj się, Boże wszechmocny!

Huragan zawiął, zmacił pogodę! Rozprysły się łątki. Tęcza szerniała, rozpadła się i jęła kapać na ciszę moją wielkimi krwawymi łzami. Całą swą barwę w te łzy skupiła.

Fala z błękitnej siną się stała, potworną i bryzgać zaczęła brudną pianą, i pluć, i ryczeć zajadle. Gromy się jakieś odezwały w mym sercu. Ból przy- czajony runął na nowo i darł mi żyły, i kapał się we krwi, co jak wartki strumień buchnęła we mnie.

Nadzieja, spokój, błogość tylko co odczuwana, stała się utopią, śmiesz- nością.

Rozpacz powróciła straszna, ironiczna.

Zlituj się, Boże wszechmocny!

Patrzę, patrzę, jak oczarowana.

On pochylony, bez ruchu.

Czy modli się?...

Prawosławny!

Nowy kolec w serce, zatruty kolec.

Nie pytam siebie, dlaczego tu przyszedł?...

To konieczne, to naturalne! t

Musiał przyjść, musiał zmacić tę pogodę słoneczną. Musiał.

Może to wizja? Czego on taki czarny? Jednolicie czarny od stóp do głów.

Nic się na nim nie błyszczy.

Ale to nie wizja. On sam. On najwyraźniej. Boże mój, nie śpię, to nie sen.

Znowu sen, znowu Nerczyńsk!

Zatargało mną. Za nic dłużej tu nie zostanę.

Wstałam cicho. O gdybyż nie słyszał.

Szłam wolno, boczną nawą, sunęłam niby cień. Usłyszał. Idzie za mną.
Nogi mi ciążyły, jakbym miała obuwie z kamieni. Idzie, już jest blisko.
Zachodzi mnie z boku, idzie środkową nawą.
Nagła myśl: uciec do zakrystii i stamtąd na ulicę. Nie dogoni, nie trafi.
Ale i ja nie trafię, pozamykane.
Na nic, na nic wszystko! Stanął obok mnie. Pochylił głowę w ukłonie.
Czego on taki czarny, cały czarny?
Już stanęliśmy przy drzwiach. Umoczyłam palce w kruży z wodą święconą
i... podałam jemu. Był to ruch mimowolny. Przeżegnałam się, on dotknął
palcami swego czoła.
Wyszliśmy na ulicę. Śnieg, zadymka i chłód. Nie widać świata poza gęstą
zwałą śnieżycy. Szłam, jakby niesiona, z twarzą ukrytą w mufce. On obok
mnie. Taki wiatr, że nie słyszę jego ostróg, nic nie dźwięczy, szabla nie sunie
się po ziemi. On idzie cicho i patrzy na mnie.

106

107

108

Jak długo to trwało? Może wieczność?... Śnieg sypał mi w twarz, wich
północny dał tamując oddech.
Dziwna plastyczność niektórych szczegółów, a mętlnia innych.
Oto wiem, że dmie wiatr północny, wiem, na jakiej jestem ulicy, poznaip
domy. Ale kto idzie obok?... Mąci się. Tak, to on, Bieruzew. Czy tylko on
istotnie, czy duch, czy wizja?
Idziemy długo, bez słowa. Dlaczego ja nic nie mówię?... To głupie. Co on
pomyśli?
Śnieg, śnieg, zda się nieprzebyty. Jakiś dźwięk nagły i ostry. Pewno szabla
i ostrogi Andrzeja?
Nie, to sanki przemknęły, ruska "trojka". Jakiś tęgi "jarmiak" na koźle
lisia czapa, wyciągnięte jak struny ręce. To nie jak nasi dorożkarze.
Jakiś plac - może Teatralny?..
Podnoszę oczy. To Archangielsk.
Mroczy mi się w głowie.
Nagle poślizgnęłam się, prawie uknęłam na śniegu. Nim zdołałam krzyk-
nąć i pojąć, co się stało, silne ramiona uniosły mnie delikatnie, jakby bez
dotyku. Na moment jeden owiało mnie gorąco. Zadrzałam. To on się pochylił
podnosząc mnie.
Nie pamiętam, czy mu skinęłam głową, czy podziękowałam? Stałam już
przy swej bramie i to spostrzegłam.
Wtem jakiś śmiech. Śmiech szyderczy, mrozący jak soplami lodu.
Spojrzałam obłędnie i Andrzej spojrzał. Trzymaliśmy się za ręce, nie wiem,
jak to się stało?... Pewnieśmy się żegnali.
Na trotuarze stał zakurzony śniegiem oficer i śmiał się. To ten z admiralii-

cji.

Wbiegłam do bramy. Za mną gonił śmiech bezwstydnego oficera i głos Andrzeja.

- Tfu! Drań!

Więcej nie słyszałam.

Czego on się śmiał?... Czego on się śmiał?...

• 2 marca

1

Andrzej Bieruzow prosił o dymisję i już nie jest oficerem, nie jest żandar-j Biem. Chodzi w czarnym palcie bez munduru.

Mówiła to Julka.

12 marca

Z Julka nie rozmawiamy wyraźnie, ale się wybornie rozumiemy. Jest ona Upadłam na kanapę, jak stałam, w futrze białym od śniegu. Ach! Te śmiech!

dla mnie dobra i pobłażliwa. Raz tylko widząc, jak mizernieję, rzekła kiwając głową żałośnie:

- Po co ci, Ciesiu, ta druga niedola, po co ta nowa bieda? Chociaż to ty bierzesz zbyt tragicznie. My, kobiety, widzisz, nie zawsze zależy od swej woli, bo... coś jest w nas już takiego, że musi się wyładować, że musi... choćbyśmy się broniły nogami i rękoma. Jak pokoch... jak to przyjdzie, przepadły wszelkie rozumowania.

Widoczne było z niedokończonych jej zdań, że nie chce słowa wymówić, które jeszcze wśród nas nie padło i którego ja sama instynktownie boję się. Gdy mówiła, słuchałam z zapartym oddechem, jak ktoś, kto czeka, że lada chwila runie mu na pierś salwa karabinów. Lękałam się tego słowa niby ostatecznej katastrofy, jakby ono, to jedno słowo, miało moc wyrokowania o moim nieszczęściu.

Julka to odgadła i nic nie wyrzekła. Drugi raz Julka znowu zaczęła mówić. Było to w nocy. Usłyszała, że nie śpię i nagle rozległ się w ciemni pokoju jej głos smutny.

- Ciebie to musiało spotkać, Ciesiu. Ty jeszcze tego nie znałaś, a materiał masz podatny, bo uczucia w tobie kipią. Ty jesteś i sokół, i gołąb, a przede wszystkim kobieta z sercem gorejącym. I powiem ci nawet, że to nie głupi wybór serca, tylko nieszczęsny. O! W tym rzecz.

- Julka, dosyć - przemówiłam głosem zduszonym.

- Ja nic nie mówię - ciągnęła ona dalej - tylko rozumiuję, że uważasz to w sobie za zbrodnię, a ja ci powiem, że się mylisz. Mogłaś trafić gorzej, w zwykłych warunkach, ale szczęśliwiej. To widzisz jest różnica. Teraz trafiłaś dobrze, lecz - nieszczęśliwie. Ale to nie zbrodnia, nie podłość. To tylko

- nowy krzyż.

Zamilkła, a ja już tęskniłam za jej słowami. Cisza zimowej nocy rozsiadła się władczo w pokoju i smutek snuła ponury.

- Julka! - zawołałam.

- A co chcesz?...

- Mów jeszcze.

Ciche te słowa padły z mych ust jak nieśmiała prośba. Wiedziałam, że grzęznę, że lecę na głowę w niebezpieczeństwo i brnęłam.

Usłyszałam szmer, lekkie stapanie bosych stóp. Koło mego łóżka stanęła Julka. Nagle wsunęła się pod kołdrę i zaczęła mnie całować.

Włosy mi na głowie powstały.

Zechce zwierzeń, a ja nie powiem, nic nie powiem.

Przeczułam.

Julka całowała mnie, tuliła moją głowę do piersi i szeptała.

- Cesia, dziecko biedne, my tu same na wygnaniu, bądźmy jak siostry.

Wyznaj, powiedz, co czujesz. Nie bój się, ja zrozumie, ja nie taki kół, jak się może wydaje, ja nie Olska. Mów, dziecko!

Zacięłam się. Łkałam wewnętrznie na piersiach Julki, ale usta nic nie wyznały. Milczałam.

109

Ona odczuła mój upór. Nie nalegała i nie przestała mnie pieścić. Długo

1

przebyłyśmy tak splecione uściskiem siostrzanym. Szczersza nuta w nas ła. Julka znowu rzekła:

- Ciężko żyć z takim kamieniem na sercu. Źle kobietom, które ma' uczucia silnie rozwinięte. Ot, ja na przykład, łojówka w porównaniu z tobą, b ty gorejąca pochodnia. Dwa razy wariowałam w życiu, ale myślisz, że bar dzo?... Gdzie tam! Ot, jak mówią Moskale "od nieczewo diełat". Zgłupiałam i znowu zmądrzałam, ale żeby się tak zapaść bez wyjścia? To pewno nie dla mnie specjal.

Westchnęła smutnie, a potem energicznie potrząsnęła głową i rzekła:

- A może i to być?...

Umilkła i tylko pierś jej podnosiła się często westchnieniem.

Na dobranoc, kiedy już świtało, Julka rzekła smutnie i sennie:

- Źle robisz, Cesia, że milczysz. To zeżre ci serce na wiór. I na ciebie przyjdzie czas, ty przemówisz.

Nie, nigdy! - pomyślałam z zaciętością.

Ale czułam, że Julka ma rację, że przemówię.

20 marca

Przez cały tydzień starałam się jak najmniej myśleć o sobie. Pracowałam zawzięcie, jeszcze dobierając lekcji u Pogorskich, gdzie mi najlepiej. Dopytują się, co mi jest, widząc we mnie zmianę, ale kładą to na karb tęsknoty za krajem. Znowu moja podłość ujawnia się. Boja powinnam tylko z tego powodu cierpieć. A ja?... Czy już ratunku nie ma istotnie?...

Andrzej dawno nie był. Widzę go tylko, jak co dzień rano wychodki z hotelu idąc do biura. Pracuje gdzieś jako urzędnik. Czasem nawet nie patrząc odczuwam, że on idzie ulicą. Po chrzęście śniegu poznaję, że jest gnieciony jego stopą. Ogromne przeczulenie sugestyjne. A nie myślałam, że zdolna do

takich subtelnych przeczuć, w ogóle do takich abstrakcyjnych płynów. Bo sugestia to jest istotnie niby czarodziejski płyn, który duchem przepływa z jednej jaźni w drugą, a jest niewidzialny.

Sugestia jest taką samą potęgą, jak na przykład młodość. Tylko nie dla wszystkich jest ona wyraźna, bo sugestia to wytwór wyłącznie duchowy, więc może być czynnikiem tylko tam, gdzie duch przeważa a zmysły są mało znaczące. Odczucie zmysłowe to już nie sugestia, ale raczej zwierzęcy pęd krwi, to się objawia inaczej. Można kogoś pożądać nawet na odległość, ale ten ktoś nigdy nie wpłynie odradzając na naszą duszę, przeciwnie - deprawując.

Odrodzić może tylko sugestia płynąca z silniejszej duchem istoty w słabszą. I nie koniecznie ma być poparta miłością. Jednak pewna wspólność czy sympatia jest niezbędna. A może nawet jedynie wiara? Bo wiara, to pobudka do sugestii. Nie może być sugestii bez uprzedniej ufności.

Musowe, lecz odruchowe branie kogoś na pychę swej woli, to już hipnotyzm, to już co innego.

110

Wspomniałam przed chwilą, że sugestia jest taką samą potęgą jak młodość. A je sugestia ma zastosowanie tylko w dziedzinie ducha, a młodość zawsze. Gdyby mnie zapytano, jakiego daru pragnę od życia, odpowiedziałabym:
- Być wiecznie młodą.

Co za moc leży w młodości!

Czy potrafi najrozumiejsza starość zdziałać to, co zdziała bujna młodość, gdy ma pragnienie przynosi?

A któraż młodość nie czuje wiru we krwi, przyśpieszonego tętna, jakiejś pulsacji znamionującej temperament i przypływ energii?

Wyjątki są. Jak między ptakami są lotniejsze i są ociężalsze, a są wiecznie gnuźne i powolne - tak samo i w ludzkich gminach. Bywają tacy, że młodość ich nie poruszy, limfatyczna krew wolno sączy się w ich żyłach. Oddani są pracy bezzapalnej, zastosowanej ściśle do systemu pojęć ich duchowych i fizycznych. Oni nie mogą wzlatywać, bo młodość dotknęła ich zaledwie powierzchownie, nie dała im ani piórka na skrzydła. Zewnętrznie młodzi, są to właściwie starcy, są jak żółwie opancerzeni w skorupie swej gnuśności. Lecz taką samą pracę niech podejmie człowiek młody, wszystkimi fibrami życia, żądzą czynu, ideą, zapalem, pędem krwi, którego młodość ukochała, na którego złożyła wszystkie swe skarby zewnętrzne i wewnętrzne. Taki człowiek z najniższej pracy zrobi górną, przypnie jej lotki i polecą wzwyż, bo dąży do celu materialnego, czy do idei mówiąc: "chcę".

Człowiek stary wewnętrznym ustrojem ducha powie tylko tak, jakby mógł powiedzieć wiekowy starzec:

"Chciałbym".

A człowiek gnuśny i tego nie powie. Bo niczego nie pragnie, niczego nie żąda.

Talent urodzony z bujnej miłości stać się może geniuszem, gdy kolebką jego jest wiek późniejszy - pozostanie tylko talentem.

Młodość duchowa może stać się w krainie abstrakcji potęgą najwyższą, par excellence niedoścignioną. W życiu realnym będzie zawsze siłą podnoszącą największe ciężary do postulatów swej natury.

Nawet istotna starość u ludzi, którzy byli młodymi w pełni znaczenia tego słowa, inna jest niż przeciętna.

Jeśli nie ma już przed sobą czynów, ma wspomnienia, które nasuwając przed spłowiące oczy minioną jutrzenkę chwały, rozdmuchują taką samą w duszach nowych pokoleń.

Bujną, twórczą młodość złamać jest tak samo trudno, jak skruszyć na proch młodziutką, soczystą latorośl drzewną. Jest ona niby pancerz, na jakim nie każdy miecz zrobić może wygięcie.

Młodość ma w sobie blask złota, siłę stali, tylko czas żłobi na niej bruzdy.

Czas - ironizujący satyr.

Młody potrafi kochać duchem i dla idei, stary tylko dla siebie i zmysłami.

Młodość, gdy kocha, bierze wszystko i oddaje wszystko. Starość jak

111

S^U^1*

doil .,,:-" irze-

wszystkiego

-- Tak, F

lająca się w <>cz

rs'11

kałam,

łzy

ro^IIC.

pat L podziwiałam, że potrafiłam być tak bezpiecznie chłodną

j :a |zył na mnie uważnie, w końcu rzekł:

- Va9 ue są, panno Cesium?... Jaka u pani temperatura serca?...

i rozumują^

- A w

lerwy-

9 no V" odpowiedziałam wymijająco.

\e! Wy, panno Cesium, nie kapryśna baba, żeby się z ner-

W taka przepaść uczucia i duszy i serca, że nerwy to już

to tylko figuranty,

^aoś ucji. ze płakałam?...

7eczneg^ucia ~ podchwycił prędko.

' 1bo ni^^uczucia. Albo ono było jasne i miłe, co duszę łagodzi aż

Wczesne i smutne, co gryzie serce, że prosto zabić się

imnft'e- On sta* oparty o futrynę okna, ja obok położy-

•I szybie i drżałam wewnętrznie. On po chwili mówił zno-

ludzk,

' nieszczęsna jest. Żadna bestia nie jest narażona na tyle

'ludzka dusza. Zewsząd na nią czatują -jak nie anioł, to
y a strachy i utrapienia bodą ją niby rogi czarta, a z dru-
skrzydła głaszczą. Ni ratunku, ni szczęścia dla człowieka,
ie masz w zanadrzu, że anioł ci je tam włożył, to zaraz
i i zgrzyta, i uchwycenie go niemożliwym czyni. Ot,
wami pora-c-
poślednią
H
- Z s.efd-
do płaczui, a
człowiekowi
łam skroń
niebezpie"eLe
szatan-
giej stromy
Jak zdaje si
ono czame
ludzki lo. s!

^ttne badawczo.

P . l>ailj powiedziała, panno Cesium. Pani wie, co to jest
szczęści^, aA -^ ^.\y uch^cję gO nje możecie, bo... czarne kły zaporą stoją.
Jakby cthci ^ flje'waszego szczęścia powyłamywać, żeby zostało swobodne
e, al"einam takich. To Herkulesowa robota.

" ^yie zgarnia wszystko dla siebie nie dając najczęściej nic w
OnYjedna*30^'11'1 SW°ją ?iętę Achillesa' a Jest nia ~ nieszczęśliwa miłość
la bezeraniczr-i,2 odego może zrobić starca, z energii zrobi ociężałość, z wese'
ale ją zwarzy 2patl<?' Z krwi g°raceJ' PełneJ tetna 'l Pulsów nie robi W0dv"
Miło" " ze stame w miejscu spieczona bólem.

i życie a ku n^(tm) PrZCZ S'? JCSt wytworem młodości, jej zawdzięcza byt swoi
nad którą prz^ *raCa We Żądł° umoczone w nieszczęściu. I czarę słodczy

„ . , , ^cicmi anioł.

Mnie dała ^ zatmte żądfo

22 marca

pozostał ten

Parzy

Na ustach

nie ma w sw

cierpi przez

n °lerpi' Mówia to Je8° OC7^- Ich 8ł?bia coraz si? staje

^ zbolą. Zgasły daWne iskry, dawne płomienie, tylko żar

l' Mwet 8°r?tszy- Zar duszy starganej, która płonie i parzy.

' trażizmem swym-

Wdł mU bolesny wyraz- A Jednak on chyba mniej cierpi, bo
sumieniu te8° straszliwego wyrzutu, jaki mnie dręczy. Bo

Wiem że CK J.edynie> a nie przez obawę obrażenia świętej idei.
a pomimo to ł tO "wyrzut ur°J°ny' ze naszej idei ojczystej nie obrażam,
Mój stan u meg° b°leść jest odmienna-
iepo mam "/ -Uczilci°wy już się nie wzmaga, stanął na bezkresie. Cały ogrom
jtgu mcmi w P<%Jersl
nikiem do wv^tmistycznej wielkości wszystko inne zmałało, stało się tylko czyn-
I tak- listy -Ohmia jej "a nowo-
niesie ' " z Warszawy są przeze mnie oczekiwane, bo wiem, kto je przy-
mi coś ofiaro^f -Je8°,rak Paczki i myślę, że one po to przyszły tu, aby on miał
sumienia dław^^^' a Ja za co dzi?kować. Jednocześnie wyrzut własnego
nip ipct r,;^ T^1^ mnie' a'e wrażenie obecności Andrzeja zagłusza wszystko, co
llic JC&L I1111. JC^incl tr\ " *i i

Gdy eram "~ moze nikczemne, ale tego nie wykorzystanie.
jak zwykle tro * na forteP'anie nasze polskie melodie, a on chodzi po pokoju,
nie że nie tyncC:>cn?Przygarbiony i wolnym ruchem gładzi brodę, mam wraże-
'Miewamd^;o.Ja Jestem wygiranką, lecz i on również. Więzień uczucia.
oczy Andrzeja spokoju, dziwnej błogości. Wtedy patrzę śmiało w czarne
prawd Nie an-^' uśnuecnam si?> czytam w nich treść pełną nowych dla mnie
dusza to kryszta^ alizU-'e' ty^° bior? Je w całości. Analizuję częściej siebie. Jego
mnie gładzi talj*^ SZczery. J promieniejący. Jego dotyk nie wstrząsa mną, tylko
Cesiu" bo mó-w,k-łag°dnie' niby skrzydłem łabędzim. Nazywa mnie "panno
gawędzimy rza^^' Ze.mu tak łatwieJ wymawiać. Rozmawia już po polsku, ale
się tego On dv^łkolc|edy samotnie, i nie pragnę tego. Bądźmy szczerzy - boję
y^sputuje z Julka, ja słucham i przez nią odpowiadam na kwestie,

sySi

xtem pośredni męczy go, ja to widzę i mnie drażni, ale...
u nas, poznał po mych oczach, żem płakała. Zupeł-
niał o powód. Byliśmy sami. Zalękłam się. A gdy on
chciałam wpaść w ulubiony jego temat analizowania
ile pan wie, że płacz jest to transpiracja serca skrap-
:z: filtr duszy. Gdy temperatura serca wznosi się wyso-
różowy a skroplone łzy są słodkie i radosne. Przeciwi-
---- ~-"" ,, , " pVł-r\rl_
że łzy wytłaczane tylko przez
, *-)cn' to Jeś° westchnienie! Wryło mi się w pamięć.
-10 to szczęście znaczy?... a?... - spytał.

113

112

szatan

Instynktownie czułam, że powimim odejść. Nie mogłam! On

zmienionym głosem:

- Jeden taki czarny kiel to ja pęd wami już złamał, bo ja m
żandarm.

Oderwałam się od okna jak brutalnie popchnięta. On posunął
mnie.

S1? do

- Panno Cecylio, ja was proszę, " uciekajcie. Co ja wam takiego
że się pani mnie boi?

Nagłym ruchem wziął mnie za rękę; ale usunęłam je energicznie.

- Niech mnie pan nie dotyka! - krzyknęłam wzburzona.

On patrzył chmurnie, lecz spokojne Spytał powoli:

- Czyja dla pani wróg?...

Staął w progu zagradzając mi łogę. Ogarnęła mnie panika strachu
i gniewu.

Nie panowałam nad sobą.

- Tak! Wróg mój i mego narodi Należy pan do plemienia, którego.,
nienawidzę!

- I mnie... i mnie pani nienawidzi!..

Zacięłam się.

- Wy kłamiecie! Och, jak wy ktaiecie, panno Cecylio. Ja wiem, wy
plemienia mego nie lubicie, wy patriotli! Aleja?... Czyja temu winny, że wy
mnie poniewieracie. Ot, niesprawiedliwość!

- Niech pan idzie stąd i... nie wrą! - wybuchnęłam.

Poczerwieniał jak sama krew.

- Dobrze! Pójdę, ale wrócę. Ja ztami chcę innej rozmowy i wy musi-
cie...

- Do niczego mnie pan nie zmusi nie obawiam się pana i...i...

Brakło mi słów. On rzekł chyląc niio głowę, ze czcią i smutkiem:

- Zmuszę was jak obraz święty dosłuchania modlitwy. Zmusić zmuszę,
bo chcę i wam, i sobie zdjąć wagę z aca. Co wy czujecie, to ja wiem, tak
samo, jak to, co ja czuję. Boże broń tikiej męki! Lepsza katorga! Wy nie
oszukacie mnie. Możecie zdeptać, aleiie zwieść. Ja wasze serce mam na
swoim, to i znam dobrze.

Jeszcze niżej pochylił się w ukłonie wyszedł.

Zostałam bez sił, bez ruchu. Przyprta do ściany szłam jednak. Szłam
w skurczu bólu, ruiny moralnej, przezjakieś zasy czarnego kopciu; przez
korytarze ponurych podziemi, przez kojlnie duszących piersi sklepień sadzy.
Kłęby potworne zabójczego pyłu wbijaimi oddech do płuc. Nie czułam nic,
tylko ten tłusty kopeć w ustach, w oczai do duszy się wtlaczał. Pokój, gdzie
stałam, ścieśniał się, zwęzał, aż ściany go zbiegły się ze sobą i wsparły na
mnie. Sufit miałam na głowie, piersi ijlecy zgniecione. Jeden ruch i zgiń?
zmiażdżona murem. Żadnego ratunku! fticz mnie uratował. Płakałam strasz-
nie, skulona w kącie ścian.

Wyznał Julce! Wszystko wyznał. Och, Boże! Jak on mógł, jak śmiał! Jul-
ówi, że napadła na niego z góry, że mu zaczęła wymówki robić o mnie.
ka ona głupia. Ale ona to robiła z powodu uczuć siostrzanych dla mnie.
J? a wie, co się ze mną dzieje, więc chciała prawdy. I wyznał. Mówił, że
temu światu wyzna, bo się tego nie wstydzi, ale się tym chlubi. Mówił
Codobno, że od kiedy ta siła wyrosła w jego duszy, czuje się mądrzejszym
lepszym, że ma dla siebie cześć, bo takie uczucia cześć wzbudzają. Julka
est podniecona i pod silnym wrażeniem wyznań Andrzeja. Na mnie patrzy
jakimś uwielbieniem, jakbym była ołtarzem, u stóp którego hekatombę
składają. Ona mówi z zapalem o Andrzeju i jego uczuciach. Podnosi jego
szlachetność, miesza razem zachwyty nad jego sercem i nad głębiną oczu.
Mówi tak:

- On bierze pod swój wpływ, bierze przemocą. Ty jesteś... pod innym, ale
i ja jestem pod urokiem piękności jego duszy. A nawet zewnątrz to się
objawia. Powiedz... Ten wyraz w oczach albo chociażby ten miękko okalający
jego profil krótki zarost. Nawet i to tchnie jakąś szlachetnością.
Słuchałam nie słysząc. Ale jak on mógł to wyjawić?... Jak on śmiał?!...
Drażniło mnie, że już wyjawiał i... że nie mnie pierwszej. A przecież się tego
bałam.

przeklął?...

4 kwietnia

Dziś powiedział mi wszystko. Andrzej kocha mnie i... ja go kocham.

Więcej pisać nie mogę.

3 kwietnia •

20 kwietnia

Zaledwo teraz doszłam do pewnego skojarzenia myśli i do jakiej takiej
równowagi po tym, co się stało.

Czwartego kwietnia, w sobotę, Andrzej wyznał mi swą (tm)*^

Przyszedł przed wieczorem, kiedy Julka była na lekcji, a Cho|^

Piekła ciasta i^ie pokazywała się z kuchni. Zastał mnie w naszym P

wszedł. Od razu zauważyłam zmianę w jego twarzy.J.^T^hm

ogarnęła niemoc. Wstałam z krzesła. Cały pokój zalany był zachodem

115

114

116

słońca. Łuny te padły na smagłą cerę Andrzeja i rozjaśniły ją. Stał jak w glOrj'
złocistej.

Wziął moją rękę. Nie broniłam. Wziął i drugą. Staliśmy tak kilka minut
może dłużej. Szczęśliwość bezmierna wionęła na mnie z jego oczu. A potem
czarna ściana, czarna otchłań... NerczyriskL. Przekleństwo brata...

Ale nie drgnęłam nawet. Większa siła trzymała mnie w swych drogich
szponach. Milczenie, milczenie, tylko dusze mówią. Słyszałam, jak się nasze

serca trzepotały i rwały do siebie, jak objęły się w niewysłowionym uścisku i oddały sobie wzajem cały przestwór gorących uczuć.

Chwila święta, chwila uroczysta, wieczna w swej piękności. Cud mistyczny spełniony, cud duchowy! Światłość...

- Cesia!... Ty moja... - szepnął Andrzej gorącym swych ust. Miłowanie płynęło z jego głosu, z tego szmeru.

Jęknęłam tylko bez odpowiedzi.

Ogarnął mnie ramieniem tak lekko, jak skrzydła motyle kwiat ogarniają.

Uczułam jego oddech tuż obok swych ust.

- Ty... moja! - powtórzył.

Straciłam przytomność.

Orkan szczęścia. Tak tylko nazwać można by tę chwilę.

- Twoja - szepnęłam prawie głośno.

Byłam bez woli, bez myśli. Serce me z całym zastępem uczuć wypełzło mi na wargi i wyznało.

- Duszeńka! Cesia! Maja niewiasto !...

Runęło szczęście! Prysło, jak nabrane serdeczną krwią serce ludzkie, ciśnięte fatalną ręką na ostre zęby.

Te słowa Andrzeja, ten akcent, ten język był dla mnie przerębłem z lodu.

Chlusnęła na mnie prawda obrzydliwą ciecżą i wstrętem wstrząsnęła całą duszą, potworny młot rzeczywistości rozszarpał ją na strzępy.

Zanim Andrzej zdołał przycisnąć mnie do swej piersi, już stracił mnie na zawsze.

Krótko, stanowczo, zdyszonym głosem wypowiedziałam mu treść i nędzę swych uczuć. Nie kłamałam! Kocham i byłam szczerą. Rzuciłam mu swe wyzwanie.

Ale nic nadto. Żadnej nadziei!

Nic! Nic!

W smutku powstała moja miłgśc i w nim pozostanie.

On błagał, zaklinał, modlił się...

Nie pomogło.

Żądał nadziei na podstawie mej wzajemności...

Nie pomogło!

Płakał, a mnie w duszy wyły wszystkie rozpaczę świata.

Ale... nie uległam.

Tej samej nocy Andrzej wyjechał z Archangielska.

Oficer z adnuralicji przeniesiony do Kronsztadu. To wpływ Andrzeja.

*

Pozostałem z krwawą raną w jądrze serca, z tragedią, z rozdzierającym żalem.

Czy i z dumą zwycięstwa?...

Tylko z bólem.

Nie! I z wyrzutem! Z okrutnym wyrzutem w sumieniu, że ja mogłam pokochać człowieka, należącego społecznie do tych, co katują mych braci

w kazamatach. Łzy tych Męczenników spadały mi na serce, a każda żłobiła w nim jak rozpalonym żelazem, litera po literze hańbiącą obelgę.

Wyrodna! Wyrodna!

Zostałam z wyrzutem. Gorzki wyrzut mieszał się z bólem serca. Uczucia omdlewały pod tyraniczną banicją sumienia i tęsknoty, i żalu.

Tragedią moją stał się teraz ten piekący wyrzut, co niby złowrogie krakanie sępa zagłady huczał we mnie ponuro, jak trąba sądu.

- Wyrodna! Wyrodna!

I pomimo to kocham, rozpacznie, boleśnie, ale kocham.

Z tym pozostałam.

Spis treści

W przedziale I klasy .5

"Panem et circenses!". .13

Zielona bryczka . .23

Fedotka35

Czciciele Szatana . .57

Tragedia Cesi . . .89